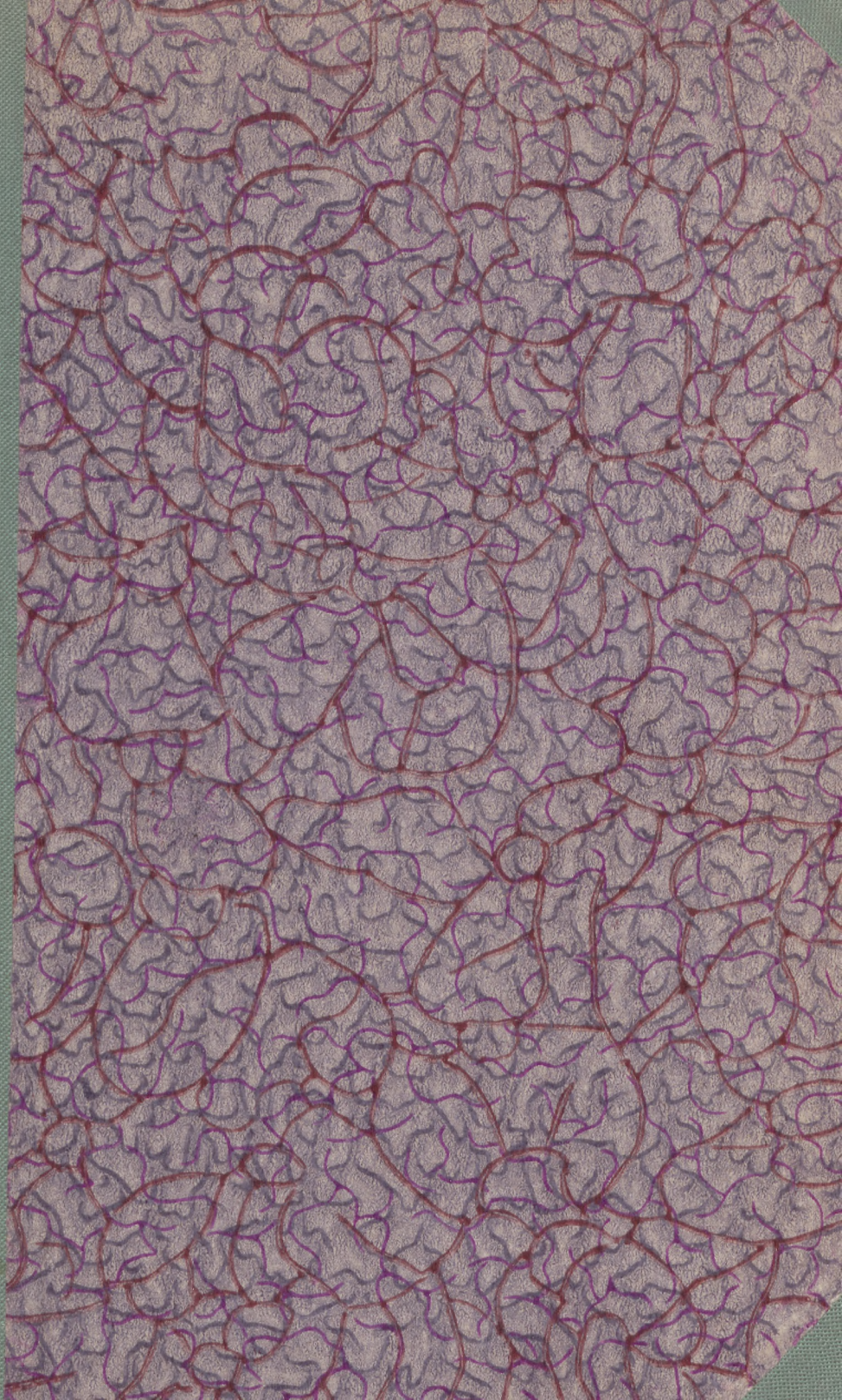




FORTY NA PIASKU



Autor w oazie Brak.

1065 706 FA
387817
BRONISŁAW KRYSTYN WIERZEJSKI

FORTY NA PIASKU

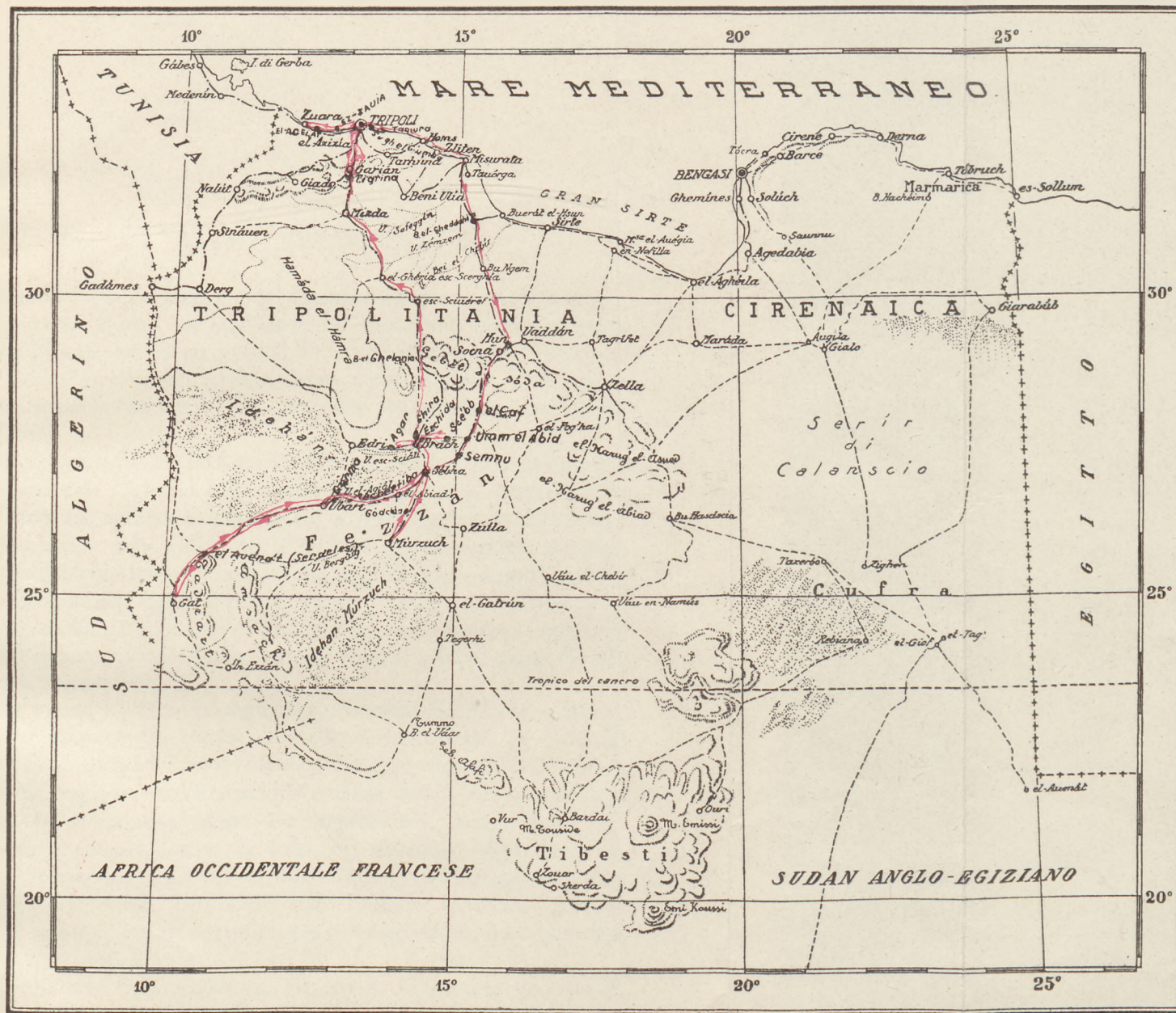
Z 57 ILUSTRACJAMI W TEKŚCIE
ORAZ 19 TABLICAMI ROTOGRAWJUROWEMI

(61)

TRZASKA, EVERT i MICHAŁSKI
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 13, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

LIBIA E TERRITORI INTERNI

Tablica II.



→ → Trasa podróży

SCALA 1:10.000.000
100 200 300 400 km

Dis. V. Clemente



11 395729



Biblioteka Główna
Uniwersytetu Gdańskiego



1100134659

~~**BIBLIOTEKA**~~
~~**WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ**~~
~~**W GDAŃSKU**~~

Nr inw 9650 K/1950 r.

11-4255

I

RZYM — SYRAKUZY

Marcello Farina miał składać egzamin z matematyki handlowej.

Marcello urodził się w Neapolu i naturalnie pięknie śpiewa, jeszcze piękniej gra na skrzypcach, ale ma wrodzony wstręt do wszelkich rzeczy poziomych i pozbawionych romantyzmu, a coś może być bardziej prozaicznego, jak owa wyżej wspomniana matematyka handlowa.

Otóż Farina nie potrafił przełamać swej natury i jego wiadomości z zakresu cyfr i handlu były, powiedzmy delikatnie, bardzo nikłe, a tu godzina egzaminu zbliżała się z nieubłaganą stanowczością. Rzym tonął w mgle i deszczu, a że brak słońca wpływa zabójczo na psychikę południowca, odbiera mu całą energię i rozpęd życiowy, więc też Marcello był w nastroju wprost tragicznym i jako ostatnią deskę ratunku przypomniał sobie... świecę, wielką, długą, ogromną, którą dostanie San Gennaro, patron Neapolu, jeżeli wymodli mu chociaż osiemnaście.

Tu muszę wyjaśnić tajemnicę tej osiemnastki. U nas w Polsce profesor rozporządza bardzo niewielką ilością stopni, bo tylko od 0 do 5, natomiast pełni polotu i fantazji Italczycy stopniują od 0 do 30. Profesor, względnie egzaminacyjna komisja trzech, ma w czym wybierać. Ile subtelności, niuansów, rozgraniczeń, możliwości!

I nie wiem już, jak to się stało, czy pocziwy święty wziął na serjo obietnicę Marcella, czy też sprawdziło się na skarłałym potomku dawnego imperjum przysłowie starorzymskie: „audaces fortuna iuvat“, dość, że Farina egzamin zdał i to niebyle jak, dostał bowiem dwadzieścia siedem!

Radość jego była bezbrzeżna jak ocean, gwałtowna jak wybuch wulkanu i promienna jak owo neapolitańsko-afrykańskie słońce,

które go wychodowało. Bo Marcello, jakkolwiek urodził się pod Wezuwuszem, spędził tam jednak zaledwie jeden rok sielsko-anielski, następne zaś dwadzieścia jeden lat swego żywota mieszkał w Trypolisie, gdzie jego wuj i opiekun jest jakimś wyższym urzędnikiem kolonialnym. Tak, że właściwie jest to już zupełny afrykander, i podejrzewam, że nawet krew szcerniała mu na atrament.

I oto, gdy siedzieliśmy w małej kawiarence na Piazza Navona i oblewaliśmy pomyślny egzamin, popijając wermut i patrząc na strugi wody, tryskającej z marmurowej fontanny Berniniego (jak skromni są akademicy rzymscy, prawda), Marcello raptem zawołał:

— Przyjedź na ferie świąteczne do mnie, do Tripoli, rodzina moja przyjmie cię z otwartymi rękami. Pokażemy ci naszą pracę kolonialną, to jest naprawdę ciekawe i godne zobaczenia. Koszt tej podróży będzie minimalny, bo wydasz tylko na bilet do Afryki... Zato kiedyś weźmiesz mnie do Polski, pokażesz mi wasze łąny zbóż, wasze kopalnie soli i węgla i to wszystko, o czym tak dużo lubisz opowiadać.

Aż mi dech zaparło! Afryka, pustynia, Arabki, oazy, wielbłądy, szakale i t. d. i t. d.

— Dobrze, Marcello! Morowy chłop z ciebie, czekaj mnie w Tripoli.

Tak się to zaczęło...

Potem nastąpiła długa, dyplomatyczna korespondencja z dalekim domem rodzinnym, i oto nakoniec w piękny, ciepły wieczór styczniowy stoję w oknie wagonu Roma—Reggio Calabria, a gromadka moich najbliższych kolegów żegna mnie uroczyście. Jest więc żywiołowy, tryskający radością życia Giovanni Porcu, jest młodziutki poeta Druso Tanziani, który już na dwóch konkursach poetyckich wziął nagrodę, są Travali i Accardo, i śliczny, płomiennooki Beppe Carta, może w niedalekiej przyszłości pierwszy sekretarz ambasady włoskiej w Warszawie. Nie jestem zazdrosny i życzę tego szczerze nadobnym córom syreniego grodu.

— Pisz... baw się dobrze. Użyjesz, draniu jeden... A przywieź chociaż jedną Arabkę. I nie siedź za długo, bo wiosenne egzaminy nadchodzą, jakby miały siedmiomilowe buty. Pisz!...

Noc, tłok beznadziejny, pociąg wpada z tunelu w tunel. W zalany światłami Neapolu wagon się opróżnia, by za chwilę napełnić się nową falą ruchliwej, hałaśliwej, rozgadanej publiczności włoskiej.

Ranek. Jedziemy przez Kalabrię wzdłuż granatowego morza.

Pociąg sunie powoli, trzęsąc haniebnie. Obok toru kolejowego biegnie szosa pełna dziur i wybojów, jakby to było gdzieś w dalekiej Polsce, a nie w ojczyźnie pomarańcz, czarnych koszul i autostrady. Po pewnym czasie oddalamy się od morza i przejeżdżamy równinę o czerwonym gruncie, pokrytą gajami oliwnymi i bezlistnymi obecnie łodygami winorośli. Mijamy miejscowość Santa-Eufemia i jesteśmy znów u stóp gór na brzegu morskiej roztoczy. Niekończąca się plaża, a na niej leżą rzędem wielkie bloki betonowe, służące do rozbijania fal w czasie burzy. Tuż za nimi tulą się pojedyncze chatki rybackie, a gdzieś niedaleko małe miasteczko. Deszcz padał trzy dni bez przerwy i teraz wzdbrane potoki z hałasem i szumem pędzą do morza, zaznaczając żółtawym półkolem teren zdobyty w niebieskiej wodzie. Nie potrwa to jednak długo — jeszcze kilka godzin, zapasy wody w górach się wyczerpią i łożyska powrócą do swego normalnego, wyschniętego wyglądu, względnie nikły strumyczek szemrzeć będzie między kamykami.

Przed nami Sycylja. Dojeżdżamy do Villa San Giovanni. Tu opuszczamy wagony, by wsiąść na stateczek, który ma nas przewieźć przez cieśninę (groźna Scylla i Charybda) do Mesyny. Płyniemy powoli, a lekkie kołysanie przypomina o stałych prądach, będących ongi postrachem naw rzymskich, które często wołały nadłożyć drogi, okrążając Sycylię, niżeli narażać się na ryzyko tych zdradzieckich wód.

Otoczają mnie ze wszystkich stron szczupłe, nerwowe postacie o czarnych jak smoła włosach i płonących oczach — mają w sobie coś wschodniego. Na środku pokładu dwie grube niewiasty rozłożyły koszyki i z powodzeniem uprawiają handel jarzynami i mięsem. Kłótnie, targowanie się, wkońcu bójką.

Zjawia się okazały faszysta.

— Co to jest? *Il permesso* (pozwolenie) — krzyczy do przekupek.

Udają, że szukają po kieszeniach, i tłumaczą się, że widocznie zapomnieli w domu.

Ach, w domu! Władza w czarnej koszuli porywa koszyki i wśród jęków właścielek i protestów publiczności wrzuca jeden po drugim do wody.

— Dlaczego pan tak nieludzko postąpił — pyta ktoś.

— Mięso nie miało pieczęci weterynarza i mogło być zatrute. Zresztą już po raz trzeci łapię te baby na nielegalnym handlu — dwa razy ostrzegałem, teraz musiałem zareagować energicznie.

A za czwartym razem pójdziecie do paki — zwraca się do zapłakanych przekupek.

Dobijamy do brzegu. Mesyna białym pasmem ciągnie się u stóp szaro-zielonych gór. Wdali wśród obłoków bieleją śniegi Etny, ozłoczone promieniami słońca. Zaczyna się atak na pociąg do Syrakuz i po chwili wagony są dosłownie zapchane ludźmi i tobołami. Jakimś cudem dostałem miejsce przy oknie i patrzę na ubogi krajobraz podmesyński. Kamienie, kurz, nędzna roślinność, albowiem cały czar tej wyspy-ogrodu zaczyna się dopiero za Taorminą.

W Taorminie zatrzymuję się na kilka godzin. Stacja położona jest nad samym morzem u stóp starej pionowej skały. Wsiadam do autobusu, przepełnionego tłumem Niemców o podgolonych karkach i wielkich okularach, i doskonałą szosą o wręcz nieprawdopodobnych skrętach i wirażach wjeżdżamy na górę do miasteczka.

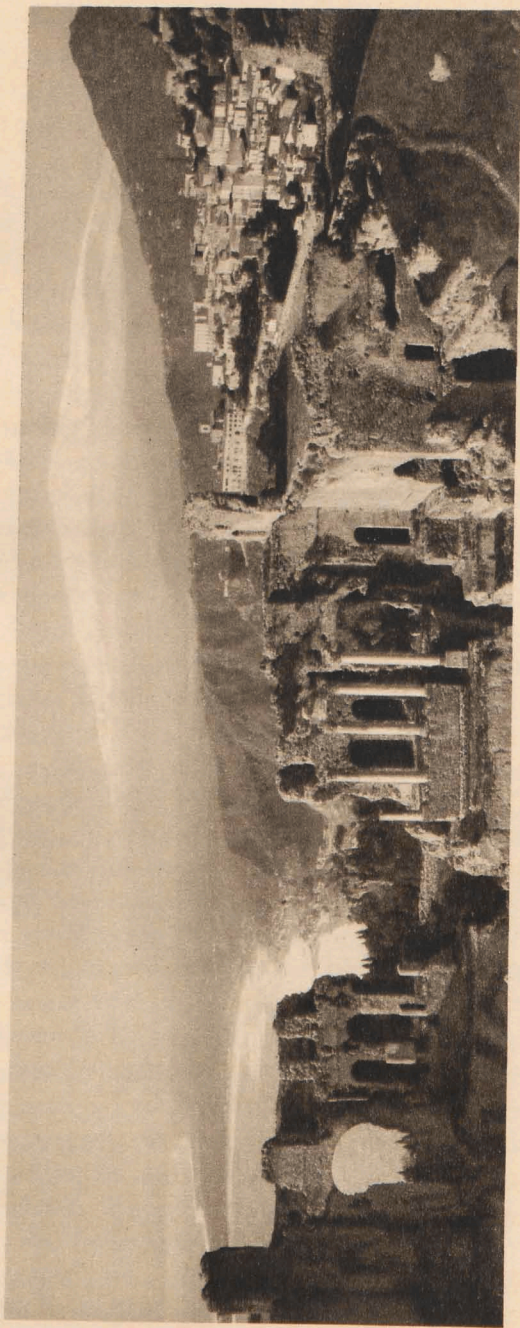
Cudowne orle gniazdo na wysokiej skale! Lazur morza w dole, biel śniegu na Etnie, słońce, kwiaty, ruiny teatru greckiego, a jeszcze wyżej mury saraceńskiego zamku tworzą obraz niezapomniany.

Miasteczko czyściutkie, między domami dojrzewają na drzewach cytryny i pomarańcze i kwitną różowo jakieś pnącze. W ogrodzie miejskim z cudnym widokiem na Etnę i morze stoi miły dla oka pomnik poległych w wielkiej wojnie, otoczony klombami różnokolorowego kwiecia.

Wzruszający naprawdę jest ten kult, jakim Włosi otaczają swoich poległych. Każde miasto, miasteczko, wioski nawet mają pomniki ku ich czci i pamięci. Najdrobniejsze przedsiębiorstwo wmurowuje tablice z imieniem i nazwiskiem swoich pracowników, którzy zginęli w obronie ojczyzny, i dba o to, żeby były starannie utrzymane i ukwiecone.

Ludność Taorminy mówi jakimś niezrozumiałym dialektem. Po ulicach jeżdżą dwukołowe, kolorowe wózki sycylijskie, ozdobione rzeźbą i malowidłami, zaprzężone w pięknie przystrojone osły, potrzęsające dumnie kitami piór i pękami wstążek.

Oglądam piękny hotel San Domenico, dawny klasztor dominikanów. Śliczne „patio“ pełne kwiatów, stare kurytarze, obwieszane szczerbami obrazami i tchnące jakimś mistycznym czarem. Dawne cele, zresztą dość duże, zamienione na wygodne pokoje hotelowe. W refektarzu o łukowatym suficie — jadalnia. Pozwalam sobie spożyć „colazione“ (śniadanie) w tym uroczym przybytku. Dla uprzyjemnienia czasu jeżdżącym turystom (czytaj — Niemcom)



...cudowne orle gniazdo na wysokiej skale...

dwoje Sycylijczyków tańczy tarantellę. Gibcy, zręczni i piękni. Dziewczyna ma olbrzymie koła w uszach, tancerz obcisłe czarne spodnie i czerwoną chusteczkę na szyi. Oboje mają pończochy w szerokie poprzeczne, czarno-białe pasy i miękkie kierpce na nogach.

Schodzę drogą wdół do stacji. Po obu stronach wille i hotele, tonące w zieloności i słońcu. Powietrze, jak balsam ożywczy. W pewnym miejscu ciągnie się stary mur z szeregiem prostokątnych otworów — podobno cmentarz saraceński. Zwisające z poza muru bluszcze i kwiaty wieńczą napowietrzne groby dawnych władców tej uroczej ziemi.

Jadę dalej. Pociąg pędzi wśród cytrynowych i pomarańczowych gajów, powietrze przepełnione jest słodkawym, aromatycznym zapachem. Mnóstwo owoców leży na ziemi pod drzewami. Dziwny widok dla człowieka z północy, płacącego słono za przyjemność spożycia pomarańczy.

Stacja Mascali. Czarny zwał lawy, która zatrzymała się w swym niszczącym pochodzie tuż obok toru kolejowego. Wybuch Etny zdarzył się kilka lat temu, a oto z szerokiej na kilometr i wysokiej na kilka pięter smugi lawy wydobywają się gdzieś niedługo jeszcze dotąd pasemka żółtego dymu. Kwitnące miasteczko, żyzne pola, ogrody, zniknęły w ciągu kilku godzin z powierzchni ziemi. Na ponurej masie widać ludzi, zajętych ociosywaniem czarnych bloków — to właściciele pól i domów, pogrzebanych pod lawą, która stanowi obecnie jedyną ich własność i zarobek, bo z tego materiału buduje się tu domy, brukuje drogi i t. p.

Zresztą państwo zaraz śpieszy z pomocą dotkniętym żywiołową katastrofą i w Mascali stoi już szereg nowych piętrowych domów, w których znaleźli schronienie pozbawieni dachu nad głową mieszkańcy miasteczka i okolicy.

Dojeżdżamy do Katanji. Na dworcu pełno skrzynek z pomarańczami. „Katańskie malinowe“ wyruszają w podróż na północ, będąc je kupowali z ręcznych wózków ulicznych przekupniów lub w pięknych owocarniach za drogą cenę. Ja sobie zafundowałem na maleńkiej stacyjce Bicoca dwadzieścia mandarynek za pół lira, czyli 23 grosze polskie. Godne zazdrości, co?

Naprzeciwko mnie siedzi czarny chłopak i, jak każdy Włoch, nie umiejący milczeć nawet kilku minut, szuka wyrażnie pretekstu do rozmowy. Nie pomagam mu umyślnie, czekam, jak z tego wybrnie.



...Dojeżdżamy do Katanji...

pola i mokradła, wzdłuż toru eukaliptusy. Dużo niskich, blado-lila krokusów pokrywa ziemię. Na stacyjkach chmary czarnowłosych dzieci wymachują rączkami na powitanie i pożegnanie pociągu. Po godzinie tor przecina skaliste wzgórza. W nielicznych dolinkach znajdują się sady pomarańczowe i oliwne, otoczone opłotkami kolczastej opuncji, na których widać jeszcze zrzadka czerwone owoce.

Augusta — największe we Włoszech saliny nadmorskie. Prostopadłe sadzawki, napełnione wodą morską, parującą pod działaniem słońca. Osiadła na dnie sól, po spuszczeniu wody, zostaje zbierana i układana w podłużne kopce, które się przykrywa dachówką.

Dalej znów skaliste, łagodne zbocza. Morze szaro-błękitne ciemnieje coraz bardziej wobec zachmurzenia się nieba.

Nagle wzrok jego pada na znaczek podchorążówki w mojej klapie i twarz mu się rozjaśnia.

— Co to jest?

— Odznaka wojskowa.

— Jakiego państwa?

— Polski.

— Polonia! Wie pan, ja byłem w Neapolu na meczu Polonia—Italia. Macie takiego miłego obrońcę. Niski, gruby, kwadratowy i szybki jak katapulta.

Mówił o Martynie.

— Gracie dobrze, ale jednak dostaliście od nas w skórę — dodaje z zadowoleniem.

Góry odступują w głąb wyspy. Naokół

Siracusa! Przypominają mi się moje czasy szkolne i niepowodzenia z łaciną. Jakże napsułem krwi staruszkowi profesorowi. I właśnie jedna z ostatnich moich niefortunnnych odpowiedzi miała za temat Syrakuzy i Dionizosa.

Dzisiejsze Syrakuzy są małym miastem portowym, przez które przechodzi cały ruch handlowy i pasażerski między metropolią i kolonjami italskimi. Liczą 51 tysięcy mieszkańców. Nowe miasto leży na półwyspie, głęboko wrzynającym się w morze. W okolicy rośnie trzcina cukrowa i bawełna.

Syrakuzy założone zostały przez kolonistów greckich w 734 r. przed Chrystusem. Nazwa pochodzi od pobliskich błot, zwanych Siraca.

Zwiedzam pobieżnie dawne zabytki. Olbrzymi obszar, przez nie zajmowany, świadczy o wielkości i potędze dawnych Syrakuz. Więc zamek Eurial, zbudowany przez Dionizosa dla obrony przed Kartagińczykami, olbrzymi amfiteatr, teatr grecki i „latomie“ (podobno dawne kamieniołomy), gdzie Dionizos więził i morzył głodem wziętych do niewoli Ateńczyków. Teraz znajdują się tam piękne ogrody o niesłychanej bujności roślinności. Zachodzę do groty, zwanej uchem Dionizosa. Akustyka nadzwyczajna, szmer dartego papieru odbija się jak huk wystrzału z pistoletu. Podanie głosi, że tyran syrakusański przychodził tutaj napawać się jękami umierających w mękach głodu Ateńczyków.

Zapada noc. Idę do kompanji okrętowej kupić bilet na statek.

Przedemną stoi czerwony Niemiec i awanturuje się o jakąś pomyłkę w cenie biletu. Krzyczy, wali pięścią w stół i przeklina. Dostaje w nagrodę kajutę tuż pod dźwignią okrętową. Mnie się wie, gdzie lepiej, otrzymuję dobrą kajutę z oknem na pokład, rozmieszczam swoje walizy i idę na obiad do jakiejś restauracji, którą mi polecił steward okrętowy. Paskudztwo i drogo.

Dziesiąta wieczorem. Niewielki stateczek „Città di Trieste“ wyrusza w drogę ku Czarnemu Lądowi. Cudowna noc, roje gwiazd świecą na granatowym niebie, srebrna tarcza księżyca ściele świetlistą smugę na ciemnych falach. Statek kołysze się rytmicznie, jednostajny stuk maszyn działa usypiająco.

II MALTA

O siódmej rano ukazały się na horyzoncie kontury archipelagu Maltańskiego, tej twierdzy angielskiej, która daje Wielkiej Brytanji klucz do władzy nad morzem Śródziemnem.

Mądra, przewidująca polityka imperjum brytyjskiego zapewniła Anglii kontrolę nad światowym handlem morskim. Pozajmowawszy bowiem na całej kuli ziemskiej ważniejsze punkty strategiczne, trzyma swą ciężką łapę na pulsie ruchu szlaków morskich, a już specjalnie decydujący głos ma na morzu Śródziemnem. Przy wejściu Gibraltar, w środku Malta, Suez przy wyjściu strzegą skutecznie drogi do Indyj, tej najprzedniejszej perły w brytyjskiej koronie.

Archipelag Maltański składa się z sześciu wysepek: Maltę, Gozo, Marfy, Comino, Cominotto i Filfoli. Największa jest Malta o powierzchni 250 km² i 200 tys. ludności ze stolicą archipelagu miastem La Valetta, które liczy 80 tys. głów. Druga z kolei wyspa Gozo ma 25 tys. mieszkańców. Całość powierzchni archipelagu wynosi 306 km², a zaludnienie przekracza 230 tys.

Flora jest tu już afrykańska, natomiast fauna europejska, co potwierdza hipotezę geologiczną, że ongi Malta tworzyła wspólny ląd z Sycylią.

Ludność w przeważającej części składa się z drobnych posiadaczy rolnych i pochodzi prawdopodobnie od starożytnych Fenicjan. Później zmieszała się z Arabami i Włochami i mówi dziwnym językiem, który jest mieszaniną słów fenickich, arabskich, łacińskich i włoskich, a właściwie sycylijskich. W mieście przeważa element włoski i grecki.

Malta została skolonizowana przez Fenicjan na 900 lat przed Narodzeniem Chrystusa. 600 lat należała do Kartaginy, później

przechodziła kolejno pod władzę Rzymu, Bizancjum, Saracenów, Normanów i Hiszpanji.

W r. 1530 Karol V podarował Malte Zakonowi Kawalerów Szpitalników, których z wyspy Rodos wygnali Turcy. Przemianowali się oni potem na Kawalerów Maltańskich. W czerwcu 1798 roku Napoleon w drodze do Egiptu zatrzymał się na Malcie i odebrał ją Zakonowi, zresztą bez żadnego sprzeciwu, przejąwszy pod władzę Francji. W trzy miesiące potem flota angielska zaatakowała archipelag. Po dwóch latach zażartej obrony osłabiony garnizon francuski, nie otrzymawszy świeżych posiłków, musiał się poddać. Od tego czasu Malta znajduje się w posiadaniu Wielkiej Brytanji.

Kawalerowie Maltańscy, zakon założony pod nazwą Szpitalników w r. 1099, tworzy dziś organizację czysto formalną z siedzibą w Rzymie. Jednak Italja, w której ręce przeszła po wojnie światowej wyspa Rodos, stara siedziba Zakonu, oddała w 1928 r. Kawalerom dawny ich zamek i kościół.

Stoję na pokładzie z poznanym w drodze technikiem Nigrim, który po urlopie wraca do Tripolisu. Za kilka dni wyruszy samochodem w głąb pustyni do Murzuku w Fezzanie, gdzie pracuje przy budowie fortu wojskowego.

Statek otaczają łódki, przypominające kształtem gondole weneckie. Wsiadamy do jednej z nich wraz ze studentem uniwersytetu katańskiego, mieszkańcem Malty, który ofiarował nam swoje usługi jako cicerone. Płyniemy powoli wzdłuż brzegu — przewoźnicy długimi wiosłami popychają łódź. Mijamy statki wojenne, gotowe do drogi, albowiem baza wojenna została w tych dniach przeniesiona z Malty do Haify.

Dobijamy do schodów przed budynkiem celnym. Rośli policjanci w doskonale skrojonych, ciemno-granatowych mundurach i czapkach, przypominających kształtem nasze szwoleżerskie, sprawdzają paszporty. *All right!* Wszystko w porządku.

Idziemy do miasta. Wąska droga pnie się wciąż w górę. Z obu stron piętrzą się wysokie, białe mury — co kilka minut przechodzimy przez małe kurytarzyki w murze i znowu natrafiamy na taką samą wąską drogę między dwiema ścianami.

Nic dziwnego, że w tych warunkach drobny garnizon francuski mógł się opierać skutecznie Anglikom przez dwa lata. Nawet przy dzisiejszej, tak udoskonalonej technice wojny, Malta jest twardym orzechem do zgryzienia.



...Statek otaczają łódki, przypominające kształtem gondole weneckie...

Ostatni kurytarzyk, i oto jesteśmy w sercu miasteczka La Valetta.

Malta słynie z doskonałych i tanich zapalniczek, i Nigri przede wszystkim chce sobie kupić jakiś piękny okaz. Wchodzimy do sklepu, wybieranie trwa bardzo długo — coprawda sprzedawczyni jest zupełnie na wysokości opinii o zwodniczej urodzie Maltanek.

Ja tymczasem wdaję się w rozmowę z właścicielem sklepu.

W obecnej chwili toczy się podziemna walka między Italią i Anglią o prawo do Malty. Włosi twierdzą, że archipelag leżący na szlaku wiodącym do kolonij włoskich musi i powinien przejść w ich ręce i jako poważny argument wysuwają pokrewieństwo geograficzno-etnograficzne. Anglicy milczą, ale gubernator lord Strickland wydał zakaz używania śpiewnej mowy Dantego na Malcie i stał się ulubionym bohaterem wszystkich pism humorystycznych w Italji.

Chcę więc w tej materji wybadać Maltańczyka.

— Jaki jest stosunek pana do Włoch? — pytam, może zbyt obcesowo.

— A co mnie ta cała polityka obchodzi — ja „tutejszy” — odpowiada niechętnie.

Widać, że się boi i nie da się pociągnąć za język.

Nigri wkońcu wybrał zapalniczkę i kazał sobie zapakować aż sto kamieni.

— Poco panu tyle tego dobrego?

— Per Bacco! Więc w Fezzanie mam chyba promieni słonecznych używać do zapalniczki — przecież żyję w pustyni.

Zwiedzamy miasto. Uliczki schodzą pod ostrym kątem wdół, aby za chwilę znów pięć się wgórę. Robi to wrażenie amerykańskiej kolejki w Luna Parku. Na dużym placu szereg wielkich, ciosanych głazów, strzeżonych przez policjanta. Okazuje się, że zakrywają one otwory, przez które zsypuje się zboże do śpichrzów, znajdujących się pod placem. Tak wyzyskano warunki terenowe.

Zwiedzamy dawny pałac Wielkiej Rady Zakonu. W jednym skrzydle urzęduje gubernator, resztę gmachu zajmuje muzeum. Przeważnie pamiątki z wojen tureckich. Stare broje, gęsto wykładane srebrem i złotem, oszczepy, miecze, katapulty, kule kamienne — stara oryginalna broń turecka. Nie brak curiosów, jak miecz i pistolet połączone razem i t. p.

Sala obrad Zakonu. Purpurowe, jedwabne obicia — na ścianie gobeliny, przedstawiające części świata. Drewniany tron Mistrza z przed pięciu wieków. Przetrwało to wszystko rozkwit i świetność Zakonu, świadcząc o niepewności ludzkiego jutra i zmienności człowieczej doli.

Katedra z XVI wieku, zbliżona stylem do baroku. Bardzo jasna wewnątrz i bogata w marmury i rzeźby. Stąpamy po grobowych płytach rycerzy zakonnych. Wielki ołtarz centralny i sześć kapliczek: włoska, angielska, francuska, hiszpańska, portugalska i owernjacka (dialekt prowincji Auvergne we Francji).

Ciekawa rzeźba grobowa na sarkofagu hiszpańskim: rycerz wsparty na dwóch niewolnikach — jeden murzyn, drugi ma wyraźne rysy słowiańskie. Podgolona czaszka z kosmykiem włosów — jakiś wolny syn Zaporoża dostał się w jarzmo dumnego granda, kawalera Maltańskiego Zakonu.

Nad wejściem do gmachu poczty wmurowana tablica na pamiątkę pobytu Napoleona na Malcie. Przeptywa wciąż pod nią fala eleganckich, wysokich, świetnie ubranych oficerów i żołnierzy brytyjskich, potomków grabarzy sławy doczesnej Wielkiego Imperatora.

Tak dobrze mi znane z Italji wąskie uliczki, obrzeżone wysokimi białymi kamienicami. Wszędzie prześwieca lazurowe morze. Ludność zbliżona typem do sycylijskiej. Kobiety tubylcze noszą charakterystyczne czarne płaszcze, zwane „faldetto“. Jest to rodzaj opończy, której część górna, przyszyta do twardej obręczy, tworzy coś w rodzaju budy dorożkarskiej nad głową.

Myśl o wspólnocie narodowej Maltańczyków z Italją nie daje mi spokoju — typowe nazwiska włoskie na szyldach, sama wreszcie nazwa miasta nasuwają bezwiednie to przypuszczenie.

— Czy jesteście Włochami? — pytam towarzyszącego mi studenta Maltańczyka.

Uśmiecha się twierdząco i, nic nie mówiąc, podaje mi jako dowód miejscową gazetę „Il Popolo“.

Dużo słów włoskich i łacińskich, ale ostatecznie nic nie rozumiem. Może jednak jest coś wspólnego. Przecież w Italji oprócz języka oficjalnego jest czternaście dialektów głównych, które się dzielą na niezliczoną ilość poddialektów, różnice przytem są bardzo znaczne. Ja naprzykład dobrze znam włoski, rozumiem dialekt genueński, neapolitański, rzymski, ale bolończyka czy sardyńczyka słucham, jak przysłowiowego niemieckiego kazania. Na tej podstawie można więc i język maltański uznać jako dialekt italski.

Wracamy na statek. Wyjeżdżamy o pierwszej po południu. Zimno i wietrzno, morze wzburzone i złe. Z brzegu żegna nas szczerkanie karabinów maszynowych, na morzu zaś kilkanaście kanonierek strzela do pływającego celu.

III

PRZYBYŁ NOWY GUBERNATOR

Ze słodkiego snu budzi mnie dobijanie się do drzwi i wołanie: *Siamo arrivati!* (Przybyliśmy).

Ubieram się szybko i wybiegam na pokład.

Stoimy w porcie Tripoli. Ołowiane niebo wisi nad białem mianstem. Ostry, zimny wiatr dmie od lądu i drobniotki, niewidoczny piasek dostaje się do ust i oczu. Na brzegu stoi zziębnięty, ze zsiniałą twarzą Farina i odrazu zaczyna mi na odległość wymyślać, że już od szóstej czeka tu na mnie, jakbym to ja był winien, że statek się spóźnił. Tak oto wita mnie upragniona Afryka!

Na statku gwałt i hałas. Tragarze w białych burnusach wtargnęli na pokład, służba okrętowa oddaje im bagaże i ciągle słychać wołanie: *Ali! Ali!* Czyżby to było takie standartowe imię?

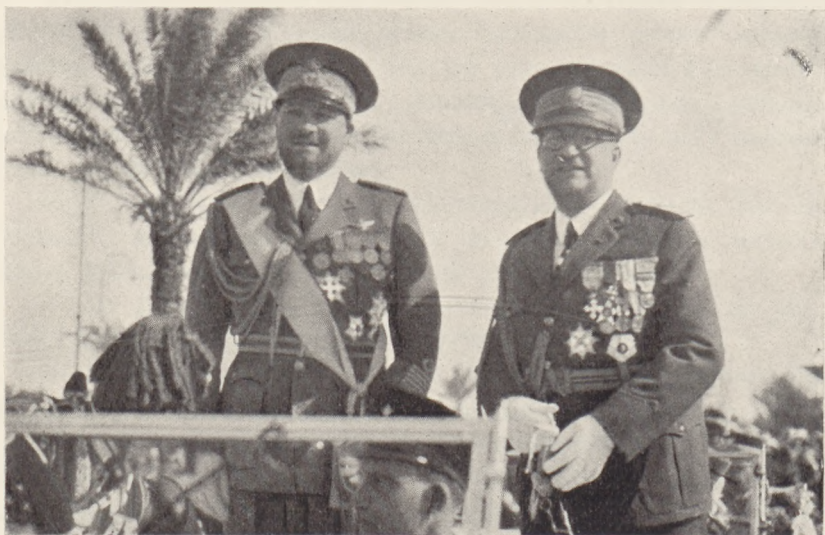
Następuje długa i nudna, biurokratyczna ceremonia paszportowa. Muszę zeznawać, że nie będę prowadził żadnej akcji politycznej lub handlowej, że jestem zdrow na ciele i duszy i t. p.

Wkońcu schodzę na brzeg i padam w otwarte ramiona Marcella.

Oczywiście jeszcze rewizja celna. Szukają tytoniu i otwierają na chybił trafił jedną z walizek, naturalnie tę, co się najtrudniej zamyka.

Pakujemy się do dorożki, powożonej przez jakiegoś „Ali“, zawiniętego w brązowy burnus, i jedziemy do miasta.

Ulice mają wygląd odświętny i uroczysty. Domy przybrane girlandami z zieleni, na placach widnieją bramy triumfalne, a wszędzie napisy: „Evviva Italo Balbo“ — „Niech żyje wielki lotnik włoski“ — „Evviva nowy gubernator“. Bo oto właśnie za godzinę przybywa do Tripolisu na krążowniku „Alberico da Barbiano“ nowomianowany zarządca Libji, Italo Balbo.



...popularna i uwielbiana przez Włochów postać Itala Balbo...

Nazwisko było tu już kiedyś znane, albowiem na 20 lat przed Narodzeniem Chrystusa prokonsulem Afryki był Lucius Cornelius Balbo.

I kto wie, czy wśród różnych powodów, które skłoniły Mussoliniego do mianowania gubernatorem Libji swojego najbliższego współpracownika, okoliczność ta nie odegrała pewnej roli. Il Duce jest dobrym psychologiem i znakomitym aktorem, docenia doskonale wagę słowa i uśmiechu, akcentu i gestu, legendy i tradycji, zna przytem nawylot swój naród i wie, że nawiązanie nici między prokonsulem starorzymskim a popularną i uwielbianą przez Włochów postacią Itala Balbo, doda jeszcze uroku osobie nowego zarządcy, a powagi i waloru wszelkim jego poczynaniom.

A poczynania te będą zapewne na miarę dotychczasowych prac i dokonań znakomitego działacza faszystowskiego. Bo tak zewnątrznie zdaje się, że Balbo został zdegradowany, i prasa całego świata dużo pisała o niełasce, o obawie konkurencji, która spowodowała Mussoliniego do wysłania go, gdzie pieprz rośnie. Kto jednak zna nastroje w Italji i wie, jaką wagę przywiązuje faszyzm do kolonij afrykańskich, jakie nadzieje wiąże z rozkwitem tej ziemi, a zapewne i z rozszerzeniem jej granic, ten zrozumie, jak doniosłe zadanie wziął Balbo na swe

barki i jak wielkiem zaufaniem darzy go Duce. Zresztą jest to już sekretem poliszynela, że wieści o „niełasce“ były inspirowane z Rzymu, prawdopodobnie dla odwrócenia uwagi... sąsiadów kolonialnych.

Życie i karjera Itala Balbo są ciekawe i urozmaicone. Urodził się w 1896 r. w Ferrarze i tuż przed wielką wojną ukończył szkołę średnią. Wstąpił na ochotnika do strzelców alpejskich i dosłużył się stopnia kapitana. Po wojnie ukończył wydział nauk politycznych. Był jednym z najpierwszych współpracowników Mussoliniego i twórcą bojówek faszystowskich. W październiku 1922 r. wszedł wraz z de Bono, de Vecchi i ś. p. Bianchim w skład quadrumwiratu, który zorganizował zwycięski marsz na Rzym. Był głównym współtwórcą milicji faszystowskiej i jej komendantem w latach 1923—24. W roku 1925 został podsekreterzem stanu do spraw gospodarstwa narodowego. Wreszcie w r. 1926 ma sobie powierzoną organizację świeżo utworzonego ministerstwa lotnictwa. I tu młody minister odrazu pokazał lwie pazury, a wyniki jego twórczej, metodycznej, planowej pracy zaczął wkrótce podziwiać cały świat. Od 1928 r. rozpoczął się okres imponujących drużynowych lotów hydroplanów włoskich, najpierw dookoła morza Śródziemnego, później w r. 1931 wielki lot Rzym—Brazylja, będący jednocześnie próbą ogniową aparatów, zakupionych w Italji przez rząd brazylijski, a ostatnio, w lecie 1933 r., wspaniałe rajd do Chicogo i zpowrotem, który przysporzył Italji wiele sławy, a organizatorowi przyniósł tytuł pierwszego marszałka lotnictwa włoskiego.

Więc człowiek takiej miary, takiej energii, inicjatywy i żelaznej woli nadaje się jak nikt inny na trudne stanowisko kierownika największej kolonii włoskiej. Ten, kto potrafił z niczego stworzyć wspaniałe lotnictwo włoskie, nie ulęknie się walki z jałowemi obszarami Sahary, tem bardziej, że jest entuzjastą pracy dla pracy samej i wymaga dużo zarówno od siebie, jak i od podwładnych.

To też jego przybycie rzuciło postrach na sfery urzędnicze, wzbudziło natomiast wielkie nadzieje wśród rzesz kolonistów, t. zw. koncesjonariuszy, poprzedni bowiem gubernator był doskonałym żołnierzem i „spacyfikował“ Tripolitanję, wymiótłszy ostatnich rebeljantów, ale nie orjentował się zupełnie w zagadnieniach gospodarczych, niedoceniał wprost tych spraw, i kwitnące koncesje zaczęły ostatnio upadać.

Po przybyciu na miejsce, gdzie czekał już na mnie przygotowany

pokój, kąpie się i przebieram jak najprędzej, i za pół godziny znów jesteśmy na ulicy.

Nastroj podniecenia i oczekiwania. Wszędzie tłum różnojęzyczny i różnokolorowy — Włosi, Arabowie, Żydzi, Berberzy, murzyni. Ogromna różnorodność typów oraz barwy skóry — od białej poprzez całą gamę odcieni oliwkowo-brązowych do czarnej jak smoła włącznie.

Wzdłuż chodników ustawione wojsko. Wiele oddziałów sprowadzono specjalnie na dzień dzisiejszy z głębi pustyni. Ciągą się one barwnym szeregiem od honorowego mołu przy bulwarze Conte Volpi, przez Lungomare Conte Volpi, Piazza Castello i ulicę Vittorio Emanuele III do rezydencji gubernatorskiej.

Więc żandarmerja arabska w płaszczach szkarłatnych, zwana „zaptië“, artylerzyści libijscy w mundurach żółto-złotych, „ascari“ przybrani zależnie od bataljonu w niebieskie, fioletowe lub kremowe kamizelki na białych koszulach, „arcù“, piechota erytrejska cała w bieli, wszyscy rośli i szczupli, w wysokich, sztywnych, czerwonych fezach, i malownicza konnica arabska w burnusach koloru indygo, obrzeżonych czerwono, i małych, miękkich fezach tegoż koloru. Dalej milicja faszystowska, „balilla“, „piccole italiane“ (odpowiednik żeński balilli) i szeregi czarnych koszul.

Delegacje meczetów z oryginalnymi chorągwiami w kolorze zielonym, żółtym lub czerwonym. Chorągiew taka ma 4—5 metrów długości i $1-1\frac{1}{2}$ metra szerokości, a do niesienia jej potrzeba trzech ludzi: jeden dźwiga kij, do którego jest przymocowana poprzecznie, a dwaj inni podtrzymują końce — na wietrze wydyma się jak żagiel i bardzo malowniczo wygląda.

Tuż przed pałacem gubernatora stoją delegacje arabskich organizacji religijnych, zwanych „zavie“, przybyłe z głębi kraju, z dalekiego Murzuku, Gatu, Gadamesu.

Osobną grupę stanowią przedstawiciele koncesjonariuszy rolnych, których przywiozły specjalne pociągi i autobusy z bliższych i dalszych okolic.

Nareszcie ukazuje się na horyzoncie „Alberico da Barbiano“, eskortowany przez drugi krążownik „Alberto da Giussano“. Oba statki płyną w kierunku wschodnim, by wziąć następnie kurs na południe, wprost na port Tripoli. Huczą syreny wszystkich statków w porcie, a pięć goszczących w chwili obecnej kanonierek angielskich oddaje powitalną salwę z dwudziestu strzałów.



...Delegacje meczetów z oryginalnymi chorągwiami...

Od brzegu odpływa motorówka — to dostojnicy trypolitańscy śpieszą na powitanie nowego zwierzchnika. Po kilku minutach marszałek Balbo ląduje na moło przy bulwarze Conte Volpi, witany grzmotem oklasków i potężnym okrzykiem: Eja, eja, alala!!

Bierzemy maratońskie tempo i, dopadłszy do domu, wdrapujemy się na płaski dach, skąd widać doskonale główną ulicę. Morze głów, a ponad nimi widnieją poprzeciągane gęsto wpoprzek ulicy niebieskie wstęgi z olbrzymim granatowym napisem — wszędzie tylko jedno słowo „Balbo“! Za chwilę ukazuje się sznur samochodów — w pierwszym siedzi gubernator z biskupem Trypolitanji, w drugim jego żona w towarzystwie generała Sicilianiego, dowódcy sił zbrojnych Libji — w następnych władze kolonjalne.

Balbo uśmiecha się i saltuje na wszystkie strony — mijając szeregi „balilli“ i „piccole italiane“, wstaje i zdejmuje czapkę. Frenetyczne brawa i entuzjastyczne okrzyki. Dzieci obrzucają samochód kwiatami.

Wieczorem w sali odczytowej muzeum, mieszczącego się w murach średniowiecznego zamku tureckiego, ma się odbyć ceremonia prezentacji nowemu gubernatorowi wyższych urzędników państwowych oraz kierowników organizacji wszelkiego charakteru, od politycznych do sportowych włącznie.

Po południu poszliśmy na mecz piłki nożnej, rozegrany przez reprezentacje statków włoskich i angielskich. Stadjon bardzo porządkny, betonowy tor kolarski i bieżnia lekkoatletyczna — trybuny murowane.

Starorzyskie upodobanie do igrzysk wszelkiego rodzaju, będące przejawem kultu dla tężyzny fizycznej, odżyło w obecnej Italji, jako fanatyczne niemal zamiłowanie do sportu, wyrażające się w wielkiej liczności organizacyj i drużyn sportowych, nadzwyczajnym rozwoju prasy sportowej oraz olbrzymiej frekwencji publiczności na zawodach. To też i dziś, pomimo że miasto było tak bardzo podniecone i zaabsorbowane przybyciem nowego, znakomitego gubernatora, jednak na meczu zebrało się dużo osób.

Publiczność bardzo różnorodna: mundury angielskie i włoskie, czerwone fezy i białe burnusy Arabów oraz fantastycznie powyginane „borsalina“ na czarnych czuprynach cywilnych przedstawicieli metropolji.

Zachowanie się widzów bardzo charakterystyczne dla różnicy temperamentów rasowych. Gdy Włosi i Arabowie, rozgorązkowani do najwyższego stopnia, podniecali swoich zawodników nieustannemi okrzykami, Anglicy siedzieli spokojnie, opanowani i beznamiętni, co pewien czas tylko jakby na komendę wybuchając wszyscy naraz krótkim, gardłowym okrzykiem, aby znów powrócić do milczącej obserwacji.

Przebieg wieczornej ceremonji prezentacji zarysował odrazu wyraźnie nastawienie nowego gubernatora. Balbo uściśnął około pięciuset dłoni, był bardzo uprzejmy, rozmawiał dużo i chętnie, lecz jego słowa często budziły konsternację i zaniepokojenie.

— Proszę pana — mówi do dyrektora Kasy Oszczędności, komandora B. — otrzymałem dużo listów, protestujących przeciwko działalności Kasy. Dlaczego tak jest?

— Ekscelencjo, czasy są trudne i byliśmy zmuszeni obniżyć wysokość kredytu.

— Gdy się obiecuje sto, można dać sto jeden, ale nigdy dziewięćdziesiąt dziewięć! Zresztą mogliście sobie pozwolić na zbytek wybudowania nowego gmachu, więc pieniądze widocznie są.

— Pan jest prezesem Touring-clubu i przewodniczącym trypolitańskiej loterji „automobilowej“, prawda? — zwraca się do komandora S.

— Tak jest, Ekscelencjo.

— Ile przyniosła loterja zeszłoroczna?

— Czternaście czy piętnaście milionów, nie pamiętam zupełnie dokładnie.

— Jakto, nie pamięta pan! — denerwuje się Balbo.

— Czternaście — mówi kawaler M., członek zarządu loterii.

— Jaką sumę otrzymały z tego instytucje dobroczynne?

— Około miliona — odpowiada już zdenerwowany komandor S.

— Dokładnie!

— 926 tys. lirów — wtrąca znów kawaler M., chcąc ratować sytuację.

— Więc kto jest prezesem, pan S., czy pan M. — wybuchnął Balbo. — Jeszcze o tem pomówimy szczegółowo.

— A pan co robi? — zwraca się do następnego, komandora de R.

— 36 milionów rocznie — odpowiada szybko zmieszany staruszek. Odpowiedź powoduje burzę braw i salwę śmiechu.

— Nie pytam ile, ale co pan robi — uśmiecha się Balbo.

— Jestem dyrektorem komory celnej — mówi już zupełnie spe-szony de R.

— Brawo! Nie spodziewałem się, że cła przynoszą taki dochód kolonji.

— Proszę pana — zwraca się Balbo do prezydenta miasta. — Chciałbym mieć jeden pokój tu, w zamku, na kancelaryę. Siedziba gubernatorska jest stanowczo za daleko od miasta i nie można ludzi narażać na stratę czasu.

— Panie gubernatorze, ale to jest przecież muzeum.

— Nic nie szkodzi. Z rana ja będę urzędował, a po południu będziecie zwiedzać muzeum.

— Ekscelencja będzie łaskaw dać mi trochę czasu na odnowienie i odpowiednie umeblowanie...

— Stół dla mnie i dla sekretarza, cztery krzesła, maszyna do pisanja i umeblowanie gotowe. Żadnych niepotrzebnych wydatków — mówi twardo Balbo.

Faszyzm zaciska mocno stalowe palce dookoła kolonji.

IV

MIASTO NA PROGU PUSTYNI

Budzę się rano. Pokój, w którym leżę, wygląda tak, jak mniej więcej wszystkie kawalerskie pokoje w t. zw. cywilizowanym świecie. Tylko sześćcian arabskiego domu po drugiej stronie ulicy i szarpany przez wiatr wachlarz liści samotnej palmy budzą egzotyczne dreszcze.

Otwieram szeroko okno. Ulicą płynie fala przekupniów arabskich, zachwalających hałaśliwie roznoszone jarzyny i owoce. Sami mężczyźni, gdyż kobieta arabska, ukazująca się publicznie jedynie pod postacią mumji, lub kto woli, kokonu jedwabnika, handlem się oczywiście nie trudni.

O dziewiątej wychodzimy na miasto — dzień dzisiejszy chce poświęcić całkowicie zwiedzaniu Trypolisu.

Białe niebo styczniowe i zamglone słońce nie wyglądają wcale po afrykańsku. Natomiast tumany drobniotkiego piasku, wciskające się do ust, oczu i uszu, przed którym nie chronią nawet zamknięte okna i zasunięte firanki, uzmysławiają dobitnie, że jesteśmy na progu pustyni. Duszny, męczący wiatr wieje z głębi lądu. Chorowite drzewa wyciągają ku niebu wpół uschnięte gałęzie, jakby błagając o ratunek lub rychłą śmierć. W powietrzu wisi jakiś dziwny nastrój przygnębienia i smutku.

Nowe miasto ma charakter zupełnie europejski. Świetny asfalt, doskonale chodniki. Białe domy włoskie z kolumnami lub większe i mniejsze pudła i pudełka, budowane teraz na całym świecie gwoli oszczędności i obrzydzeniu życia.

Na głównej ulicy Wiktora Emanuela III widać co kilkanaście kroków na chodniku kwadratowe otwory i sterczące z nich szerokie rury. W dzień przybycia nowego gubernatora były w nie wetknięte drągi, podtrzymujące transparenty, girlandy i t. p. Otóż te dziury



...Nowe miasto ma charakter zupełnie europejski...

i te rury są historyczną bolączką Trypolisu. Albowiem po każdej wielkiej uroczystości sterczą ku utrapieniu mieszkańców i dopiero jakaś katastrofa, w rodzaju potknięcia się pani burmistrzowej lub zniszczenia pantofelka pani komandorowej, zmusza magistrat do usunięcia pułapek. Lecz następuje nowy przyjazd czy odjazd i znów dziury i rury, i tak dookoła... święty Biurokracy.

Przyczepia się do nas jakiś żebrak.

Ja crimt' Allah! Spiri, spiri ut' Allah! (Zrób mi łaskę w imię Allaha, a on ci zwróci) — wlecze się za nami obdarty Arab.

Ja razak Ali. Ja razak (Idź z Bogiem, Ali, a On ci dopomoże) — mówi Marcello. Formułka ta ma podobno posiadać czarodziejską moc usuwania najbardziej natrętnego żebraka muzułmanina.

Lecz nasz prześladowca jest widocznie zdecydowanym niedowiarkiem i przekłada natychmiastową, realną pomoc ludzką nad mglistą, nieokreśloną Allacha, gdyż nie odchodzi, lecz wciąż mruczy swoje: *spiri, spiri ut' Allah!*

Dajemy mu jakąś drobnicę — naprzykrza się dalej.

Va via, Ali — va via!

I oto zwykłe „wynoś się“, wypowiedziane stanowczo i rozkazująco, robi to, czego nie dokonało zaklęcie w imię Allacha. Drab szybko



...Wchodzimy w dzielnicę arabską...

ucieka. Cywilizacja europejska triumfuje!

Na ulicach dużo Włochów. Reprezentują wszystkie warstwy społeczne, od władz kolonialnych poczynając poprzez wolne zawody, handel, rzemiosło, rolnictwo do służby domowej włącznie.

Wchodzimy w dzielnicę arabską. Małe zakratowane okienka i wąskie cuchnące uliczki, pełne Arabów w białych burnusach, przeważnie podartych i brudnych — niektórzy, zwłaszcza mali chłopcy, przybrani w worki z firmowemi napisami. Moc żebrzących dzieci — wielu ślepych starców, którym wzrok wyżałł piasek pustyni.

Dużo Żydów, przybranych w czerwone fezy, białe, dość szerokie spodnie, przywiązane w pasie sznurkiem, oraz białe lub kolorowe koszule luźno puszczone. Żydówki wychodzą na ulicę mocno umalowane i owinięte w białe jedwabne szerokie płaszcze. Typ fizyczny zupełnie różny od naszego i oko niezorientowanego Polaka raczej autentycznego Włocha wzięłoby za Żyda.

Oryginalny bazar arabski, mieszczący się w szeregu zamkniętych uliczek, oświetlonych otworami od góry. Idziemy uliczką Suk el Harra. Sprzedają tu wyłącznie dywany. Małeńkie sklepiki jeden obok drugiego — barwny, ciągnący oko towar wylewa się wprost na ulicę. Handlarze, zawinięci w burnusy, siedzą w kucki lub leżą na progu i zdają się spać czy też tonąć w głębokiej medytacji. Lecz wółprzymknięte oko czujnie bada każdego przechodnia i ocenia odrazu i pewnie jego wartość nabywczą. Gdy tylko poczują klienta, ożywiają się momentalnie i rozwijają cały zasób uprzejmości i wrodzonych zdolności kupieckich.

Zagłębiając się w najstarszą dzielnicę. Uliczki jeszcze węższe i zakratowane okienka jeszcze rzadsze. Gdzie niedługo arkada łuku

nad ulicą — to przejście z jednego domu do drugiego. Tu i ówdzie bania meczetu, nad którą wyrzela minaret.

Kobieta arabska prawie nigdy nie wychodzi na ulicę. Polem jej działalności jest dom, gdzie spędza życie, hodując potomstwo i zarządzając mniej lub więcej cuchnące potrawy dla swego pana i władcy. Obce oko męskie widzieć jej nie może. To też buduje się domy z oknami jedynie do podwórza, na którym jest skoncentrowane całe życie rodzinne i gospodarcze. Teren odkrada się ulicy, która jest wąska, pusta i opuszczona, gdyż nikt na nią nie wygląda i nikt o nią nie dba.

Napotyamy otwarte niskie drzwi wiodące na podwórze, położone niżej od poziomu ulicy. Ciekawie zaglądam do środka.

Dwie brzydkie jak noc niewiasty piorą bieliznę przy studni u stóp wysokiej palmy. Czyjś przeraźliwy okrzyk „rumi“ (Europejczyk) płoszy je i drzwi zatraskują się nam przed nosem.

Suk el Turk, główna ulica bazaru, jasna, gdyż przykryta szklanym dachem, opartym na drewnianem rusztowaniu. Dużo sklepów włoskich, żydowskich i tureckich. Ciszy i spokoju suków arabskich tu się już nie spotyka — panuje natomiast wrzask i harmider, niczem w neapolitańskiej uliczce lub na naszych rodzimych Nalewkach. Czego tu niema! Wyroby ze skóry i miedzi, srebra i słoniowej kości, fezy, wzorzyste tkaniny, strusie pióra, skóry węży i szakali, nadzwyczajne kolorowe pantofle, perfumy, jakieś zioła o czarodziejskiej mocy leczniczej i odmładzającej. Obok wyrobów miejscowych dużo towarów włoskich, japońskich (oj, ci Japończycy!) a nadewszystko wszechświatowa tandeta „Made in Germany“.

Dzielnica rzemieślnicza. Warsztaty wprost na ulicy lub w piwnicach, przypominających raczej nory. Szewc szyje buty, które tuż, jeszcze na „pniu“ sprzedaje. Obok kowal kuje żelazo na małym kowadłku — ogień bucha z prymitywnego piecyka, ulepionego z gliny.

Uliczka srebrników. Schyleni, małutkimi dłótkami kują wzory na srebrnej blasze, wyginają ją, aż nabierze kształtu wielkiego kolczyka, noszonego przez Arabki i Żydówki, czy też innej wschodniej ozdoby. Koks pali się małym płomieniem, podsycanym przez ręczny miech, a nad nim w tygielku gotuje się stop srebrny, który w pewnej chwili wylewają do formy, gdzie szybko stygnie. Dwóch Żydów, siedząc w kucki, operuje zręcznie dużymi szczypcami, nie dotykając niczego rękami. Rzucają na nas podejrzliwe spojrzenia — może biorą nas za tajnych agentów policyjnych.

Jatki ciągną się smrodliwym szeregiem. Rzeźnik bije bydło wprost na ulicy. Na ziemi leży rozplątane ciele z obciętą głową i nogami, a dookoła tłoczy się tłum dzieci, czyhających na moment nieuwagi, by porwać ociekający krwią kawał mięsa.

Wszędzie brud i zaduch. W powietrzu króluje jakiś słodkawy, specjalny, mdlący odór — czyżby to był ów opiewany przez poetów zapach Wschodu?

Wogóle Wschód zbliżony na odległość zasięgu oka i nosa traci wiele ze swej romantyczności. Jest ciekawy, nawet porywający, każdy z nas przecież ma wrodzony pociąg do egzotyizmu, ale ...olejkiem różanym nie pachnie stanowczo.

Cuscet es Seffar, uliczka małych kawiarenek. Wchodzimy do takiej norki i pijemy „legbi“ — jest to wino palmowe, płyn koloru mleka o słodkawo-kwaskowym smaku i nikłym procencie alkoholu. Wychodząc, spotykamy gromadkę kobiet w czarczafach — widać tylko czarne, gorące oczy i barwione henną włosy. To Turczynki. Nie znają wolności swych siostrzyc z ojczystego kraju — władza Kemal-paszy tu nie sięga.

Plac es Kasb (chleba), największy w Trypolisie, u stóp białego średniowiecznego zamku tureckiego, nurzającego fundamenty w morzu. Ogromny ruch — piesi, dorożki, autobusy, burnusy i euro-

pejskie stroje, czarni i biali pchają się i tłoczą. Szeregi sklepów z chlebem — w powietrzu zapach pieczywa. Dookoła kawiarnie arabskie. Marcello prowadzi mnie do jednej z nich i zamawia zieloną „cziai“ (herbatę), z palonemi orzeszkami „kakauia“, popularnie u nas zwanymi fistaszkami lub żydkami.

Przyrządzanie tej herbaty jest bardzo oryginalne. Z czajnika, trzymanego wysoko,



...Przyrządzanie tej herbaty jest bardzo oryginalne...

leje się płyn do małych szklaneczek, a później w podobny sposób znów do czajnika — operacja taka trwa dziesięć minut, a czyni się to dla rozpuszczenia cukru i dla pienistości.

Allach! jakież to kwaśne! — ściąga boleśnie język i podniebienie.

Dla poprawienia smaku pijemy zwykłą, doskonałą herbatę również z „kakauia“ i pokrzepieni kierujemy swe kroki do portu. Wychodzimy na latarnię morską, malowaną w poprzeczne czarno-białe pasy — u stóp naszych leżą płaskie dachy miasta, a wdali widnieją palmy w okolicznych oazach. Na granatowej roztoczy morskiej bielą się szeregi żagli — to rybacy wyjechali na połów tuńczyków, stanowiących bogactwo tych wód.

I oto znowu jesteśmy w europejskim centrum i ulicą Lombardja idziemy za miasto. Dochodzimy aż do dalekiej Porta Benito, bramy w murach, otaczających całe miasto. Dziś są bezużyteczne, ale jeszcze nie tak dawno służyły do obrony przed najściem zbuntowanych Arabów.

Przy bramie jakiś prawowierny pędzi stado kóz. W pewnej chwili zatrzymuje jedną z nich, rozkracza jej tylne nogi i, usiadłszy na ziemi, zaczyna ją doić do butelki.

— Wynos się! — krzyczy policjant.

— Nie mogę.

— Precz! Nie wolno tamować ruchu. Możesz sobie zejść nabok.

— *Essa vuole qui* (ona chce tu) — odpowiada spokojnie Arab.

Na taki argument policjant kapituluje — życzenie kozy musi być spełnione. Zresztą zabieg kończy się szybko i stado becząc idzie dalej.

Powrotną drogę odbywamy autobusem. W pierwszej klasie jadą Europejczycy — oficerowie i cywile — w drugiej zaś tłoczą się wrzaskliwi tuziemcy. Podział na klasy ma znaczenie jedynie finansowe — żadne względy rasowe nie wchodzą tu w rachubę.

Po drodze na małym placu widać karuzelę — konstrukcją przypomina kierat o dwunastu ramionach. Dookoła tłum dorosłych i dzieci. Część publiczności używa napowietrznej jazdy, siedząc na siedzeniach umieszczonych na końcu ramion, część zaś popycha karuzelę. Czas jazdy trwa trzy minuty — kto popychał trzy razy, ma prawo do jednej przejażdżki gratis.

Wysiadłszy z autobusu, idziemy do meczetu Gurgi. Zamknięty. Tylko przez kraty widać kolumny i mozaiki wnętrza, a w głębi bo-



...Przed meczetem (Marcello i autor)...

gato ozdobione i przykryte metalowym daszkiem w kształcie bani z półksiężycem u szczytu — schody, prowadzące w kierunku Mekki — wchodzi na nie mułła dla odczytania Koranu.

W przedsionku meczetu wzdłuż ściany podłużna skrzynia, napełniona wodą, z szeregiem kranów — u dołu znajduje się cementowane koryto dla spływu wody i szereg podwyższeń do siadania. Miejsce ablucji wiernych a brudnych, którzy pragną wejść do świątyni, a którym mądry Mahomet nakazał przedtem umyć nogi.

Przed meczetem różowieją w blasku zachodzącego słońca ruiny rzymskiego łuku Marka Aureliusza, a nad nie wystrzela smukły minaret, z którego w tej chwili spływa śpiewny, nabrzmiały objawieniem wielkiej prawdy, głos muezzina:

Allah ut' Allah, Mohhamed rasul Allah!

Dla odmiany wrażeń idziemy do europejskiej kawiarni Sorli, centrali plotek miejscowych. Za chwilę do naszego stolika przysiadają się dwóch znajomych Marcelła. Dowiedziawszy się, że mam zamiar pisać o Trypolitanii, zaczynają ze śmiechem opowiadać o jakimś Niemcu i bredniach, które wypisywał.

— Cóż właściwie napisał — pytam.

— Ano, był kilka dni w Socna w Syrtyce i napisał potem rewelacyjny artykuł do gazet włoskich, że odkrył trzy nowe jeziora.

— Więc?

— Więc w tych jeziorach żołnierze z fortu już od lat poili wielbłądy.

— Mnie się zdarzył lepszy kawał — woła ktoś od dalszego stolika. — Kilka lat temu przybyła z Rzymu wycieczka akademicka z profesorem na czele. Ja zostałem przydzielony jako cicerone. I oto profesor odciąga mnie na stronę i tajemniczo pyta:

— Panie, czy tu jest bezpiecznie?

— Najzupełniej.

— Lwy nie podchodzą pod miasto?

— Lwy? Przecież trzeba jechać aż do Sudanu, żeby je spotkać!

— Ja w każdym razie mam broń — mówi profesor i wyciąga z kieszeni mały damski rewolwer.

Przed kawiarnią na chodniku siedzi rząd Żydów czyścibutów i literalnie łapią każdego za nogi — ale też trzeba przyznać, że za małą opłatą pucują obuwie wprost artystycznie.

Wieczorem nakładamy smokingi i idziemy na zabawę do miejscowego klubu cywilno-wojskowego.

Nastrój narazie sztywny — stanowiska, ordery i majątki utworzyły oddzielne grupy, z góry patrząc na plebs, ale w miarę upływu godzin, alkohol i muzyka rozkrochmiłyłi możnych tego świata a ośmieliły maluczkich i zabawa ożywiła się *crescendo*.

Nowoczesne tańce poszły w kąt i zapanowało niepodzielnie coś pośredniego między polką i mazurem. Krzyki i przytupywania stały się coraz dziksze, przypominając jakieś kozackie hasanie i pohukiwanie.

Życie na kresach widocznie wszędzie jest jednakowe. I ten bal na krańcach włoskiej kultury stał się wkońcu podobny do wieczornicy tanecznej w stancy pana Wołodyjowskiego.

V

SOUGH EL GJUMA. HAMBROUSE. EL TAGIURA

O wczesnej godzinie wyjeżdżamy na rowerach za miasto. Piękny, ciepły, słoneczny poranek, jakby u nas w czerwcu. Niebo o głębokim, ciemnym, jednostajnym kolorycie jest dziwnie plastyczne — robi wrażenie blasku ciężkiego sukna, rozpostartego nad horyzontem.

Kierujemy się do Sough el Gjuma, wioski arabskiej, oddalonej o 11 km od Trypolisu, gdzie w piątki odbywają się jarmarki, ściągające tubylców z bliższych i dalszych okolic.

Doskonała asfaltowana szosa wiedzie cały czas wzdłuż osiedli arabskich. Za nami biegnie Sorman, żółta charcica rasy arabskiej, ulubienica Marcella. Każda napotkana kura budzi w niej krwiożercze instynkty i dopiero nasze wrzaski ratują niewinne kokoszki od nagłej a niespodziewanej śmierci.

Żółta, gliniasta gleba, uprawiana ręcznie motykami. Pólka podzielone na małe kwadratowe, starannie obwałowane ziemią zagłębienia, podobne do płytkich basenów. Cel — zatrzymanie jak największej ilości drogocennej wody. Wśród tych pól, a właściwie warzywnych ogrodów, widnieją białe studnie murowane lub lepienne — niektóre przekraczają podobno 50 m głębokości. Gdzie nigdzie bieli się przykucnięta postać, grzebiąca pracowicie w życiodajnej glebie.

Wśród pól rozrzucone smukłe, uwieńczone bukietem pierzastych liści palmy daktylowe i zagajniki krzaków rycynusu, które tu dochodzą do 4—5 m wysokości.

Coraz większy tłok znamionuje bliskość Sough el Gjuma i szosa staje się tak zatarasowana, że musimy wkońcu zsiść z rowerów, wziąć Sorman na smycz i posuwać się nogą za nogą.

Arabowie, Berberowie, Żydzi, murzyni — wszyscy śpieszą na



...wszyscy śpieszą na jarmark...

jarmark piechotą, czy też dosiadając osła, załatwić kupno albo sprzedaż, zasięgnąć wiadomości, poplotkować, spotkać się ze znajomkami. Jak wszędzie na świecie. Stada beczących owiec i obładowane ponad wszelkie granice możliwości wielbłądy, stanowią charakterystyczne dopełnienie tego egzotycznego tłumu.

Plac rynkowy w Sough el Gjuma przedstawia widok jedyny w swoim rodzaju. Pocięty jest smołowanymi uliczkami na szereg kwadratów, krytych lub otwartych i odgraniczonych jedynie płytami chodnika — są to hale targowe. W centralnym punkcie całego kompleksu mieści się niewielki biały domek z napisem: „Carabinieri Reali”.

Cała przestrzeń zatłoczona żywo gestykulującymi postaciami, zawiniętymi w burnusy najczęściej białe, rzadziej szare lub w czarno-białe podłużne pasy. Sami tubylcy, gdyż nawet żandarmi, reprezentujący tu władzę dalekiej, tajemniczej metropolji, składają się wyłącznie z Arabów. Gwałt i tumult nieopisany. Groszowy handel odbywa się przy akompaniamencie głośnych kłótni i namiętnych, nieskończonych dysput.

Rzuca się na nas gromada małych, natrętnie żebrzących dzieci, prawdziwa plaga afrykańska — smagli policjanci starają się je odpedzić zarówno wrzaskliwie, jak bezskutecznie.

Gubię w tłumie Marcella. Natomiast podchodzi do mnie jakiś wysoki drab, ubrany bardzo czysto i z wyraźną pretensją do elegancji. Białý burnus, pod nim fioletowa tunika, fez z długą czarną kitą i chodaki na nogach. Łamaną włoszczyzną wita mnie i wypowiada dłuższe przemówienie o wielkim zaszczycie, jaki spadł na Sough el Gjuma z racji odwiedzin tak znakomitego cudzoziemca (nadymam się odpowiednio) — wkońcu proponuje oprowadzić mnie po jarmarku.

Godzę się chętnie.

Tuż przy autostradzie, która przecina plac rynkowy, rozłożyli się piekarze i, przykucnąwszy obok leżących na ziemi desek, na których widnieją rzędy ciemnych jęczmiennych bochenków, hałaśliwie zachwalają swój towar. Uczułem głód i kupuję sobie taki chlebek. Ma dziwnie mdły smak — dowiaduję się, że jest pieczony bez użycia soli.

Niedaleko wielka zagroda — miejsce handlu bydłtami. Wielbłądy, leżąc na ziemi, przeżuwają miarowo i powoli, patrząc przed siebie cierpliwie i beznamiętnie, osły okupowały teren najbliższy ogrodzenia i wyciągają spokojnie zaczepione o nie żdzbla słomy, kozy i owce tłoczą się prostacko i bez godności.

W tym momencie jakaś biała, przeraźliwie wychudzona koza jest obiektem targu i zwraca na siebie ogólną uwagę. Właściciel poklepuje ją czule i rzewnie, wyliczając jej rzadko spotykane w kozim rodzie zalety, nabywcy zaś, patrząc na zwierzę z wyniosłą pogardą, ciągną je za ogon, obmacują wymiona, oglądają zęby. Delikwentka beczy lękliwie i boleśnie, dając wyraz swemu upokorzeniu i krzywdzie.

Przechodzą drogą, drepcząc powoli, maleńkie obładowane osiołki. Na szczycie spiętrzonych tłumoków siedzi rozkraczony jeździec i gołemi piętami przynagla do pośpiechu, wałąc w boki osła, ryczącego po każdym takim kopniaku.

Jeden z kwadratów zajęty jest przez szwaczki, stare Żydówki, które, siedząc wprost na ziemi, na poczekaniu krają i szyją na maszynach prymitywną bieliznę dla cierpliwie oczekującej, mało wybrednej klienteli.

Długi szereg jatek również nie może się skarżyć na brak kupujących — chude barany, rozdzielone na drobne kawałki, nikną w brudnych, kolorowych torbach. Wielkim popytem cieszą się głowy — czyżby mózg barani był tak bardzo cenny i poszukiwany?

Podchodzimy do miejsca, gdzie stłoczyła się gromadka kobiet.

Stare, paskudne przekupki żydowskie sprzedają tu paciorki, lusterka, perfumy i t. d. Osłonięte Arabki oblegają te cuda — piskliwy jazgot niewieści ostro przecina powietrze.

Do tej części jarmarku mężczyźni nie zachodzą prawie nigdy, a już pojawienie się Europejczyka jest niesłychaną rewelacją. Powstaje wielkie zamieszanie i konsternacja, kobiety gwałtownie zasłaniają oblicza, lecz równocześnie przez otwór, zostawiony w burnusie, którego fałda trzymana jest ręką na wysokości nosa, śledzą mnie połykające oczy i czuję na sobie ciekawe, przenikliwe spojrzenia.

Na samym krańcu rynku widać stosy kolczastego chróstu. Składają się nań gałązki obłamane z krzewów, rosnących gdzieś w pustyni, oraz długie, grube korzenie, odgrzebane pracowicie z pod piasku. Pęczki tego opału znajdują licznych i chętnych nabywców.

Mój przewodnik musi wracać do miasta — woła dorożkę i z wyszukaną uprzejmością zaprasza, abyin mu towarzyszył. Dziękuję równie wyszukanie, lecz odmawiam. Odjeżdża więc sam, żegnając mnie faszystowskimi wyciągnięciami ręki. Dobra tresura!

Szukam Marcella. Dalekie szczekanie Sorman naprowadza mnie na właściwy trop. Znajduję przyjaciela, trzymającego oburącz z wysiłkiem sukę, rzucającą się na każdego przechodzącego tubylca.

Zostawiwszy rowery i Sorman w kagańcu, przywiązana do drzewa pod opieką policjanta, idziemy do pobliskiej żydowskiej wioski Hambrouse.

Wygląda zupełnie tak, jakby przeniesiona z jakichś odległych czasów, o których nam mówi Stary Testament. Malutkie uliczki wśród niziutkich zabudowań, stanowiących jakby ślepy mur z rzadkimi otworami wejściowymi, prowadzącymi na podwórza. Nieopisana nędza ludności, zaduch i brud.

Dwóch młodzieńców, przybranych jedynie w długie koszule, niesie na drągu jakiś ciężar. Przed domem siedzi starzec i ostrzy prymitywny sierp na kawałku kości. Trzyma go zapomocą wielkich palców u nóg i nacina zęby dłótkiem — po każdym nacięciu palce nóg przesuwają sierp po kości. Zgarbiony stolarz przecina grubą deskę małą ręczną piłką; ileż czasu zajmie mu ta praca? Na nasz widok uśmiecha się, gładząc siwą brodę.

Pozwalają nam wejść do jednego z mieszkań. Jakaś namiastka sypialni, podłużna, ciemna nora, do której dostać się można jedynie na czworakach. Przy obu krótszych ścianach coś w rodzaju rusztowania z drzewa przykrytego płachtą — to łóżka. Na ścianie widać

fotografię rodziny, przypominającą, że to jednak wiek dwudziesty — coś z cywilizacji i tu się dostało.

Na straszliwie brudnym podwórku dwie kobiety — młodsza coś szyje, starsza gniecie ciasto. Kozy i drób cisną się razem, lecz czyż życie człowieka różni się tu czemkolwiek od zwierzęcego bytowania?

A jednak... Spotykamy gromadkę ludzi: młody rudy drab patrzy rozradowany na okrytą strzępem jakiejś przezroczystej zasłony dziewczynę — to orszak ślubny.

Przechodząc dalej, słyszymy przeraźliwe jęki i krzyki kobiece — dowiadujemy się, że to płaczki zawodzą nad świeżo umarłym.

Opuszczamy wioskę zamyśleni i przygnębieni. Jakże trudno pogodzić się z myślą, że w tych potwornych warunkach ludzie rodzą się, żyją, kochają i umierają opłakiwani...

Straszliwe jest to ghetto afrykańskie, o ileż biedniejsze i niższe kulturą od okolicznych wiosek arabskich. Jakiś pierwotny czy też ostatecznie zwyrodniały lumpenproletariat — coś, co urąga wszelkiemu pojęciu o inteligencji, inicjatywie i dążeniu naprzód człowieka.

Mijamy cmentarz — na kilku grobach, widocznie zamożniejszych, widzimy płyty z gołębicą, trzymającą w dziobie gałązkę oliwną, i z napisami w języku hebrajskim. Obok nędzne półko jęczmienia, wspólna własność całej wioski.

Wchodzimy na błyszczący asfalt szosy — widok ten uzmysławia nam jeszcze bardziej całą potworną nędzę i przerażający smutek oraz beznadziejność życia opuszczonego przed chwilą żydowskiego osiedla.

Odbieramy rowery i wyruszamy dalej, jadąc wśród poletek obsadzonych winoroślą i małymi sadzonkami oliwek. Po pewnym czasie uprawne pola ciągną się już tylko wzdłuż lewej strony szosy, z prawej zaś mamy pagórkowaty step, na którym zrzadka widać kępki irysów, okrytych kwiatami koloru lila.

Później mijamy saliny, leżące wpobliżu miejscowości Mellaha — pagórki soli bieleją i błyszczą w słońcu.

Jeszcze godzina pedałowania, przerywana częstymi odpoczynkami ze względu na „spuchniętą“, mówiąc językiem sportowym i ledwie powłóczącą nogami Sorman, i oto wjeżdżamy do bogatej oazy el Tagiura, gdzie podskórna woda daje życie tysiącom wspaniałych palm daktylowych.

Wśród drzew namioty Beduinów. Ci wolni synowie pustyni przybyli, by zebrać zakupiony uprzednio u właścicieli palm urodzaj



...Drewnianą, pierwotną sochą, zaprzężoną w krowę...

daktyli. Dokonawszy tego, odejdą do swoich dalekich piasków i skał w głębi Sahary, gdzie jeszcze nie daje się odczuć twarda ręka Europejczyka.

Wioska. W środku obszerny plac, na którym znajduje się biały meczet, grób świętego mahometańskiego z niską białą kopułą, czyli tak zwany marabut, kilka sklepów oraz szkoła powszechna.

Dookoła placu ciągną się kręte uliczki pomiędzy białymi murami lub wysokimi nasypami z żywopłotem opuncjowym, za którymi w głębi mieszczą się podwórza i zabudowania gospodarskie.

Dwóch Arabów właśnie obwałowuje pólko. Jeden wydobywa z głębokiego dołu wilgotną piaszczystą glinę i kładzie ją na nasyp — drugi ubija to łopatą. Resztę pozostawiają promieniom słonecznym, pod działaniem których wał stwardnieje i rozrosną się w potężne krzewy malutkie opuncje, zasadzone u szczytu.

Cień rzucany przez pierzaste liście drzew palmowych chroni od spiekoty ogrody warzywne i jęczmiona — to też urodzaje są tu piękne. Na niektórych poletkach zbiory już ukończone i przygotowują je pod nowy zasiew. Drewnianą, pierwotną sochą, zaprzężoną w krowę lub wielbłąda, Arabowie orzą pieczęłowicie urodzajną, bogatą glebę.

W wielu miejscach widać białe studnie z blokiem do czerpania wody.

Wchodzimy do meczetu na rynku. Półmrok, żadnych ozdób — na podłodze maty, na które nie wolno wejść w obuwiu, zakurzonem na drogach grzesznego świata. Wielka hala oświetlona małemi okienkami o charakterze strzelnic i wsparta na czterdziestu dwóch marmurowych kolumnach najrozmaitszego stylu. Zrabowano je z położonych o kilkadziesiąt kilometrów na wschód ruin Leptis Magna, ongi wspaniałego portu rzymskiego za rządów Septymjusza Sewera. Pod jedną ścianą liturgiczne schodki, skierowane w stronę Mekki, skąd duchowny odczytuje święte wersety Koranu.

Ciekawem zjawiskiem socjalnem jest kolonjalna szkoła pow-szechna.

Wchodzimy do porządnego białego budynku. Nad drzwiami frontowemi wielkie czarne litery obwieszczają, że: *L'Italia e il piu grande popolo del mondo* (Italja jest największym narodem świata). Złośliwe słowa cisną mi się na usta, lecz, nie chcąc robić przykrości Marcellowi, przyjmuję w milczeniu ten fakt do wiadomości, prze-żuwając przysłowie o sroce.

Spotyka nas młodzieńki szczupły pedagog i wprowadza do klasy. Dzieci wstają i wyciągają rączki, witając nas „romanamente“, poczem na znak nauczyciela siadają na miejsca.

Ściany obwieszane mapami i rysunkami zwierząt i roślin. Na głównem miejscu portrety króla i Mussoliniego oraz olbrzymi napis:

La vostra vita per l'Italia.

La vostra fedeltà per il Re.

Il vostro cuore per il Duce.

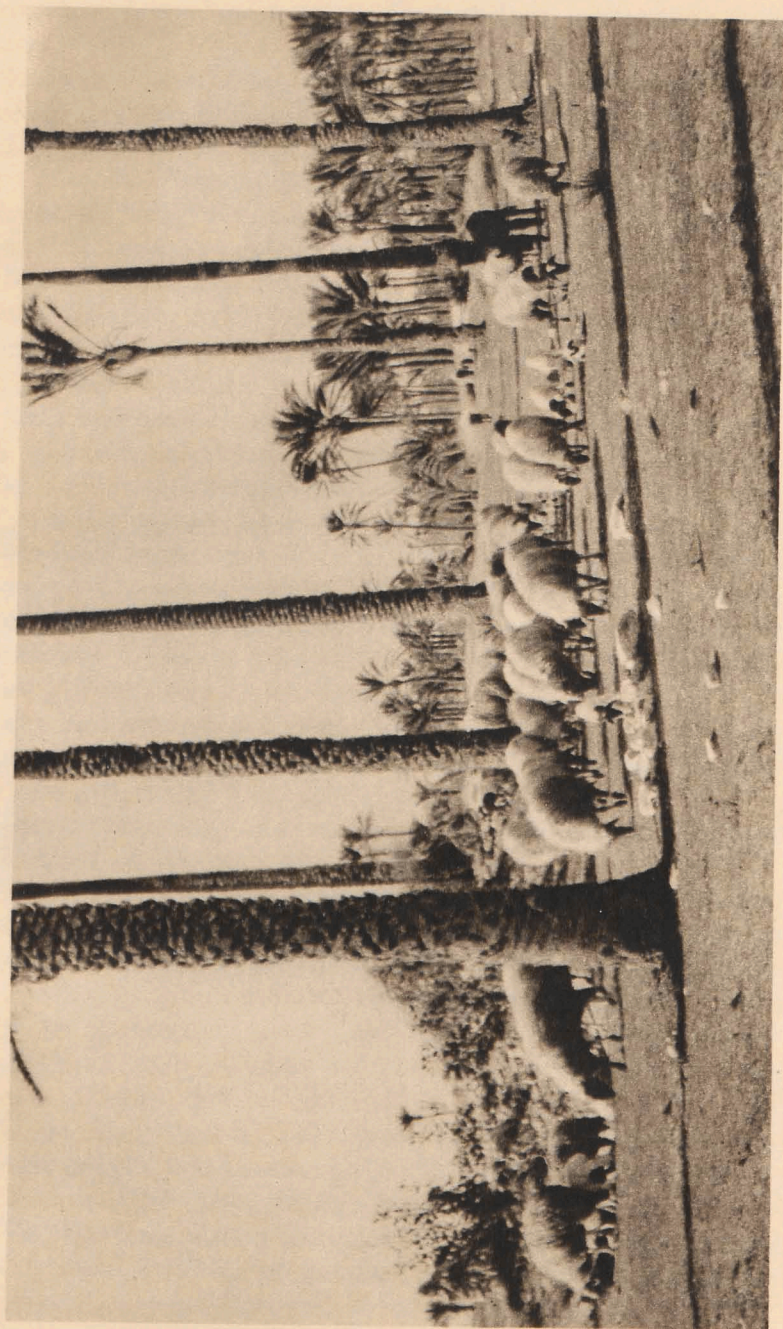
(Wasze życie dla Italji, wierność dla króla, serce dla wodza).

Kurs szkoły jest czteroletni. Każda klasa ma sześć godzin nauki dziennie. Włosi i tuziemcy uczą się razem, osobno jedynie odbywają się wykłady religji i historii.

Tak i historii! Albowiem tubylcy nie mogą słyszeć o Garibaldim, Mazzinim i innych bojownikach o wolność. Poco drażnić lichu, kiedy usnęło, a może... tylko spuściło powieki na tajemnicze wschodnie oczy.

Nauczyciel pragnie się pochwalić i pyta, czy chcemy przeegzaminować któreś z dzieci — prosimy uprzejmie, by sam to uczynił.

Niby się namyśla, a potem wyrywa jedno z pierwszej ławki, przypuszczalnie prymusa. Lecz speszzone naszą obecnością dziecko



...coraz większe stada owiec po drodze...

wytrzeszcza przerażone oczy i jąka haniebnie jakiś patryjotyczny wiersz.

Pedagog się czerwieni, więc, chcąc go wyratować z przykłej sytuacji, przerywam deklamację i rozpytuję o warunki szkolne.

Dowiaduję się, że ukończenie szkoły powszechnej jest obowiązkowe tylko dla Włochów, dla tubylców zaś dobrowolne. Dzieci ubogich uczą się bezpłatnie i dostają poza tem obiady w szkole. Pieniądze na to daje patronat szkolny, mający siedzibę w Trypolisie.

Szkoły powszechne rozsiane są we wszystkich większych skupiskach ludzkich, nawet oddalonych o wiele setek kilometrów od morza Śródziemnego. Arabowie bardzo cenią naukę i chętnie posyłają dzieci do szkoły.

Jakże wielkiem, cichem bohaterstwem jest praca tych nauczycieli, oderwanych od kraju i cywilizacji, toczących w samotności walkę z demonem analfabetyzmu i oddających swe młode siły sprawie niesienia kultury narodowej na dalekie krańce Czarnego Łądu.

Pozostają bezimienni. Miasta italskie pełne są marmurowych pomników generałów, poetów, polityków, lecz gdzież jest choćby najdrobniejsza tablica poświęcona ludziom, którzy sławią ich czyny i dzieła wśród piasków pustyni, febrycznych oparów i spiekoty słonecznej, wysysającej z nich młodość i życie?

Żegnamy młodego pedagoga, który, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, najniespodziewaniej pyta, czy „*il maresciallo Pilsuski*” i w tym roku wybiera się do Egiptu?

Opuszczamy oazę. Coraz rzadsze palmy, natomiast coraz większe stada owiec po drodze.

Tłuczemy się boczną kamienistą drogą. W pewnem miejscu natrafiamy na starą opuszczoną studnię, otoczoną cmentarzem włoskim. W czasie wielkiej wojny, gdy w całej Libji wybuchło powstanie, wrzucono tu i zamorzono głodem kilkunastu żołnierzy włoskich. Po opanowaniu rewolty wydobyto szczątki nieszczęśliwych i pogrzebano obok — kwitną im teraz irysy i śpiewają skowronki, jakby w dalekiej, słodkiej ojczyźnie.

Wyjeżdżamy znów na świetną szosę, obsadzoną eukaliptusami. Sorman zaczyna kuleć i zostawia krwawe ślady. Oglądamy łapy — jedna z przednich przecięta głęboko szkłem.

Marcello zarzuca sobie ulubienicę na kark, jak to czynią rzeźnicy niosący zabitego cielaka lub barana, i jedzie powoli, jedną ręką trzymając sukę, a drugą kierownik roweru.

Mijamy olbrzymie pola otoczone drutem kolczastym, własność ciężkiego więzienia, noszącego miano Sghedeida. Na wzorowo uprawnnych obszarach pracują więźniowie, skazani na karne roboty rolne.

Celowe i umiejętnie wyzyskanie rąk, tak bardzo tu potrzebnych do ciężkiej walki z pustynią.

Około szóstej wieczorem, przejechawszy dobre 60 kilometrów, zmęczeni, zakurzeni i głodni wracamy do Trypolisu.

VI

GARIAN. „TROGLODYCI“

Przez dwa dni wiał uparcie „gibli“ z pustyni, przynosząc ze sobą tumany piasku i gorący oddech Sahary.

Gdy o szóstej rano zajeżdża zaprzyjaźniony samochód, piasek jeszcze unosi się w powietrzu i wszyscy mamy czerwone oczy.

Jedziemy dziś na płaskowyż el Gebel, a ściśle, do miejscowości zwanej Garian, leżącej o sto kilometrów na południe od Trypolisu.

Sfatygowany Chrysler długo warczy, wreszcie jednak rusza i wkrótce zostawiamy miasto za sobą. Umowa z właścicielem następująca — jego auto, nasza benzyna.

Mijamy najpierw dobrze zagospodarowane kwitnące kolonje, potem łąn złotego łubinu na szczerym piachu, dalej budujące się domki i świeżo zakładane ogrody nowych koncesjonariuszy, a na koniec zagłębiamy się w jednostajny, szary step piołunowy.

Przejeżdżamy oazę el Azizia. Grunt zmienia charakter, zaczyna falować i coraz więcej kamieni widać przy drodze.

Na pustynnym obszarze wznoszą się stożkowate kopce piaszczyste. Na szczycie każdego takiego pagórka rosną jakieś niskie, karłowate krzaki, które w pogoni za wilgocią zapuszczają bardzo głęboko korzenie, a gałęziami czołgają się po piasku, by skuteczniej walczyć z wichrami. Powstaje w ten sposób kępczasty, przyziemny las pustyni. Wiatr nawiewa piasek, krzak walczy, chce żyć, przebija się ku słońcu i wypuszcza nowe gałęzie na powierzchnię. Zmaganie się takie trwa stale, i oto historia tych zieleniejących wyniosłości wśród śmiertelnie smutnej martwoty pejzażu.

Przed nami zarysowują się coraz wyraźniej poszarpane krawędzie el Gebel. Podjeżdżamy coraz bliżej, mijamy otoczone palmami źródółko i zaczynamy powoli wspinać się pod górę.

Strome, kamieniste, wygryzione przez północne wiatry zbocza. Samochód ciężko pnie się wzwyż, robiąc karkołomne zakręty i wciąż wymijając schodzące wdół, objuczone szeregi wielbłądów.

Docieramy do szczytu. Wspaniały widok na wielką płaszczynę, obrzeżoną dalekim lazurem morza, odcinającego się wyraźnie od żółtych piaszków i zielonych oaz przybrzeżnych.

Po krótkim postoju zjeżdżamy nieco wdół i oto jesteśmy na płaskowyżu Garian, najżyźniejszej części Trypolitanji. Centrum stanowi osada tejże nazwy.

Falista okolica o czerwonej glebie, pokryta jęczmionami — zrzadka rozrzucone wiekowe oliwy o potężnych pniach i urodzajnej koronie. Krajobraz przypomina Sycylię.

Skądże ta połać żyznego gruntu wśród otaczającej martwej pustyni? Odpowiedź prosta — obfitość źródeł, bogactwo życiodajnej wody.

Gdzie niegdzie na wzgórzach ruiny strażnic starorzymskich — po iluż drogach świata stąpały zwycięskie legie cesarów!

Mijamy niskie, niechlujne rumowiska — na pewno nie rzymskie.

— *Che cosa?* — pytam Marcella.

— Wioska Berberów.

Rzeczywiście, widać tu jakieś życie. Kura z gdakaniem wybiega na drogę, ukazują się dzieci, gapiąc się na samochód. Domy, a właściwie małe pudełeczka, ulepione z kamieni i gliny, napół porozwalane. Większość pusta zupełnie, w niektórych tylko mieszkają ludzie. Na jednym z dachów dostrzegam modlącego się starca — podnosi w górę ramiona i schyla się w kornym ukłonie.

W pewnym miejscu samochód nagle staje. Po obu stronach szosy widać kwadratowe obwałowania, a w niewielkim oddaleniu od nich otwory wysokości człowieka, obłożone kamieniami i przykryte u góry zlepionymi gliną gałęziami, wyglądające jak wejścia do naszych ziemianek, gdzie się przechowuje kartofle.

— Mieszkania „troglodytów“ — objaśnia właściciel auta.

Podchodzimy blisko do obwałowania i patrzymy wdół. Przejmujący widok. Ma się wrażenie, jakby te kilkanaście kroków, zrobione wbok od asfaltowanej szosy, cofnęły nas o setki wieków w czasie.

Kwadratowy dół w ziemi, którego każdy bok wynosi jakie osiem metrów, głęboki na dwa piętra, o prostopadłych ścianach, z otworami u dna, prowadzącymi do wygrzebanych w gliniastym gruncie jaskiń, służących za mieszkania dla ludzi i zwierząt, składy gospo-



...otwory u dna, prowadzące do wygrzebanych w gliniastym gruncie jaskiń...

darce i t. p. Niektóre otwory zawieszono płachtami lub zakryte gałęziami.

— *Ali! Ali!*

Na nasze wołanie ukazuje się na dole wąsaty i brodaty wyznawca Proroka.

Narazie opiera się naszym prośbom, by pozwolił zwiedzić jego mieszkanie, lecz dyskretny dźwięk dwulirówki działa magicznie i po chwili zjawia się przy wejściu na górze i woła nas za sobą.

Schodzimy wdół ciasnym, ciemnym, krętym kurytarzem. Spadziste, nierówne schodki, wykopane w ziemi, grożą co chwila upadkiem. Trzeba trzymać się ścian i schylać starannie, by nie wyrznąć głową w sufit tego podziemnego przejścia.

W pewnym miejscu robi się jaśniej i słychać jakieś sapanie — przechodzimy przez komórkę, gdzie znajdują się trzy wielbłądy. A więc i one zmuszone są odbywać tę podróż wdół i w górę. Jeden wysuwa za nami głowę, nieufnie patrząc w obiektyw mego aparatu.

Na podwórku wetknięte dwa drągi, a między niemi przeciągnięty sznur, na którym suszą się wełniane burnusy i pasiaste, kolorowe okrycia kobiece. Na środku znajduje się dół kloaczny, zasypywany specjalną ziemią, zmieszaną z solą.



...Jeden wysuwa za nami głowę, nieufnie patrząc...

Gromadka dzieci patrzy z ciekawością na niecodziennych gości. Kobiety naturalnie nie widać, gdyż oko niewiernego nie może swem plugawym spojrzeniem zbezcześcić żony prawowiernego muzułmanina.

Chcemy obejrzeć taką mieszkalną jaskinię, ale, niestety, nasz gospodarz ukrył tam swoje kobiety.

— Ali, powiedz niewiastom, by się dobrze okryły i przeszły gdzie indziej, a nam pokaż swoją izbę.

Arab się namyśla, wkońcu wydaje jakiś gardłowy, rozkazujący okrzyk i z za skleconych z gałęzi drzwiczek wypadają dwie kompletnie opatulone przedstawicielki płci pięknej i znikają piorunem w stajni wielbłądziej.

Biedna kobieta arabska. Już jako dziecko uważana jest za coś niższego. Chłopcy są tu dziarscy i pewni siebie — dziewczynki jakieś ciche, niepewne, załężnione. Często już dwunastoletnią dziewczynę wydają, a raczej sprzedają zamaż, i od tej chwili staje się trzymaną w zamknięciu maszyną do rodzenia dzieci i wykonywania najcięższych robót.

Zapalamy zapałki i schyleni wchodzimy do opuszczonej przez kobiety komórki. Na środku mały ogieniek, a nad nim na trójnogu garnek z wodą. W kącie rozrzucone na ziemi płachty do spania. Pod ścianą na patykach garnki, pozatykane dnem do góry — umeblowanie skończone. Dym rozłazący się po całym wnętrzu, drapiący w gardło i wyciskający łzy z oczu, wypędza nas prędko z tej nory.

Wracamy tą samą drogą na powierzchnię i zaraz zanurzamy się w inne przejście, wiodące wdół do podziemnej olejarni.

W okrągłej jaskini znajduje się wielka misa gliniana o średnicy kilku metrów — na środku osadzony jest wał drewniany, a do niego

przymocowany poprzecznie poziomy drąg. Na krótszym końcu drąga osadzony jest płaski kamień w kształcie koła, do dłuższego zaś wprzężony wielbłąd. Zwierzę, chodząc wokół w tym kieracie, obraca kamień, który, tocząc się w misie, gniecie zsypane tam oliwki. Co pewien czas kilku obecnych tubylców wybiera wygniecioną miazgę przy świetle łuczywa i sypie świeży zapas dojrzałych, tłustych owoców. Dokonawszy tego, gaszą natychmiast światło, gdyż podobno wielbłąd, chodząc tak ciągle wokół, musi znajdować się w zupełnej ciemności, inaczej zdechłby po kilku dniach.

Obok, w innej komorze, wydobywają oliwę ręcznie, bez pomocy siły zwierzęcej. Wielki drąg drewniany umocowany jest na poziomej osi; na krótszym końcu osadzony jest ciężki, okrągły kamień, do dłuższego zaś umocowany sznur, przerzucony przez przekładnię w suficie. Zapomocą tego sznura drąg zostaje wprowadzony w ruch wahadłowy i kamień gniecie worki z oliwkami, leżące w płytkim glinianym basenie.

Z obu olejarni przez otwory w dnie oliwa spływa drewnianymi rynienkami do zbiornika z wodą, znajdującego się w trzeciej, położonej na niższym poziomie, komórce. Oliwa osadza się na powierzchni wody i stąd zbierana jest do garnków i dzbanów.

Jedziemy dalej, mijając ciągle rumowiska wiosek berberskich i żółte, gliniaste wały, w których już rozpoznaję teraz podziemne mieszkania Arabów, a raczej „zarabizowanych“ Berberów. W pewnym miejscu wjeżdżamy w olbrzymie stado tłustych owiec, które z ogłuszającym bekiem rozbiegają się na obie strony szosy.

Nakoniec jesteśmy w osadzie Garian i zatrzymujemy się przed dużym hotelem Gebel. Po chwili siedzimy już przy elegancko nakrytym stole, nad półmiskiem znakomitego, dymiącego makaronu „alla napolitana“, w jasnej i czystej sali restauracyjnej.

Z poobiedniej siesty przy lampce wina wyrывa nas gwałtowne walenie w bęben.

Wypadamy przed hotel i widzimy jakąś osobliwą postać, przybraną w brudną podartą koszulę za kolana oraz burnus w szarobiałe pasy. Na głowie ma rodzaj kołpaka uplecionego z patyków i halfy, który okrywa całą głowę wraz z twarzą i opiera się na ramionach. Widać jedynie grube, czerwone, mięsiste wargi przez otwór zostawiony na wysokości ust.

Cała maska obwieszona różnokolorowymi wisiorami i paciorkami — z przodu dwa okrągłe szkieleka, mające wyobrażać oczy. Na

rzemyku przerzuconym przez prawe ramię i pierś wisi prymitywny bęben z drzewa, obciągnięty skórą, w który tajemniczy jegomość uderza grubym patykiem.

Patrzę pytająco na Marcella.

— Rytualny żebrak arabski, zwany busadia — brzmi odpowiedź. Cieszy się on wielkim poważaniem i opieką Arabów, którzy mu dają jałmużnę i jedzenie. „Zawód“ jest dziedziczny i przechodzi z ojca na syna — cech ten jest zresztą bardzo szczupły liczebnie.

— Patrz, co uczyni — dodaje Marcello i rzuca na ziemię dziesięć centymów.

Busadia wypęcza się jak zwierz na czatach. Obchodzi dookoła monetę, warcząc pod maską. Nagle staje, przykłada do ramienia kij trzymany w ręku, udaje, że repetuje karabin, i długo mierzy do miedziaka na ziemi. Wkońcu wydaje gardłowy krzyk, mający imitować strzał, i rzuca się na pieniądz, który połyka.

Rzucany jeszcze kilka monet, pragnąc zbadać, czy łyka je naprawdę, czy też tylko chowa pod językiem. Wkońcu podchodzę bliżej i patrzę w jamę ustną, kazawszy mu poruszać językiem — niema tam jednak nic.

— Widziałem busadia wymiotującego garścią monet — mówi ktoś z obecnych.

Żebrak nie męczy się wcale tem polowaniem na pieniądze i wciąż żąda nowych.

Mamy go jednak dość.

Barra Ali! (Wynoś się!)

Busadia znika na pobliskim jarmarku, a my idziemy w jego ślady.

Na zboczach góry plac targowy. Smród i wrzask straszliwy. Jako sprzedawcy królują Żydzi, przybrani w białe koszule, luźno puszczone na spodnie.

Kawały krwawego mięsa wiszą przywiązane sznurkiem do poprzeczki, opartej na dwóch wbitych w ziemię drągach, lub dla braku innego miejsca leżą wprost na ziemi, w brudzie i kurzu. Owce, kozy, a obok stosy chleba, dalej worki z siewką i halfą, niewyprane skóry, ociekające krwawą posoką, jakieś jarzyny i owoce. Tłumy Berberów i Arabów, a co pewien czas czarna sylwetka Sudańczyka, potomka dawnych niewolników. Małe osiołki stoją poważnie i klęczą objuczone wielbłądy.

Jedziemy dalej i po kilku kilometrach skręcamy w bok od szosy.



...na zboczu góry plac targowy...

Kilka karkołomnych skoków maszyny i jesteśmy wśród Żydów „trogłodytów“ w wiosce, zwanej Tigrina.

Opada nas odrazu kupa wrzeszczących bachorów.

Po chwili zjawia się młody, przystojny Żydek w fezie i kurtce europejskiej i ofiaruje nam swoje usługi — za dwa liry obiecuje odsłonić wszystkie tajemnice podziemnego bytu synów Izraela.

Podwórka przerażająco brudne, ale izby lepiej urządzone, niżeli u Arabów. W jednym z podwórek ustawiony prymitywny warsztat tkacki. Młodzietka Żydóweczka o drobnych czerwonych ustach i dużych czarnych, połyskliwych oczach, pracuje przy nim nad wyrobem jakiejś kolorowej płachty.

Opadają nas co chwila kobiety, proponując kupno wyrabianych przez siebie kilimów. Obwieszone mnóstwem metalowych naszyjników, mają w uszach olbrzymie kolczyki w kształcie półksiężyców i przybrane są w jaskrawe koszule i pasiaste narzutki.

Zwiedzamy podziemną synagogę. Kilka drewnianych kolumnienek podtrzymuje sufit — na podłodze maty. W kącie widnieje szafka — przez otwarte drzwiczki ukazują nam księgi święte. Długi pergamin, nawinięty na dwa poziome, ruchome drążki. Rabin poczyną kręcić jeden z nich — zwój przesuwają się powoli, ukazując naszym oczom niezrozumiałe znaki, stanowiące tekst Starego Testamentu. Do wskazywania czytanego miejsca służy specjalny miedziany nóż, misternie rzeźbiony. Potem schodzimy do innej, jeszcze głębiej położonej pieczary — jest to stara synagoga, licząca czterysta lat. Mieści się tam obecnie cheder, zastajemy właśnie lekcję talmudu.

Stary, przygarbiony rabin z długą białą brodą, w czerwonym turbanie na głowie i szklach na końcu nosa, poważnie objaśnia święte tajemnice. W ręku trzyma długą różgę ku poskramianiu wrzeszczących, niesfornych pupilów. W pewnym momencie dzieci wstają i nauczyciel daje znak do śpiewu. Spodziewam się usłyszeć jakieś pienia religijne, lecz ku mojemu zdumieniu zabrzmiały nuty Giovinezzy. Giovinezza śpiewana w żargonie!

Wracamy na światło dzienne. Znowu opadają nas Żydówki z kilimkami. Żądają dwieście lirów, za chwilę oddają już za osiemdziesiąt, a gdy wsiadamy do samochodu, cena spada do czterdziestu.

Niezapługo katastrofa. Kicha nawaliła. Właściciel auta majstruje przy reperacji, a my tymczasem gramy w skorpion-roulette, ulubioną grę legji cudzoziemskiej w Marokku.

Szereg kamieni leży na ziemi — trzeba zgadnąć, pod którym jest

skorpion. Stawiam trzy razy pięćdziesiąt centymów — dwa razy przegrywam, lecz za trzecim kopnięty nogą płaski kamyk odsłania małego biało-żółtego skorpiona.

Przynosimy trochę benzyny z auta, oblewamy niewielki krąg dookoła skorpiona i zapalamy. Szuka przez chwilę drogi do ucieczki z kręgu płomienia, lecz, nie znajdując jej, podnosi wgórę odwłok i popełnia samobójstwo, wbijając żądło w głowę.

Po kwadransie znowu „kicha“. Obok wioska arabska i oto udaje mi się sfotografować kobiety, piorące przy studni z odsłoniętą twarzą. Sukces rzadki, gdyż spotykane w handlu podobizny Arabek są to zawsze wesołe córki Koryntu, pozuające za odpowiednią zapłatą, jako uczciwe żony i matki rodziny.

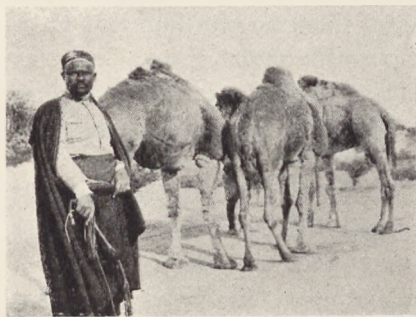
Wchodzę na wzgórek, siadam na gruzach starej rzymskiej strażnicy i rozglądam się dookoła.

Szary obszar, pokryty drobnymi krzaczkami piołunu i zrzadka pękami halfy. Gdzie niegdzie żółte plamy — to jęczmienne pola Beduinów.

Nomad orze drewnianą, zaprzężoną w wielbłąda sochą bezpański step, potem zasiewa jęczmień i rusza w swoją włóczęgę po pustyni. Po kilku miesiącach wraca, zbiera dojrzałe kłosa i znowu znika. Dziwne życie. Namiot, to jego dom, wielbłąd — rumak i nieodłączny towarzysz, burnus — całe ubranie i pościel zarazem, garść jęczmienia, wino palmowe, daktyl i cuchnące mięso baranie — niezmiennie menu.

I tak żyje prawy, odważny, gościnny i wolny!

Okrążając bokiem Garian, mijamy wielką dziwną, geometrycznie zabudowaną wieś. Oryginalne, okrągłe białe chatki, pokryte stożkowatą strzechą z chróstu i halfy — Arabowie nazywają je „kirbi“.



...tak musieli wyglądać handlarze niewolników...

Mieszka tu czarna tubylcza piechota „ascari“, wraz ze swoimi żonami i dziećmi. Bataljony się zmieniają, przychodzą i odchodzą, wciąż nowe rodziny zajmują chaty i coraz nowa gospodyni rozkłada swe garnki i fetysze. Dookoła widać ogrody warzywne, uprawiane dla potrzeb wojska, oraz place do

ćwiczeń wojskowych i ulubionych, religijnych i narodowych „fantazyj” czarnych.

Kilku „ascari” pędzi drogą wielbłądy. Surowe, czarne, złe twarze i zwisające na wargi wąsy. W ręku trzymają długie bicz.

I przychodzi mi na myśl, że tak musieli wyglądać handlarze niewolników.

VII

ZIELONY PROMIEŃ

Marcello zapowiada, że cały dzień dzisiejszy poświęca na naukę i wobec tego ani na krok nie ruszy się z domu.

Trudno mu się dziwić. W czerwcu składa egzamin doktorski i musi przecież niekiedy zajrzeć do książki.

Całe przedpołudnie bardzo przykładowie dotrzymuję mu towarzystwa z podręcznikiem ekonomji politycznej w ręku.

Ale po kilku godzinach złość mnie bierze — przecież przyjechałem tu poto, aby mieć do czynienia z Afryką i Arabami, a nie z ekonomją i ekonomistami.

Rzucam tedy książkę w ką i, skławszy od ostatnich Marcella, wychodzę na ulicę.

Dzień piękny, cichy i ciepły. Wypożyczam rower w najbliższym składzie i ruszam za miasto.

Mijam czerwony, opuszczony teraz budynek łazienek morskich, które i tu, jak w całej Italji, noszą nazwę Lido, koszary szkarłatnych żandarmów arabskich, zwanych „zapt'è“, drewniany most nad wyschłem „uadi“, gdzie zamiast wody widać rosnące kartofle i kapustę. Potem droga biegnie kilkaset metrów wzdłuż toru kolejki — sapiąca i dymiąca lokomotywa ciągnie sznur małych, obładowanych ciosanym kamieniem wagoników w stronę Zanzuru.

Ciągle jeszcze widać morze — na zlekka falującej turkusowej powierzchni pięknie wyglądają białe żagle łodzi rybackich. W pewnym miejscu, na wysokim brzegu, gdzie skała schodzi wprost do wody, jakiś Krezus miejscowy wybudował sobie willę i otoczył ją pięknym ogrodem.

Lecz oto szosa, obsadzona eukaliptusami i akacjami o białych,

grubych i długich na kilka centymetrów kolecach, zaczyna powoli odchodzić od morza.

Po obu stronach ciągną się świeżo zorane pola i bezlistne w porze zimowej winnice. To tak zwane koncesje, gospodarstwa kolonistów włoskich. Co pewien czas biała tablica z pękiem różg faszystowskich obwieszcza czarnymi literami, że tu się kończy jedna posiadłość, a zaczyna druga.

Słyszę za sobą huk motoru i przeraźliwe trąbienie i po chwili leżę wraz z rowerem w piaszczystym rowie przydrożnym.

Zrywam się wściekły i oglądam w poszukiwaniu winowajcy.

Na szosie stoi mały, półciężarowy samochód z szoferem murzynem.

— Mógłbyś uważać, czarna małpo, i wcześniej dawać sygnał!

Szczerzy białe zęby w szerokim uśmiechu.

— Ech, niech pan się cieszy, że jest zdrow i cały. W każdym razie mógłbym pana obsłużyć odrazu — mówi, wskazując za siebie.

Robi mi się dziwnie niemiło i odskakuję jak oparzony. Na samochodzie leży biała, świeżo zbita trumna.

— Żebyś pękł, czarny szatanie! — ulżyło mi trochę i zaczynam oglądać rower, na szczęście nieuszkodzony.

Skrećam w boczną drogę i po kilku kilometrach natrafiam na obszary czerwonego piasku. Jest tak drobniutki, że trudno gołym okiem rozróżnić oddzielne ziarenka — schyliwszy się nisko widzę, jak lekki wiaterek przenosi je z miejsca na miejsce, i słyszę dziwną, cichuteńką melodię ocierających się o siebie ruchomych piasków.

Obok biegnie szlak karawanowy — widać tysiące śladów kopyt wielbłądzych. Kilka wielbłądów posuwa się wolno, dźwigając liczne juki i zawiniętych szczelnie w burnusy synów pustyni.

Dla powstrzymania pochodu tych lotnych piasków sady się tu akację australijską, która walczy dzielnie i wytrzymuje zwycięsko napór pustyni.

Wracam na szosę. Znowu pola uprawne, nad którymi unoszą się ze śpiewem stada skowronków, uprzyjemniając ciężką pracę włoskiemu koloniście.

Kontrast pustyni z rodzącą się na niej kulturą robi ogromne wrażenie. Wspaniałe szosy, plantacje, sady, szkoły, gmachy pocztowe rosną jak grzyby po deszczu i są dowodem twórczego wysiłku, opartego przede wszystkim na przemyślanej, racjonalnej organizacji. Gdy się pomyśli, co zastali tu Włosi, okupując Libję w r. 1912,

i porówna z tem stan dzisiejszy, zaczyna się czuć szacunek dla wytrwałości i pracowitości wesołych Italczyków.

Warunki kolonizacji są następujące: rząd najpierw buduje szosę, wierci studnię, buduje dom i drogę od szosy do niego, i dopiero wtedy oddaje koncesję na podstawie kontraktu.

Kolonista wpłaca połowę należności odrazu, a drugą połowę dopiero po dziesięciu latach. W umowie ma wyszczególnione minimum drzew, jakie ma posadzić, zboża, które ma wyprodukować, warzyw, wina i t. p.

Po upływie owych lat dziesięciu specjalna komisja państwowa sprawdza stan kolonji. Jeżeli warunki kontraktu są wypełnione, kolonista wpłaca drugą ratę i staje się właścicielem koncesji, a nawet w dowód specjalnego uznania dla swej pracy i zasług, położonych dla kultury rolnej, może być zwolniony od należnej państwu sumy.

W przeciwnym razie, jeżeli stan kolonji jest niezadowolający i kolonista nie potrafi przytoczyć na swoje wytłumaczenie i usprawiedliwienie dość ważkich argumentów, koncesja zostaje mu odebrana i oddana komu innemu.

Warunki umowy ciężkie — przedsięwzięcie ryzykowne. Kolonizuje się tylko zupełne nieużytki, albowiem tam, gdzie się znajduje chociażby jedna palma daktylowa, lub Arab sieje swój jęczmień, koncesji się nie tworzy — jest to święta własność tubylców i rząd włoski respektuje lojalnie to niepisane prawo.

Dotychczasowe wysiłki koncesjonariuszy przedstawiają się pomyślnie i większość koncesyj wygląda kwitnąco. Koloniści, przeważnie lombardczycy z nad jeziora Como, lub też przybysze z okolic Wenecji, zdają doskonale egzamin wytrzymałości i przystosowują się prędko do trudnych warunków miejscowych.

Jadę powoli — od morza zerwał się silny wiatr i wieje mi prosto w twarz. Przede mną jakaś oaza.

Zrzadka rozrzucone palmy, białe studnie i, otoczone żółtymi nasypami i żywopłotami z opuncji, pólka i domki.

Przy szosie widać grupki Arabów, gawędzących lub grających w kości. Podjeżdżam blisko do młodego chłopaka, siedzącego na przydrożnym kamieniu.

— Co to za oaza, Ali? — pytam.

— Gargaresz, rumi — pada odpowiedź.

„Ali“ jest to zwrot grzecznościowy — coś w rodzaju naszego „proszę pana“. Każdemu Arabowi pochlebia, gdy się go nazywa

imieniem kuzyna Wielkiego Proroka. „Rumi“ oznacza chrześcijanina, względnie Europejczyka, w języku arabskim.

Niedaleko za oazą pas drutów kolczastych, szeroki na jakie piętnaście metrów, piętrzy się po obu stronach szosy — wspomnienie z nie tak dawnych czasów, gdy Trypolis i pobliskie oazy były napadane przez zbuntowanych nomadów.

Wracam do Gargaresz — zbliża się zachód słońca.

— Rumi, stój! — ktoś woła.

To młody Arab, z którym rozmawiałem przed pół godziną.

— Patrz na zachód słońca! — mówi.

Schodzę z roweru i siadam obok niego na kamieniu.

Ognista tarcza słoneczna stacza się coraz niżej, rzucając jaskrawy odbłask na szare pasma chmur, rozwłóczone na zachodniej stronie nieba, i powoli chowa się za horyzontem, śląc ostatnie żółto-czerwone promienie. I oto, gdy już widać tylko wąziuchny, krwawy pasek niknącej kuli, wystrzela nagle jakgdyby wachlarz najpiękniejszego seledynu. Cudowne zjawisko trwa kilka minut i znika tak nagle, jak się pojawiło.

Mam niebywałe szczęście. Zobaczyłem słynny zielony promień wschodni, który niekiedy pojawia się w lecie, a prawie nigdy zimą.

— Allach ci ześle fortunę, rumi — widziałeś zielony promień, turban Mahometa — mówi uśmiechając się Arab.

— *Salaam Alejk, Ali.*

— *Alejkum Salaam, rumi.*

Już w ciemności wjeżdżam do miasta.

— Fermo!

— Proszę albo zapalić latarkę, albo prowadzić rower — inaczej zapłaci pan karę — mówi policjant.

To już Europa...

Oddawszy rower, przechodzę koło kawiarni arabskiej. Siedzi przed nią znajomy Arab i pali nargile.

Jest to rodzaj dużej karafki szklanej, zatkanej korkiem, przez który przechodzą dwie rurki — jedna długa gumowa z ustnikiem na końcu, druga szklana, przez którą dym przechodzi do środka naczynia, napełnionego wodą z sokiem pomarańczowym — dodaje to podobno mocy dymowi. O kilka centymetrów nad korkiem umocowany jest rodzaj tygielka, w którym pali się tytoń.

— Ali — proszę Araba — daj mi spróbować nargile.

— Ostrzegam cię, rumi, że to jest bardzo mocne. Nie jesteś przyzwyczajony, zakręci ci się w głowie.

— Nie bój się, będę ostrożny

— A więc masz — mówi, uśmiechając się, pobłażliwie staruszek.

Biorę ustnik i pociągam, czując jakiś słodkawy smak w ustach. Za chwilę doznaję gwałtownego ucisku w piersi, zbiera mi się na wymioty, mam łzy w oczach — z ust i nosa wypuszczam kłęby gryzącego dymu.

— A ostrzegałem, że nie można żartować z nargile — gderze, podtrzymując chwiejącego się na nogach, stary Arab.

Niepewnym krokiem wracam do domu i od razu kładę się do łóżka.

Budzi mnie jakaś muzyka. Patrzę na zegarek — pierwsza po północy. Narzucam szybko płaszcz i wybiegam na ulicę.

Wesele arabskie.

Zakryte lando wiezie oblubienicę, poprowadzone przez dorożkę, w której siedzą trzej grajkowie — środkowy wali w bęben, a dwaj pozostali grają na fletach. Orszak ślubny jedzie w następnych licznych pojazdach — osobno mężczyźni, osobno kobiety.

Skracają w boczną ulicę Hsuna Paszy, zatrzymują się przed jakimś pałacem o zakrytych gęstą drewnianą kratą oknach, przez które przesącza się światło, i nikną wszyscy we wnętrzu.

W mieście spokój i cisza. Na granatowym, obcym niebie świeci wielki księżyc w pełni i co pewien czas przelatuje mi przez twarz snop promieni, rzucanych przez latarnię morską.

Wracam do łóżka — źle jednak śpię tej nocy. Nareszcie zmęczony przewracaniem się z boku na bok zaczynam się ubierać, starając się zachowywać jak najciszej. Ale, jak to zawsze bywa w takich razach, przekręcany kontakt trzaska głośno, hałasuje woda w miednicy i delikatnie zamykane drzwi strzelają jak z pistoletu.

Nakoniec szczęśliwie, nie obudziwszy nikogo, wychodzę na ulicę. Ciemno jeszcze zupełnie i spotykam tylko stróżów nocnych w mundurach koloru khaki, lub gazeciarzy, roznoszących po domach „Avvenire di Tripoli”. Jest piąta rano, pierwszy luty i +15° C.

Na dworcu kilkunastu Arabów oczekuje flegmatycznie na pociąg. Siadam przy jedynym kulawym stoliku w kącie, na stołku odstąpionym mi przez panią bufetową, i zjadam śniadanie, złożone z twardej jak kamień kiełbasy, jęczmiennego, niesolonego chleba oraz szklanki wody na przepełkanie gardła.



...Za oknami migają wciąż koncesje...

Wreszcie podstawiają pociąg — maleńkie wagoniki, te same, które zainaugurowały ruch na linii w 1912 r. Pociąg jest nawpół towarowy.

Arabowie ożywiają się momentalnie i rzucają się hurmem do wagonów, krzycząc wniebogłosy: *stenna szueia, stenna szueia* (powoli, powoli) i pchając się jeden przez drugiego równocześnie.

W pierwszej klasie miękkie, sprężynowe siedzenia, obite wypłowiałym sukrem, w drugiej — zwykłe, drewniane ławki, trzecia zaś pusta zupełnie. Na środku zrzucono torby i worki, a pod ścianami na podłodze rozsiedli się tubylcy, zapadłszy znowu w półsen czy kontemplację.

W moim przedziale jedzie kilku kolonistów, chłopów włoskich. Kwadratowe, silne bary



Stacja kolejowa w Es Sabria Bu Aissa.



...Dojeżdżamy do miejsca, gdzie szyny się kończą...

i opalone na bronz twarze. Zacierając ręce i plując co chwila na podłogę, mimo sakramentalnego napisu „*non sputare*“, rozmawiają głośno o bolączkach koncesyjnych i o nowym gubernatorze.

— Jeśli Balbo tu nie pomoże, to znaczy, że i djabełby nie pomógł — konkluduje wreszcie siwy, wąsaty chłop w bryczesach, z dubeltówką między kolanami.

Za oknami migają wciąż koncesje. Na żółtym piasku przyziemne, świeżo zasadzone winnice oraz pieczołowicie owinięte słomą i przywiązane do palików sadzonki oliwek, a w głębi białe domki kolonistów i żelazne szkielety studni artezyjskich.

Co pewien czas mijamy oazy: palmy w el Zauia, oliwki w Sorman. Potem wszystko się kończy i aż do Zuary ciągnie się szary, słony step i błyszczące, metalowe, wodne tafle sebch.

Wśród stepu namioty Beduinów, otoczone niskim płotkiem z chróstu — wielbłądy, owce i osły szukają pożywienia na jakże nędznym i chudym pastwisku.

Nagle stajemy w czystym polu. Wyglądam przez okno i widzę, że kierownik pociągu Włoch oraz dwaj konduktorzy Arabowie pędzą do ostatniego wagonu-platformy i wyciągają stamtąd jakiegoś tubylca, amatora darmowej jazdy, który dostaje wnyki i ucieka w step.

Dojeżdżamy do miejsca, gdzie szyny się kończą. Żadnego budynku stacyjnego, tylko biała tablica na słupie z napisem: Zuara-Citta.

Gromada wyrostków tubylczych wskakuje na stopnie i czepia się klamek. Konduktorzy biegają wzdłuż pociągu i okładają kijami tych pretendentów do jazdy na gapę. Widocznie taki atak na pociąg powtarza się stale, bo służba ma odrazu narzędzie kary pod ręką.

Rzadko rosnące palmy i białe nawpół porozwalane kwadraty domków na piasku. Zuara jest osadą czysto berberyjską i jedynym miejscem w Libji, gdzie Berberowie dochodzą aż do morza.

Fala morska wzbija się wysoko, rzucając białą pianę na szeroki pas piaszczystej plaży pod palmami. Grupki kobiet piorą bieliznę, stojąc po kolana w wodzie. Berberki nie zasłaniają twarzy, coś się popsło na tym odcinku państwa Mahometa.

...rzucając białą pianę na szeroki pas piaszczystej plaży pod palmami...



Widzę więc czarniawe ładne twarze, świecące oczy, czerwone usta i jędrne, młode piersi.

Uśmiechnięte, patrzą śmiało na mnie, dziwiąc się zapewne, skąd i dlaczego zimową porą pojawił się „rumi” na zuarskiej plaży.

Palmy, słońce, morze i to grono młodych, egzotycznych kobiet rozmarzają mnie i ośmielają... podchodzę bliżej.

Głos starej megery psuje nastrój — jak wszędzie zresztą na świecie.

Dziewczęta zaczynają zawzięcie szorować gałgany i nie patrzą już na mnie — idę więc dalej przed siebie, napychając kieszenie muszlami.

Oglądam miasteczko, dość ciekawy meczet i rynek, a potem w arabskiej restauracji zajadam pieczoną na rożnie baraninę, polaną jakimś czerwonym sosem, zagryzając ją jęczmiennym chlebem i zapijając palmowem winem „legbi”.

Przyglądam się otaczającym mnie, gawędzącym między sobą tubylcom i jest mi ogromnie dobrze. Zlewam się z tem prymitywnem otoczeniem, a obcość i egzotyzm wszystkiego daje dziwny spokój moim myślom i uczuciom. Leniwie i sennie myślę o mojem przeszłym i przyszłym życiu.

Podróżowałem już dużo, jak na moje lata, ale o ileż za mało na mój nienasycony głód nowych widoków i wrażeń. Jako dziecko pożerałem książki Karola May’a — Conrad, London, Curwood, Apelius, Cevenini, Sieroszewski, Goetel i Lepecki dawali mi chwile zapomnienia o wszystkim dookoła.

Nie zazdrościłem nigdy nikomu bogactwa, sławy, odznaczeń lub zaszczytów — zazdroszczę jednak gorąco wielkim podróżnikom i odkrywcom i żarliwie uwielbiam ich odwagę, żelazną wolę i moc panowania nad okolicznościami, przestrzenią, żywiołem i czasem.

Zwiedzałem Louvre paryski i muzea Watykanu, zbiory Wiednia i Neapolu i niejednokrotnie stawałem w zdumieniu i zachwycie, lecz częściej dusiłem się wprost wśród tego dostojeństwa i kurzu, zamkniętego w gablotkach.

Kocham wolną przestrzeń i czyste powietrze, kocham żywego człowieka, uwielbiam radosne, piękne, wspaniałe żywe życie!

Jak mi się ułożą dalsze moje losy — czy będą równie bogate we wrażenia i przeżycia, jak pierwsza, szczęśliwa młodość?

Co mi przyniesie zielony promień z Gargaresz?!

Każę sobie podać drugą porcję baraniny — sos mi ścieka po brodzie, mam zakurzone długie buty i rozchełstaną koszulę i jestem nieopisanie szczęśliwy.

W oczekiwaniu na powrotny pociąg włączę się między palmami. Zaszleściły zeschłe liście, wybiega długa czarno-szara jaszczurka i rzuca się do ucieczki — gonię za nią wesoły, jak dziecko i jak dziecko dnia tego beztroski.

VIII

TALA JEI JANARI. JADĘ W GŁĄB PUSTYNI

Obejrzałem w Trypolisie już wszystko, co było do obejrzenia, zwiedziłem bliższe i dalsze okolice, poznałem miejscowe towarzystwo europejskie i przedstawicieli wyższych sfer arabskich i postanowiłem wyruszyć w głąb pustyni.

Ale jak to zrobić? Moi drodzy gospodarze, państwo Sansone i Marcello z całej duszy pragnęliby dopomóc, ale po przybyciu nowego gubernatora nastąpiły zasadnicze zmiany na wielu wyższych stanowiskach i w obecnej chwili nie znają oni nikogo z tych, którzy mogliby mi ułatwić zrealizowanie upragnionej wyprawy.

Wkońcu wpadam na pomysł genialnie prosty: udać się osobiście wprost do dowódcy sił zbrojnych Trypolitanji, generała Sicilianiego. Albo mnie wyrzuci za drzwi, co wobec jego wysokiego stanowiska, a młodych lat petenta, nie będzie znów tak bardzo ubliżające dla mojej osoby, albo też przysłowiowy łut szczęścia stanie się moim udziałem i otrzymam pozwolenie korzystania z transportów wojskowych i gościnności fortów wojennych w głębi kraju.

Postanowiłem nie zwlekając zaraz nazajutrz z rana udać się do dowództwa. Po powzięciu tej bohaterskiej decyzji humor poprawił mi się znakomicie i pełen jak najlepszych myśli wyszedłem na miasto przejść się po sutem „pranzo” i odetchnąć świeżem powietrzem na nadmorskim bulwarze.

Przechodząc wąską uliczką arabską, przypatruję się wystawionym bajecznie kolorowym smakołykom wschodnim: ręce Fatmy w kolorze dojrzałej czereśni, jakieś cukrowe fioletowe koła, turkusowe owale i pomarańczowe trójkąty, ociekające lepkiem sokiem. Nie, nie mam odwagi tego spróbować.

Przedemną idzie trzech oficerów włoskiej marynarki. W pewnem

miejsu wyskakuje młody Żydek i gardłowym szeptem coś do nich przemawia. Słyszę urywane zdania: Panowie się przekonają... Świeże jak jabłuszka... Nowy transport, wprost z Francji...

Aha, alfons zachwalający żywy towar spragnionym marynarzom!

Po chwili znikają wszyscy w jednej z bocznych uliczek. Idę w ich ślady.

Każde południowe czy też wschodnie miasto ma swoją dzielnicę rozkoszy — w Trypolisie jest nią Sidi-Omran.

Niskie kwadratowe białe domki. Gościnnie otwarte drzwi prowadzą na mniej lub więcej brudne podwórko typu „patio”. Na ławkach pod ścianami siedzą klienci w burnusach lub europejskich ubraniach — niektórzy wyglądają nawet dość elegancko. Dziwne wrażenie robią ci mężczyźni, ich wyraz twarzy i zachowanie. Jakby jakaś gromada żebraków, oczekująca na brudny ochłap, który im mają rzucić — dumna męskość, autorytet pana i króla stworzenia, są tu mocno na szwank narażone.

Dookoła podwórka szeregi drzwi — wszystkie pokoje do siebie podobne: mata na podłodze, szafka, umywalka, kilka krzesełek, tapczan czy łóżko. W takim oto otoczeniu brudna, zniszczona i brzydka najczęściej Ewa podaje licznym Adamom mocno nadgryzione i nadpsute jabłka z rajskiego drzewa. Mieszkanki tych izdebek siedzą na macie lub też stojąc na wpół obnażone na progu, wabią gości słowami: *tala jei, janari!* (pójdź, kochany!).



...tala jei, janari!...

Lepszy towar, bo nie wiem, jak to inaczej nazwać, znajduje się na głównej ulicy tej dzielnicy, Zenghet el Buras. Czystsze pokoje, czasem, o bolesna ironjo, święty obrazek, lub ręka Fatmy na ścianie, a obok zawieszone ogłoszenie z pieczętką policyjną: „Oficerowie, podoficerowie i cywile płacą 10 lir, szeregowcy 5”. Arabki, murzynki, Żydówki, Maltanki, odpadki z Europy, które straszny los rzucił na ten afrykański brzeg na ostateczną poniewierkę i pohańbienie.

Co pewien czas spotykam dom z napisem „casa onesta” (dom uczciwy). Cicha tragedia ludzi, których bieda zmusza mieszkać w tej dzielnicy. Co myślą dzieci patrzące od zarania na poślisko i małość człowieka, jak kształtują się ich dusze wśród tej nędzy moralnej i podeptania godności ludzkiej?

Uliczka Scira el Bas — część arystokratyczna Sidi-Omran. Domy tylko dla Europejczyków.

Lokal Palumbo zamknięty. Właścicielka przez otwór w drzwiach wejściowych objaśnia, że po dzielnicy włóczą się marynarze włoscy i angielscy, więc obawia się, że mogą zachować się niekulturalnie i dlatego nie wpuszcza nikogo.

Niekulturalnie! Jak groteskowo brzmi to słowo w tem miejscu.

Natomiast pani Lisetta, ładna rudawa wiedeńska lat trzydziestu kilku, przyjmuje mnie bardzo uprzejmie. Woła swoje sześć panienek i przedstawia im „dziennikarza”, który w charakterze zawodowym zaszczycił dom swoją wizytą i pragnie go zwiedzić.

Muszę mruknąć pod nosem nazwisko.

Paniutki prezentują się dobrze. Trzy brunetki, dwie blondynki i ruda — Hiszpanka, Maltanka, Żydówka, Niemka i dwie Francuski.

Po krótkiej rozmowie pani Lisetta odsyła swoje podwładne, przepraszając mnie słowami: „Pan wybaczy, panie muszą odejść do pracy, klienci się niecierpliwią.”

Lokal urządzony bardzo porządnie. Dużo kwiatów, śliczny pies-wilk. Poczekałnie oddzielne, aby goście nie potrzebowali się spotykać — ładne podwórko z kolumnadą w stylu maurytańskim. Właścicielka żali się jednak, że dach przecieka i że wogóle te stare domy arabskie są niewygodne, wołałaby mieć nowożytny dom w innej dzielnicy.

Ponieważ teraz jest moda na kryzys, więc pytam, czy instytucja odczuwa tę aktualną plagę.

— W słowniku naszego zawodu ten wyraz nie istnieje — pada poważna odpowiedź.

Z rana wyruszam do dowództwa. W kieszeni mam bilecik skreślony przez panią Sansone do pułkownika Gambelliego — dodaje mi to otuchy, ale nie czuję się zbyt wyraźnie.

— Gdzie idzie? — pyta groźnie askar, stojący przy wejściu.

— Do pana pułkownika Gambelliego.

— Nie można!

Ano trudno. Kręcę się jakiś czas po okolicy, wreszcie powracam.

— Gdzie idzie? — powtarza swoje askar.

— Do pana generała Sicilianiego.

Nazwisko robi wrażenie. Tym razem wpuszcza mnie do środka.

Waham się kilka chwil niezdecydowany — wreszcie wchodzę na schody i siadam w poczekalni.

Podchodzi woźny i, dowiedziawszy się, że pragnę być przyjęty przez generała Sicilianiego, objaśnia, że generała niema i że zastępuje go pułkownik Gambelli.

Odetchnąłem! Jakkolwiek niebardzo wiem również, co mu powiedzieć, ale zawsze mam ten bilecik w kieszeni.

Wypełniam formularz: imię, nazwisko, data, cel wizyty: sprawa osobista, zawód — ano, było nie było: dziennikarz.

Po pięciu minutach wchodzę do pokoju, gdzie jakiś wysoki kapitan pisze coś zawzięcie. Chrząkam, podnosi głowę i, rzuciwszy mi: Pan pułkownik jest bardzo zajęty, proszę usiąść i zaczekać — pisze dalej.

Układam sobie na różne sposoby rozmowę z pułkownikiem, ale jakoś nie mogę nic mądrego wymyślić.

Telefon — kapitan podnosi słuchawkę.

— Pan pułkownik już jest wolny. Pan redaktor pozwoli za mną.

Ten redaktor dobił mnie ostatecznie. Z duszą na ramieniu idę długim kurytarzem za moim przewodnikiem.

Wkońcu kapitan otwiera jakieś drzwi, wchodzi i po chwili zjawia się znowu.

— Sprawę pana załatwi pułkownik Perugini. Następne drzwi. Dowidzenia.

Tabliczka z napisem „Colonello Perugini“ patrzy na mnie dziwnie nieuprzejmie, opadają mnie czarne myśli i najgorsze przeczucia — wreszcie, spłoszony widokiem idących kurytarzem oficerów, pukam i z determinacją wchodzę do środka.

Duży pokój obwieszony mapami Libji. Biurko, obite zielonem suknem, a w głębi za nim mały, siwiejący, uśmiechnięty wojskowy.

Kłaniam się, stoję i nie wiem, od czego zacząć.

— Proszę, niech pan siada, panie redaktorze — padają uprzejme słowa.

Rzucam karty na stół.

— Panie pułkowniku, ja naprawdę pisywałem dotąd tylko do dziennika sportowego, który zresztą kipnął niedawno po niedługim życiu. Użyłem tytułu dziennikarza, aby łatwiej uzyskać audjencję. Proszę mi wybaczyć.

Uśmiecha się i kiwa głową.

Ośmielony mówię o mojem gorącym pragnieniu zwiedzenia głębi kraju, o mojej pasji podróżniczej, o tem, co robiłem dotychczas, o korespondencjach, które pisuję z Trypolisu, a których los jest mi nieznan.

W pewnej chwili przerywa.

— Odbył pan służbę wojskową?

— Tak.

— Rodzaj broni?

— Artylerja.

— Nie boi się pan pustyni, trudów podróży i niewygód?

— Nie, nie!

— I bardzo pan chce zobaczyć tę pustynię?

— Bardzo, panie pułkowniku.

— I napisze pan o mnie w swojej korespondencji — pyta żartobliwie.

— To będzie zależało od wyniku naszej rozmowy — odpowiadam podobnie.

— Żegnam pana — urywa nagle.

Zdębiałem.

— Czy... czy mogę mieć nadzieję — jąkam zupełnie speszony.

— Dowidzenia, kolego, chciałbym mieć twoje lata — mówi, klepiąc mnie po ramieniu.

Wracam z nosem spuszczoneym na kwintę i z głuchą rozpaczą w duszy. Marcello pociesza mnie, jak może.

Około czwartej po południu dzwonek.

— Jakiś żołnierz do pana — melduje służąca.

Idę do drzwi. Żołnierz z paskiem pod brodą, służbowo, wręcza mi pomarańczową kopertę i, zaszalutowawszy, odchodzi.

Otwieram pismo drżącymi rękami i nie wierzę własnym oczom.
Komenda wojsk Trypolitanji.

Upoważnienie.

Dziennikarz polski, Bronisław Krystyn Wierzejski, jest upoważniony do bezpłatnego korzystania z wojskowych środków lokomocji, bezpłatnych noclegów w lokalach wojskowych fortów poszczególnych dowództw oraz za zwrotem kosztów z kuchni wojskowych i magazynów żywnościowych.

Na rozkaz
pułkownika Szefa Sztabu
Z. Gambelliego.

Zamaszysty, nieczytelny podpis i fioletowa pieczęć dowództwa.

Wpadłem w istny szal radości. Przetańczyłem jakiś dziki taniec z panią Sansone, wyściskałem Marcella, ucałowałem sukę Sorman i przegrałem w karty do pana Sansone.

Teraz trzeba pakować walizkę — jak najmniejszą.

Po długim układaniu ubranie i bielizna redukuje się do minimum, natomiast muszą się zmieścić butelki z amonjakiem i alkoholem, zastrzyki serum od ukąszenia żmii i skorpjona, olej rycynowy w proszku, wazelina, plastry, bandaże, wata, proszki od bólu głowy, mydło, pasta do butów i zębów, żyletka z dwoma paczkami nożyków, aparat fotograficzny i klisze, nóż, widelec i łyżka, manierka na wodę, oraz ołówki, papier i koperty.

Brakuje mi jeszcze dwóch derek.

Mając owo upoważnienie w kieszeni, idę najbezpieczniej do wojskowego magazynu, przedstawiam się jakiemuś poczcwiwcowi w okularach i po godzinnej rozmowie o Rosji i komunistach wychodzę obładowany dwoma nowiutkimi kocami.

Zkolei udaję się do baonu samochodowego dowiedzieć się, kiedy odchodzi transport w kierunku południowo-wschodnim, i oto okazuje się, że narazie nie przewiduje się nic takiego. Może zresztą odejdzie maszyna do Buerat el Hsun w następnym tygodniu.

Czekać tydzień! Niemożliwe, kiedy ziemia pali się pod stopami.

Na szczęście, pan Sansone zna dobrze przedsiębiorcę transportów prywatnych, pana Ostuni; mniej więcej w jednym czasie, dwadzieścia lat temu, przyjechali obaj do Trypolisu szukać chleba i powodzenia. I oto Ostuni, prawie analfabeta, dorobił się milionowego majątku i obecnie jest właścicielem olbrzymiego przedsiębiorstwa

transportów samochodowych dla komunikacji handlowej z wnętrzem kraju. Pięćdziesiąt samochodów ciężarowych z przyczepkami, szeregi garaży, biura, warsztaty reparacyjne itd.

Udajemy się za bramę Porta Benito.

Ostuni, niski, ryżawy, piegowaty grubas około pięćdziesiątki, wita pana Sansone z wylewną serdecznością.

— Pozwoli pan, kochany Ostuni, że mu przedstawię naszego przyjaciela Polaka, który będzie korzystał z pańskich samochodów w głębi kraju.

— Co?! niemożliwe. Ja nie mogę brać pasażerów.

— Nawet dla mnie pan tego nie robi, a dawna znajomość i przyjaźń gdzie? — zaperzył się pan Sansone.

Rozmowa przeszła na inne tematy. Mówiło się o kryzysie, o Balbo, o krytycznem położeniu właścicieli domów, jako że obaj panowie posiadają kamienice w Trypolisie.

Po kwadransie pan Sansone zaczyna się żegnać.

— Dowidzenia Ostuni, a więc załatwione.

Nie zrozumiałem, o co chodzi.

— Tak — mówi Ostuni — pan „Polacco“ może korzystać z moich samochodów, tylko musi jakoś dostać się do Misuraty, gdyż na tej linii „Società Trasporti“ ma monopol na pasażerów i, gdyby znaleziono pana na moim wozie, zapłaciłbym grubą karę.

Zaopatrzone w listy polecające Ostuniego, idę za panem Sansone do „Società Trasporti“. Krótka rozmowa z panem Franco, kierownikiem ruchu w tem towarzystwie, kończy się tem, że mam się zjawić nazajutrz z rana, aby wyruszyć do Misuraty.

Czem ja się odwzięczę kochanemu panu Sansone!

Rano. Motor warczy — siedzę w autobusie odchodzącym do Misuraty.

Mieliśmy odjechać o siódmej, a oto już ósma i zaledwie kilka minut temu maszyna zjawiła się przed agencją.

Pakują stopy rzeczy na dach — moja walizka znalazła się obok beczki z benzyną — naostatku ładują worki z mąką, a na to kładą chorego Araba na sienniku.

Zaczyna padać deszcz, przechodząc w gwałtowną ulewę, rzadkie zjawisko w tym suchym kraju. Autobus trzęsie. W drugiej klasie, pełnej Arabów i żołnierzy, hałas i ożywiona wymiana słów. W pierwszej oprócz mnie jedzie trzech podoficerów i jakiś drzemiący cywil — mam dziwną pewność, że wszyscy jedziemy na darmo.

Co jakiś czas zatrzymujemy się w pobliżu fortów wojskowych i jadący z nami sierżant „ascari” zabiera lub też oddaje pocztę czekającym przy szosie żołnierzom.

Homs, Leptis (słynne ruiny starorzymskie), Sakel, Zliten, jedna z największych oaz Trypolitanii. Tu nareszcie zabierają spłakanego, przemokniętego i zziębniętego chorego. Bardzo jestem ciekaw, jaki będzie efekt tej przyrodoleczniczej kuracji, którą odbył na dachu autobusu.

Na stopnie gramoli się mały murzynek w białej czapeczce, na której wypisano odręcznie zielonym atramentem: „Central groom”.

— Kto cię obdarzył tak ważną funkcją?

— Jeden pan, wielki pan, „inglese”.

Autobus kręci po wąskich uliczkach pomiędzy białymi domkami, wreszcie wyjeżdża poza mur otaczający miasteczko — długa oaza pozostaje poza nami.

Mijamy na szosie turystę, zdążającego piechotą w stronę Misuraty — krótkie spodenki, plecak i podkute buty. Jasna rudawa głowa i czerwona okrągła twarz zdradzają Niemca lub Austriaka. Jeden z tych, co to sycąc głód wesołością i humorem, a zwalczając zmęczenie siłą woli i zapałem, bez grosza prawie, przemierzają kulę ziemską we wszystkich kierunkach.

Wdaję się w dysputę z cywilem, który okazał się kapitanem-lotnikiem, jadącym do Misurata Marina.

Kapitan Calascibetta pomimo, a może dlatego, że urodził się i wychował w Tunisie, szczerze nie kocha Francuzów. Obce i nie-miłe są mu ich metody pracy w kolonjach, ich stosunek do Arabów, ich chęć wzbogacenia się i zrobienia pieniędzy za wszelką cenę.

— Bo, proszę pana — mówi — ja władam dobrze dialektami Arabów Tunisu, Trypolitanii i Syrii, wychowałem się w kolonii francuskiej, znam dobrze życie tubylców i mogę porównywać politykę kolonialną Italii i Francji. Libję zdobyliśmy własnym wysiłkiem i własną krwią, nie ruszyliśmy własności tubylców, podnieśliśmy stopę życiową ludności, zakładamy szkoły arabskie. Dziś nikt nie umrze z głodu na drodze, a zawsze znajdzie opiekę w najbliższym forcie wojskowym. Czemu były owe okrzykane rebelje sekty Senussi i innych — ambicyjkami szejków, opłacanych przez obce państwa. Gdy powieszono kilku szejków, ucichło wszystko. Francja wysyłała na podbój Tunisu, a teraz Marokka, nieszczęśliwców z Legii Cudzoziemskiej lub wiernych sobie Arabów, ogołaca kolonie ze wszyst-

kiego na rzecz metropolji, dość przytoczyć hamowanie rozwoju przemysłu w Marokku... A wielka wojna i skandaliczne wysyłanie na front europejski Arabów i Senegalczyków, ginących tam masami. My Włosi uważamy Arabów za równych, Francuzi za coś niższego...

Szofer przerywa, wołając:

— Balbo! Balbo!

Autobus zwalnia, patrzymy w górę.

W czystym błękanie nad naszymi głowami leci kluczem pięć aeroplanów — prowadzi biały samolot Balbo. Gubernator wraca z inspekcji w Cyrenajce.

Misurata, słynąca ze swoich kilimów. Jeszcze nie tak dawno cuchnąca dziura i punkt aprowizacyjny powstańców arabskich. Dziś jest to drugie z kolei pod względem liczebności miasto Trypolitanji. Rozwijało się i prosperowało pomyślnie doniedawna, ale z chwilą, gdy zabrano stąd pułk piechoty, dobrobyt zaczął gwałtownie upadać. Żołnierze z piechoty byli to młodzi chłopcy, odbywający normalną służbę wojskową i otrzymujący zasiłki z domu — mieli więc co tracić i zwyczajem żołnierskim nie robili żadnych oszczędności, wydając wszystko, co otrzymywali.

Stojąca tu teraz kompanja milicji faszystowskiej nie może dać handlowi miejscowemu tego ruchu i ożywienia, składa się bowiem przeważnie z ludzi, których bezrobocie zmusiło wyjechać do kolonji na zawodową służbę wojskową, jedyne rozwiązanie ich beznadziejnego położenia. Otworzyli też własną kantynę, aby mieć wszystko po najniższej cenie.

Sytuacja jednak ma widoki poprawy, gdyż w programie rozbudowy kolonji przewidziane jest pogłębienie i rozszerzenie portu w Misuracie, co wpłynie niewątpliwie na rozwój ruchu okrętowego.

Kapitan Calascibetta oprowadza mnie po mieście. Rynek, kościół, ogródek, poczta, białe domki, koszary.

— Widzi pan ten dom z balkonem i to okno po środku w podwórzu? Siedziałem tu rok w niewoli u rebeljantów i nauczyłem się wtedy dialektu trypolitańskiego.

Wchodzimy do koszar żandarmerji. Kapitan wprowadza mnie do czytelnii i znika.

Na ścianach mapy, na stołach dzienniki i ilustrowane miesięczniki z przed dwóch, trzech lat. Biorę machinalnie do ręki „Le vie d'Italia“, otwieram zeszyt i mam przed oczami kościół Bernardynów w Warszawie. Artykuł zatytułowany „Sztuka włoska w Pol-



...Misurata, słynąca ze swoich kilimów...

sce" omawia specjalnie Bacciarellego i Canaletta — autor Włodzimierz Żaloziecki, profesor sztuki na uniwersytecie ukraińskim w Berlinie. Numer pisma z kwietnia 1930 r.

Autobus, kursujący między Misurata a Misurata Marina, odjeżdża, uwożąc Calascibettę, jako jedyne go pasażera, ja zaś idę szukać hotelu, który mi uprzejmy kapitan wskazał jako najtańszy.

Wchodzę do bramy. Jakaś stara wiedźma informuje, że trzeba iść na górę, gdzie mieszczą się pokoje hotelowe i znajduje się portjer. Idę więc po stromych, trzeszczących schodkach i widzę nad drzwiami ręczny krzywy napis: albergo. Wkraczam na kurytarz, pośrodku na podłodze siedzi wyrostek arabski i z zapalem, godnym lepszej sprawy, wygrzebuje brud z pomiędzy palców u nóg.

— Gdzie jest portjer, Ali?

— *Momentino!*

Znika i po chwili pojawia się znowu, ale już w białej, brudnej kurtce z wylogami i w fezie z literą „P” wyhaftowaną z przodu.

— Portjer to ja, czego pan chce?

— Jakto, czego chcę — potrzebuję pokoju.

Cztery pokoje, jeden straszniejszy od drugiego — brud, odrapane ściany, połamane sprzęty.

— Ej, panie portjerze — ja nie mam szarej maści.

— A poco szara maść?

— A poto, że w takich brudnych pościelach lubią urzędować różne zwierzątka...

— Nasze pościele są czyste i niema tam nic, a jakby się zdarzyło to nieszczęście — kismet.

Bodaj cię djabli wzięli z twoim kismetem!

— Więc który z tych pokoi jest do wynajęcia?

— Wszystkie. Każdy ma dwa łóżka. W jednym śpi teraz pijany sierżant, w drugim mieszka jakaś starsza pani, w trzecim sierżant Bianchini z żoną, ale zajmują tylko jedno łóżko. W czwartym niema nikogo, lecz musiałbyś więcej zapłacić.

Po krótkim namyśle zdeklasowałem pijanego sierżanta, zrezygnowałem ze starszej pani i, nie chcąc się wtrącać w intymne życie rodzinne sierżanta Bianchiniego, postanowiłem walczyć o czwarty pokój.

— Biorę pokój Nr. 4, czysta bielizna na łóżko i chcę być sam.

— A jeżeli ktoś przyjdzie?

— Zamykam drzwi od środka i jest mi wszystko jedno. Ile mam zapłacić?

— Piętnaście lirów.

— Co??!!

— Dziesięć lirów.

— Pięć lirów, czysta bielizna i sam!

— Mało, rumi.

— Wystarczy, Ali.

Przypilnowałem zamiatania i zmiany pościeli, a ponieważ ściany nie budziły mego zaufania, wysunąłem łóżko na środek pokoju. Załatwiwszy kwestję noclegu, idę do komendy placu i dowiaduję się, że oczekują maszyny z Homs, która jutro rano odejdzie via Tauorga i Bu Ngem do Hon.

— Godziny odjazdu jeszcze nie wiemy. Proszę zgłosić się później.

Włóczę się po mieście i oazie. Przyczepił się do mnie Żydek-czyścibut i nie odstępuje na krok.

— Wyczyścić buty?

— Nie.

Po kwadransie znowu:

— Wyczyścić buty?

— Nie.

W pewnej chwili wyprzedza mnie, biegnąc, siada na ścieżce przede mną i stawia stołek do oparcia nogi.

— No, wyczyść buty — mówi płaczącym głosem — dlaczego nie chcesz? Ja mam mało czasu, bo o zachodzie zaczyna się szabas.

— Za karę, że mi tak dokuczysz, czekaj jeszcze dwie godziny — mówię na odczepnego.

Około ósmej, gdy już zupełnie zapomniałem o nim, zabiega mi drogę koło poczty.

— Czego znowu?

— Kazałeś mi przyjść za dwie godziny.

Zdeterminowany poddaję się wreszcie zabiegowi oczyszczenia, gwałtownie zresztą tego potrzebujących, butów.

Pomimo trzykrotnej bytności w komendzie placu nie mogę tam jakoś zastać porucznika Ghezzaniego — decyduję się więc szukać go w mieszkaniu.

Jest w domu. Przepraszając za niefortunny zbieg okoliczności, zaprasza mnie na kawę i przedstawia swojej żonie.

Pani Ghezzani, rzymianka, mówi z tęsknotą o rodzinnem mieście

i cieszy się wyraźnie, że widzi kogoś, kto tak niedawno jeszcze oddychał powietrzem stolicy. Częstojuje mnie świetnemi daktylami z Tauorga.

Dla zrobienia mi przyjemności nastawiają radjo na Warszawę. Dowiaduję się, że buty najlepiej czyścić „Dobrolinem“, a krawaty kupować u Chojnackiego. Potrzaskałbym chętnie Bogu ducha winny aparat radjowy za takie wiadomości z kraju.

Ponieważ porucznik także nie wie, o której jutro odjeżdża ciężarówka, idziemy szukać sierżanta, dowodzącego autem. Obchodzimy kawiarnie, restauracje, wkońcu znajdujemy go w koszarach śpiącego na pryczy obok żołnierza jadącego również tymże samochodem.

Wstaje, przeklinając zapewne w duchu, i oznajmia, że odjazd nastąpi o czwartej.

— Panie poruczniku, ja nie potrafię sam obudzić się tak rano — mówię tragicznym głosem.

Porucznik zwraca się do żołnierza.

— Wstań, włóż buty i idź za tym panem. Zobacz, gdzie śpi, i jutro zbudź go o trzeciej trzydzieści.

— Rozkaz, panie poruczniku.

Dochodzimy do moich drzwi.

— To tu — mówię — dowidzenia.

W odpowiedzi słyszę, jak mruczy, schodząc po schodach, dosadne przekleństwo rzymskie:

Zgiń zamordowany i niech przeklęci będą twoi umarli.

IX

SAMOCHÓD CEIRANO. HON

O czwartej rano w zupełnej jeszcze ciemności opuszczam Misuratę. Długi, obciążony płótnem brezentowem, samochód ciężarowy Ceirano wiezie sprzęt lotniczy z Trypolisu do Honu. Prowadzi sierżant-lotnik.

Oprócz mnie jedzie dziewięć osób. Zprzodu w budce obok szofera siedzi dwóch podoficerów i brodaty cywil — ztyłu wśród paczek, opon, walizek, rowerów — czterech karabinierów, tragarz murzyn i jakiś mały Arab. Siedzę na drewnianej skrzynce, między dwoma beczkami: jedna zawiera drogocenną wodę do picia, druga benzynę. Ciasno, niewygodnie, nie mogę zupełnie poruszać nogami — samochód trzęsie, jak djabli, od beczek idzie lodowate zimno.

Jedziemy wzdłuż sebchy Tauorga — tafla wody połyskuje słabo o pierwszym szarem świtanii.

Okolo szóstej wytacza się z za widnokręgu jaskrawa kula słoneczna i oświeca czerwono słony step, na którym rosną jakieś drobne, szare krzaczki. Pod każdym duża dziura — mieszkania niezliczonych jaszczurek. Żerują one w nocy, pierwsze promienie słońca są hasłem do odwrotu i spoczynku.

Zziębnięci karabinierzy klną w żywy kamień — murzyn oświadcza poważnie: „być zimno“. Mam zupełnie zdrętwiałe i skostniałe ręce i nogi.

Mijają tak dwie godziny. Jedziemy z karawanową, a raczej karawaniarską szybkością, wyciągając dwadzieścia kilometrów na godzinę. Słońce zaczyna przypiekać po afrykańsku. Dookoła szaro-żółta, beznadziejnie smutna, jednostajna, kamienista pustynia — drobny żwir i gdzie niedziedzie drzewko rtemu.

Zawieram znajomość z towarzyszami podróży — czterej weseli

Italczyzy natrzęsają się z murzyna Salama. Powodem kpin jest jego dziewięcioletni bratanek, o bardzo jasnej skórze.

— Skąd ty, taki czarny, masz białego bratanka?

— Moja matka mieć pięciu synów, starsi biali, ja najmłodszy czarny.

— Aha, rozumiem, matka była już stara, źle biegła i murzyn ją dogonił — śmieje się Suzini, niski, krępy tokańczyk z czarnymi wąsikami.

— Moja matka być z Sudanu — oświadcza obrażony Salam.

Następuje długa cisza. Pejzaż wciąż bez zmiany, jedynym znakiem życia są spotykane co pewien czas duże czarne kruki.

Salam wyciąga worek z daktylami. Brac — częstuje.

Piasek trzeszczy w zębach — daktyle drobne, lecz słodkie i wyborne.

Suzini, który już od lat jest w Trypolitanji, opowiada dzieje podbicia Fezzanu.

— W Europie może śmieją się z nas — mówi — żeśmy potrzebowali tyle czasu na poskromienie garstki Arabów. Ale mieliśmy innych, stokroć potężniejszych wrogów: głód, pragnienie, upał, piasek, gibli... Ciężka jest służba w pustyni, ale piękna — kocham ją. Mógłbym już dawno być w cywilu, lecz oto znów odnowiłem kontrakt — już po raz trzeci. I nawet awansować nie mogę, nie mając żadnego wykształcenia.

Koło jedenastej dojeżdżamy do fortu Bir Gheddaghia. Zbudowany na wzgórzu, panuje nad otaczającą płaszczyną. Ani jednej palmy, tylko studnia zdradza obecność wody, która ożywia kilka małych, nędżnych poletek, otoczonych płótkami z suchych gałązek rtemu.

Przy trakcie w budce skleconej z desek sklepik, gdzie wszystko dostać można — prowadzony jest naturalnie przez Żyda.



...Powodem kpin z Salama jest jego 9-letni bratanek o bardzo jasnej skórze...



...Koło jedenastej dojeżdżamy do fortu Bir Gheddaghia...

Zabieramy tu nowego pasażera i jedziemy dalej. Pod płótnem samochodu jest niemożliwie ciasno i duszno — wdrapuję się więc na dach, rozkładam koce i momentalnie zasypiam. Gdy budzę się, nie jestem już samotny, obok mnie, leżąc na brzuchu z brodą opartą na rękach, śpi karabinier Falcedda.

Pustynia płaska jak stół. Tysiące śladów kół samochodowych. Teren jakby przygotowany do wyścigów, ale nasz Ceirano jest tak obładowany, że z trudem robi swoje dwadzieścia kilometrów.

W pewnym miejscu mijamy zwłoki owcy z wyprutymi wnętrznościami, na których uczują kruki. Zaczyna wiać zimny, przejmujący wiatr, niosący tumany kurzu. Niewielkie trąby powietrzne kręcą się tu i ówdzie — jedna wpada na nas i zasypuje piaskiem — mam pełne gardło i oczy.

Gdy już mogę otworzyć powieki, widzę dookoła oazy — kontury palm i tafle wody. Przyglądając się uważniej, spostrzegam dziwne drżenie wody.

Budzę Falceddę.

— Co to jest? — pytam.

Patrzy obojętnie, ziewając.

— Fata morgana. Zjawisko bardzo częste w tej części Sahary. Wi-

dać, że z pana jeszcze nowicjusz w pustyni, na mnie to już nie robi żadnego wrażenia. Fatę widzą wszyscy, ale kto ma pełną manierkę, ten się śmieje, kogo zaś męczy pragnienie — leci jak szalony przed siebie, aby znaleźć ten sam piasek i kamienie.

Rozmowę naszą przerywają wrzaski Salama.

— Stać, stać, benzyna ucieka!

Siedział pod beczką z benzyną i uczuwszy, iż jest mu dziwnie mokro, zorjentował się, że używa benzynowej nasiadówki.

Zdejmujemy szybko beczkę, przewracamy otworem do góry, owijamy gumą korek żelazny i, korzystając z postoju, włóczymy się po ostrym żwirze, rozprostowując zdrętwiałe członki. Salam zostaje na straży przy beczce.

Po pięciu minutach oświadcza z godnością:

— Benzyna nie uciekać!

Wstawiamy beczkę na wóz i ruszamy dalej. Karabinierzy urządzają sobie zabawę, przykładając zapalki i papierosy do przemozczonych benzyną spodni Salama.

Murzyn wrzeszczy nieludzkim głosem i chce uciekać na dach, Suzini czepia się jego nóg i ciągnie w dół.

— Ja spaść z samochodu, ja się zabić!

— Wielka rzecz, jednego czarnego będzie mniej na świecie. Rzucę cię na pustyni szakalom w podarunku, będą wymawiać potem z poważaniem nazwisko żołnierza Suzini.

Dojeżdżamy do położonego na wzniesieniu i otoczonego drutami fortu Bu-Ngem. Wpobliżu oaza tejże nazwy, do połowy zasypana piaskiem — pod palmami namioty Beduinów.

Wnętrze fortu stanowi prostokątny kwadrat z szeregiem drzwi wewnętrznych. W środku stoi mały drewniany domek — siedziba oficerów.

Porucznik Gifuni przyjmuje mnie bardzo serdecznie. Dostaję pokój przeznaczony dla przyjezdnych oficerów. Umeblowanie stanowią: pomalowane na białą połowę łóżko, szafka, krzesło, stół i umywalka, które mogą być szybko rozmontowane i wstawione do szafy. Wszystkie pokoje w fortach są tak praktycznie urządzone — wynalazek i patent kapitana Cesarettiiego.

Drzwi i okno wychodzą na podwórze, wysadzone eukaliptusami i pełne askarów erytrejskich, stanowiących załogę większości fortów. Zbliżeni typem do Abisyńczyków, są bardzo wysocy, smukli, o cienkich nogach gazeli — świetni piechurzy, bardzo odważni i politycznie



...Wstawiamy beczkę na wóz...

pewni. Są to chrześcijanie obrządku koptyjskiego i bardzo szanują swego duchownego, zwanego „casci“.

Niedaleko fortu, za oazą — prowizoryczne lotnisko. Na brzegu widnieje duże koło, wyznaczone kamieniami — siódmego stycznia miał tu miejsce straszny wypadek.

Samolot typu Caproni CA 97, pilotowany przez porucznika Papiego, poślizgnął się na skrzydle i w chwilę po starcie runął prostopadłe śmigłem w dół z wysokości dwudziestu metrów, wybijając dziurę w piasku i grzebiąc pod sobą dwóch oficerów, trzech podoficerów i starszego lotnika. Zginęły także dwa psy, zabrane na aparat.

Na ziemi leżą potrzaskane resztki samolotu oraz części odzieży ludzkiej.

Moi karabinierzy znali dobrze załogę i teraz, krążąc po miejscu katastrofy, rozpoznają rozrzucone szczątki.

— Pasek porucznika Melodia, nowiuteńki! Porucznik był taki elegant, pamiętasz?

— O! Rękaw starszego lotnika Andrea — poznajesz?

— Widzicie to miejsce — mówi ktoś, co był obecny przy wypadku — tu upadła odcięta głowa porucznika Papiego.

Ciężki smutek ściska serce. Idę w inną stronę, do ruin fortu rzymskiego. Potężne głązy fundamentów przesypał piasek. Na powierzchni leży wielki blok z napisem, który głosi, że fort ten „Settimius Severus fecit“.

I przed wiekami umierano tu w imię wielkiej idei pomnażania potęgi i sławy Rzymu, a poczucie ciągłości dziejów, tak charakterystyczne dla duszy włoskiej, dodaje sił i zapału odciętym od kraju oficerom i żołnierzom w ich ciężkiem życiu na pustyni.

Przy kolacji jest nas pięciu — porucznik Gifuni, jego zastępca podporucznik Trovato, doktor Giudice i bawiący przejazdem porucznik Cioschi, który wyrusza na urlop do dalekiej Italji.

— Wie pan — mówi do mnie — gdy byłem na forcie Ubari, przyjeżdżali tam dwaj Polacy i mówili, że mam polskie nazwisko.

— A z jakich liter się składa?

Porucznik pisze starannie, wyraźnie i podaje mi kartkę.

— No, nie wygląda to bardzo po włosku. Jak pewno panom wiadomo, w Italji przebywały legjony polskie, a pozatem osiedliła się tam garstka Polaków, którzy musieli uchodzić z ojczyzny przed prześladowaniami zaborców. Podobny los mógł spotkać i przodka pana porucznika. Za pochodzeniem pana przemawiałyby też jego jasne, kasztanowate włosy i wyraźna skłonność do łysiny.

Ostatnie słowa budzą ogólną wesołość.

Wywiązuje się zażarta dysputa na temat studjów uniwersyteckich. Cioschi twierdzi, że regularne uczęszczanie na wykłady powinno być przymusowe, natomiast doktor uważa, że to potrzebne tylko dla matolów i że on sam dostał dobry dyplom, słabo orientując się w prezencji profesorów.

Tenente Trovato nastawia gramofon i, siedząc wygodnie, słuchamy operetki *Cin-Cin-Là*, nagranej całkowicie na kilkunastu płytach.

Tenente Gifuni, jak każdy neapolitańczyk, obdarzony jest ładnym głosem. *A Santa Lucia sul limpido mar...* — śpiewa silnym tenorem, przepojonym tęsknotą za ukochanem miastem nad lazurową zatoką.

Około dziesiątej podejżdża czerwony Fiat ciężarowy, którym tenente Cioschi odjeżdża do Trypolisu.

— Pociąg odchodzi, wsiadać!

— Cukierki, pomarańcze, kanapki!

— *Corriere della Sera! La Gazzetta del Popolo!*

— Poduszki! poduszki!

Biegamy dookoła wozu, wrzeszcząc przeraźliwie, a Cioschi śmieje się radośnie do bliskiej już chwili, gdy usłyszysz takie same wołanie na stacjach kolejowych włoskich.

Później zasiadamy do kart. Znalezienie czwartego partnera jest tu rzeczą tak trudną i rzadką, że mimo piekielnego zmęczenia nie chcę robić przykrości gospodarzom i trzymam karty w ręku, słuchając wymyślań porucznika Trovato, nie przepuszczającego mi najmniejszej pomyłki.

Ostatecznie jednak uchodzę z placu boju, by po dwóch zaledwie godzinach snu ładować się znów na Ceirano, który już o czwartej ryczy pod oknem, jak zarzynany bawół.

Dookoła ciemna, gwiaździsta noc. We wnętrzu auta miauczy przeraźliwie kot, który wlaź tam, znęcony zapachem kanapek Falcetty, a teraz pokutuje za złodziejstwo i łakomstwo. Przeklinamy go wszyscy, ale skrył się między paki tak dokładnie, że nie można go znaleźć i wyrzucić — wkońcu po jakiejś godzinie zachrypl i poddał się losowi, pokornie jadąc w nieznane.

Siedzę, spuściwszy nogi z tyłu wozu, i w pewnej chwili niespodziewanie dla samego siebie zaczynam śpiewać z przejęciem Pierwszą Brygadę — jeśli fałszuję, nie wyśmiej mnie pustynia.

— Co to takie — pyta Suzini.

I żołnierz wojsk kolonialnych słucha uważnie opowiadań o Wielkim Wodzu i eposie Legionów.

— Szli na śmierć z zapalem i radością, pełni poświęcenia dla sprawy i głębokiej wiary, że krew przelana nie pójdzie na marne...

— Jak nasz Francesco Oberdan! — wykrzykuje z entuzjazmem karabinier.

Kamienista płaszczyzna ustępuje miejsca wzgórzom, po których hula wichry, przesypując piasek.

Co pewien czas ruiny fortów rzymskich na szczytach, lub otoczone kolczastym drutem maleńkie forciaki włoskie. Brak trójkolorowego sztandaru dowodzi nieobecności załogi.

Przy drodze mijamy szkielety wielbłądzie i duże żelazne beczki — śmierć i życiodajna woda.

Wzgórza się kończą i okolica przechodzi w łagodnie falujący płaskowyż, pokryty gdzie niedługo dużymi, ostre kamieniami czarnego koloru.

Przejeżdżamy uadi Bir T'aa. W suchym łożysku zieleni się trawa



...otoczony drutami fort Bu Ngem...

i jakieś rośliny o długich, czepiających się ziemi łodygach i owocach, przypominających kształtem i kolorem małe banie.

Znowu szeregi wydm, później na horyzoncie ukazują się palmy.

Po upływie pół godziny wyskakują na rozgałęzieniu dróg i udają się w kierunku niskich, kwadratowych domków miasteczka Hon, Ceirano zaś zdąża do białych hangarów lotniczych, widocznych w odległości jakich tysiąca metrów.

Grupa Giofry jest największym skupiskiem oaz w Syrtyce — w skład jej wchodzi Hon, Socna i Ueddan. Poczynając od północno-wschodu, pierwszą oazą jest Ueddan, o dwadzieścia dwa kilometry od niej leży Hon, a stąd do Socny szesnaście w kierunku południowym.

Niemal wyłączną produkcją oaz są daktyle. Woda jest zła, o słownym smaku — jedynie osada Mani w oazie Socna posiada dobrą wodę, zaopatrującą całą grupę. W lutym 1933 r. rozpoczęto roboty wiertnicze w Honie, lecz, chociaż osiągnięto już głębokość 330 m, wody jeszcze nie znaleziono.

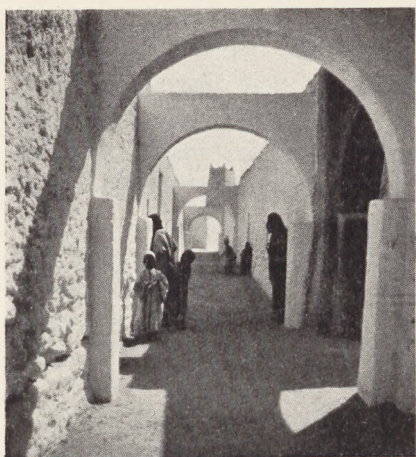
Stolicą Giofry jest Hon, liczący 2 tys. mieszkańców, zajmujących się wyrobem mat i burnusów — pozatem produkuje się niewielką ilość wyrobów skórzanych. Jeszcze przed pięciu laty była to siedziba wodza rebeliantów arabskich, Saf el Naszera. Nienawidzili go mieszkańcy sąsiedniej Socny i dopomogli wojskom włoskim do zdobycia Honu, który zajął pułkownik Natale, stojący obecnie na czele zony. Saf el Naszer, skazany zaocznie na śmierć, znalazł schronienie w Egipcie.

Twórcą obecnego Honu i władcą nieomal feudalnym jest pułkownik Natale. Zajawszy go w 1928 r., zastał tu tylko kilkanaście walących się domków — dziś miasteczko jest czyściutkie, uliczki ujęte są łukami, które podtrzymują domy i mile uprzyjemniają wygląd. Wybudowano fort, szkołę, szpital dla tubylców, ambulatorjum, dom fascio, koszary dla askarów, warsztaty mechaniczne. Widać małe sadzonki palmowe na piasku, ogródki warzywne, drzewka, cysternę i t. d.

Wszystko to jest dziełem dobrego ducha oaz Giofry, pułkownika Natale.

Droga prowadzi koło dużego lotniska. Widzę żołnierzy, wytaczających samoloty, i po kilku minutach aparaty, unosząc tumany piasku, odrywają się od ziemi i krążą nad oazą.

Rezydencja pułkownika zdaleka rzuca się w oczy. Piętrowy,



...uliczki ujęte są łukami...

Przy biesiadnym stole jest nas pięciu — oprócz porucznika Cuscè i mnie wsuwają makaron por. Poterti, por. prowiantowy Rosa oraz kierownik miejscowej szkoły Sycylijczyk Torregrossa.

Por. Poterti atakuje gwałtownie Żydów, wykazując jednocześnie niemożliwość walki z finansjerą żydowską.

— W Italji Żydów jest mało, lecz największe banki, najbogatsze sklepy są w ich ręku — wykrzykuje.

Milczę zamyślony.

— Ile Żydów jest w Polsce?

— Około trzech milionów.

— Ładna sytuacja — prowadzą was pewno na sznurku.

— Wcale nie!

— Trudno uwierzyć, nawet my, genuęńczycy, umiejący dobrze obchodzić się z pieniędzem i znani ze sprytu handlowego, musimy uznać całą beznadziejność walki z plemieniem Judy.

Por. Cuscè pokazuje malowane przez siebie widoczki Honu. Jasne, słoneczne obrazki przypominają mi Stykę. Pozatem zabija czas laubzegą — wycięte w drzewie bilety wizytowe na drzwiach pokojów oficerskich są jego dziełem.

Porucznik Poterti prowadzi mnie do pułkownika. Wchodzi do środka, ja zaś czekam na werandzie, zastawionej glinianymi amforami oraz leżakami, których płóciennne oparcia zdobią skórzane aplikacje.

Rozległy widok na Hon. Białe, kwadratowe domki jaskrawo bły-

szaro-bronзовый gmach o ładnej kolumnadzie na pierwszym piętrze imponuje rozmiarami. Pałac w pustyni!

Wchodzę na wewnętrzne podwórze. Adjutant oznajmia, że pułkownik śpi, i odsyła mnie do fortu Santoro.

Dowódca fortu, porucznik Cuscè, przyjmuje mnie z otwartymi ramionami i po chwili, o rozkoszy, mam przed sobą dużą miskę pełną wody i mogę się porządnie umyć.

Podczas śniadania wywiązuje się ożywiona rozmowa.

szczą w słońcu, na wydmach leżą wielbłądy, otoczony drutem kolczastym fort Santoro rzuca smugę cienia, wdali widnieją rozsiane zrzadka palmy na piaskach, które zasypały dawny Hon arabski.

Ukazuje się porucznik i oznajmia, że zostałem zaproszony na obiad do pułkownika.

Zachodzimy do sklepiu Żyda Azy — typowy kramik żydowski, gdzie można dostać wszystkiego: „od Titiny do cytryny“ — jak śpiewał nasz Lopek-Krukowski.

Wewnątrz gromadka oficerów targuje się zawzięcie z Azą, tęgim brunetem o czerwonym nosie i czerwonym szaliku na szyi.

Walka toczy się w tej chwili o rozpylacz do perfum. Aza żąda trzydzieści lirów, a kupujący o dwóch gwiazdkach na naramienniku daje piętnaście. Ostatecznie kończą na dwudziestu. Zadowolony Aza chowa pieniądze do szuflady, a szczęśliwy nabywca z rozanieloną twarzą ogląda rozpylacz. W pustyni jest tak mało różnorodności, iż każda drobnostka urasta do rzeczy wielkiej wagi.

Oficerowie oglądają świeży transport książek: kilkanaście tomów opisujących bitwy morskie i przygody okrętów wojennych, będą więc zmuszeni czas jakiś studjować losy marynarki wojennej różnych mocarstw w czasie wielkiej wojny.

Aza wydobywa z szafki garnitur do palenia, rzeźbiony ręcznie w metalu, i pada projekt loterii. Na trzech biletach będą napisane trzy różne ceny — nabywca zapłaci cenę, znajdującą się na bilecie, wyciągniętym przez Azę. Projekt jednak upada, gdyż oficerowie proponują sumy: 50, 70, 90, a właściciel żąda 70, 90 i 110 lirów.

Okolo siódmej świeżo kreowany posiadacz rozpylacza prowadzi mnie na proszony obiad do pułkownika Natale.

Wchodzimy do dużej sali jadalnej, jasno oświetlonej lampami elektrycznymi. Ściany pomalowane na jasno, duże okna i oszklone drzwi — na środku długi, starannie nakryty stół.

Zjawia się kilku oficerów i wchodzi barczysty, poważny, o patrycjuszowskim wyrazie twarzy i sposobie zachowania pułkownik Natale.

Podczas obiadu pułkownik atakuje dawnych Rzymian, którzy, jego zdaniem, nic dobrego nie zrobili dla Afryki, pozbawili ją tylko najlepszego materiału ludzkiego, wywożąc go ze sobą jako niewolników.

Opowiadano mi wiele o nadzwyczajnej, przysłowiowej wprost, gościnności tego króla Giofry i byłem niemiłe zdziwiony jego wyniosłym chłodem w stosunku do mojej osoby.

Kłopotliwa sytuacja wyjaśniła się pod koniec obiadu.

Służący postawił przede mną glinianą popielniczkę z napisem: *L'ospitalità e' come un pesce, dopo tre giorni-puzza* (Gościnność jest jak ryba — po trzech dniach cuchnie).

Roześmiałem się głośno i powiedziałem:

— Panie pułkowniku, ta ryba cuchnąć nie będzie, gdyż pojutrze rano opuszczam Hon.

— A czy Polacy dotrzymują słowa — pyta niespodziewanie pułkownik z wyraźną ironją w głosie.

— Skąd takie dziwne pytanie?

— Bawił tu pański rodak, obiecał mi przysłać swój artykuł o Honie i oto już minęło kilka miesięcy, a jakoś nie mogę się doczekać spełnienia obietnicy.

— Panie pułkowniku — zapewniam gorąco — jestem zupełnie pewien, że rodak mój słowa dotrzymał, lecz droga z Polski do Hon jest daleka i przesyłka łatwo mogła zaginąć.

— A jak będzie z tem, co pan o Hon napisał?

— Na pewno przyślę panu pułkownikowi i będę to sobie poczytywał za wielki zaszczyt.

Gradowe chmury szczęśliwie się rozeszły i poprawny, lecz odpychająco zimny gospodarz stał się najmielszym starszym panem.

Wychodzimy z pałacu. Pułkownik oprowadza mnie po miasteczku, pokazuje, opowiada z miłością i słuszną dumą o wszystkim, czego tu dokonał. Ma się czem chlubić naprawdę, wywoławszy z niczego to kwitnące miasteczko na pustyni.

Zachodzimy do klubu oficerskiego, gdzie zastajemy partję bridża.

— Gra głupia i nudna, wolę już pokera — twierdzi pułkownik.

— Ależ przeciwnie, gra mądra, rozumowa, matematyczna — oponuję.

— Do diabła z rozumem przy kartach!

Na zakończenie pułkownik pokazuje mi siedzibę miejscowych jawnogrzesznic. Bardzo elegancka konstrukcja jednopiętrowa, biała, czyściutka. Przez łukowatą, okratowaną bramę w murze wchodzi się do ogródka, wysadzonego eukaliptusami. W rogu studnia, a pośrodku biały domeczek w stylu moderne — poczekalnia.

Drzwi i okna domu wychodzą na podwórze — każda mieszkanka ma własny pokój z przedpokojem. W obecnej chwili jest tu pięć Arabek i trzy murzynki. Wszystkie brzydkie i ordynarne, jakkolwiek widać, że się starają opanować w obecności pułkownika.

— Tak, lokal ładny, ale kobiety brzydkie — narzeka pułkownik Natale — trudno jednak o coś lepszego na pustyni.

Na drugi dzień pułkownik wyjechał na inspekcję oaz.

Włóczę się po Honie.

W jakimś miejscu uderzyły mnie słowa komendy, wydawane dziecinnym głosem:

Passo! Passo! (równaj krok).

Grupa chłopców arabskich w wieku 7—8 lat, przybranych w długie białe spodnie i niebieskie chałaty, idzie dwójkami. Prowadzi chłopak najwyżej jedenastoletni.

Idę zaciekawiony za nimi i wchodzę do szkoły elementarnej, gdzie przyjmuje mnie nauczyciel Torregrossa.

Budynek szkolny w stylu maurytańskim, pomalowany na białą. Na środku podwórza okrągła studnia.

Oto pierwsza klasa. Najlepsi uczniowie Żydzi, potem idą Arabowie — jedyny Włoch jest zakałą klasy i hańbą dla rasy łaćcińskiej.

— Dawno pan jest w Afryce — pytam pedagoga.

— Od dziewięciu lat, przedtem wykładałem rok w szkole włoskiej w Salonikach. Jakież to ciężkie i męczące wbijać naukę w zakute łby tubylcze wśród tej pustki i w tym klimacie — mówi, wzdychając ciężko, signor Torregrossa.

— Dlaczego te dzieci maszerowały po placu?

— Wracały z wizyty u lekarza w ambulatorjum.

Spotykamy się znów po skończonych lekcjach o piątej po południu i idziemy za miasto zobaczyć roboty wiertnicze.

Świder pracuje w ogrodzeniu z desek — dwóch robotników kręci nim pod nadzorem mechanika. Motor stuka miarowo, poruszając świder wdół i w górę.

— Kiedy panowie skończą?



...Wszystkie brzydkie i ordynarne...

— Ano, mamy nadzieję znaleźć wodę na głębokości 400 m, lecz na pewno nic nie wiemy.

Chodzimy po uliczkach. Grupki Arabów siedzą przed domami — na nasz widok wstają i podnoszą po faszystowski ręce.

Oglądamy meczet, w którym zawalił się dach i obecnie gmina mużułmańska czeka na pieniądze, aby go naprawić. Drzwi wejściowe zbite z ociosanych pni palmowych — jasno-bronzone drzewo, pomalowane w czarne desenie.

Na ulicach budują się nowe łuki z tinu — jest to specjalny rodzaj piaszczystej glinki, używanej tu na wszelkie budowle.

Za Honem długi pas palm i nieliczne półka jęczmienne.

Wracając do fortu, spotykam por. Rosę, który mi proponuje zwiedzenie magazynów. Stosy pak z makaronem, serem i butelkami, góry blaszanek z konserwami wszelkiego rodzaju.

— Zasilamy całą zonę południową. Mam z tem istne urwanie głowy — temu nie smakuje wino, tamten ma za mało konserw, ów nie dostał sera. I zawsze ja, Rosa, jestem winien. Paskudna to służba być prowiantowym — żali się tenente.

W magazynie z ubraniem i bielizną pełno kotów. Miauczą i ocierają się o nogi.

— Walczą tu z myszami — mówi Rosa.

Wielki piec piekarski, a obok skład — na półkach setki jęczmieniowych bochenków.

— Chodźmy teraz zobaczyć byka, którego dziś zaszlachtowano, rzadko się tu zdarza taka okazja. Chce pan?

— Dobrze.

Wchodzimy na wieżyczkę fortu. Niedaleko za murem rusztowanie z drzewa, na którym wisi zwierzę głową w dół. Dwaj okrwawieni szeregowcy rozcinają mu brzuch i wyciągają wnętrzności. Krew spływa na piasek, nad daleką pustynią zachodzi czerwone słońce.

PUSTYNIA STRACHU. ZA SIÓDMĄ UADI

Po dwudniowym pobycie w Hon, półciężarowy samochód S.P.A. unosi mnie w dalszą drogę.

Przed nami jedzie inny wóz. Oba pełnią tygodniową służbę pocztową pomiędzy Hon i Sebha.

Nagle z głośnym hukiem pęka kicha. Zakładanie nowego koła zabiera sporo czasu i tracimy zupełnie z oczu drugą maszynę — już pod samą Socną spotykamy ją jadącą zpowrotem.

— Co się stało?

— Ten bałwan pocztowy zapomniał worki z pocztą — krzyczy szofer. — Ty, idjoto, zrobię ja z tobą porachunek — wpada z furją na Araba w granatowym płaszczu. — Że też pocztowymi wyznaczają Arabów, jakgdyby nie mogli robić tego Włosi. Ładnieby nas przywitano — samochód pocztowy bez poczty!

Socna jest to małe miasteczko o czyściutkich uliczkach. Domki w odcieniu brązowym, ściany lepiące z wilgotnej piaskowej gliny, wydobywanej z głębokich dołów — wysychając na słońcu, tworzy ona kruchą, nietrwałą, łatwo rozpadającą się masę. Dwa dni deszczu zmieniłyby Socnę w ruiny.

Na środku stoi stary żółty zamek turecki z obronnymi wieżyczkami i strzelnicami.

Dookoła rzadkie palmy na piasku. W odległości kilkunastu kilometrów piętrzą się 30—40-metrowe wydmy.

Po godzinnem oczekiwaniu zjawia się drugi samochód. Jedziemy dalej.

Dolina uadi. Dno ma wygląd zeschniętej, popękanej skorupy. Niedawno przepłynęła tędy woda i powierzchnia nie zdążyła się jeszcze skruszyć zupełnie. W korycie rosną liczne drzewa, dochodzące do



...Wjeżdżamy w Gebel es Soda...

5 metrów wysokości o dość grubym pniu i pokręconych gałęziach. Liście drobne, natomiast długie białe kolce. Jest to gatunek akacji, zwany przez Arabów tala. Łacińska nazwa *acacia gommifera* pochodzi od gumy, wydobywanej zeń przez tubylców — jedyne drzewo rosnące w miejscach, gdzie zupełnie niema źródeł.

Wjeżdżamy w Gebel es Soda (Czarne Góry).

Wzgórza sprawiają wrażenie usypisk żużlowych. Głazy czarne jak smoła błyszczą metalicznie w słońcu. Żadnego znaku życia — nic absolutnie — nawet kruki nie zapędzają się w te strony.

Kilometrami wciąż ciągną się te same czarne, posępne, martwe pasma gór.

Samochód podskakuje na żółtym pasie drogi, z której usunięto większe kamienie i posypano piaskiem.

Dojeżdżamy do Bir Uaszka, ostatniej studni w tych okolicach — potem aż do Umm el Abid niema najmniejszego źródła.

Przy obmurowanej studni sześć samochodów Ostuniego zaopatrzuje się w wodę — jadą puste do Hon, zawiózłszy uprzednio ładunek żywnościowy do Gatu.

W pewnym miejscu na zakręcie kilkunastu Arabów pod kierunkiem dozorczy Włocha zbiera kamienie i sypie piach na drogę. Tu się

kończy możliwa jazda, a rozpoczyna piekielna huśtawka. W aucie wszystko podskakuje i brzęczy — uderzam głową w płócienny dach i obijam boki o żelazne poręcze. Zrozumiałem teraz, dlaczego poprzeczki podtrzymujące płótno są drewniane, a nie żelazne.

Okolica zmienia charakter. Wciąż jeszcze leżą czarne głązy, ale góry ustąpiły miejsca falującej płaszczczyźnie.

W kamienistym polu trzy namioty i antena. — Przenośna stacja radiotelegraficzna.

Biało ubrany podoficer saharjanów biegnie ku nam — stajemy.

Po chwili zjawiają się wszyscy mieszkańcy stacji — kapral, żołnierz i dwóch Arabów. Pełnią tu służbę już od października i pozostaną jeszcze do czerwca. Wyglądają źle, kaszlą — cztery miesiące spędzone pod namiotem przy gwałtownych skokach temperatury odbiły się bardzo ujemnie na ich zdrowiu i samopoczuciu.

Poczta doręczona, wypita ofiarowana gościnnie kawa — jedziemy znów przed siebie.

Szofer Ottolani opowiada mi swoje dzieje — jeździ oto po Saharze, bo zawiodły go wszelkie inne drogi w życiu.

— Urodziłem się w Pescara — mówi — ukończyłem szkołę powszechną oraz szkołę kandydatów policyjnych. Pracowałem kilka lat jako policjant, później uległem redukcji. Tułałem się po Italji, nie mogąc znaleźć pracy, wkońcu gdy odumarły mnie matka i siostra, uciekłem na Saharę. W Trypolisie nauczyłem się szoferki i wożę teraz pocztę między Honem i Gatem. Na tę posadę nie było dużo amatorów — uśmiecha się smutno.

Kończą się kamienie i wszelkie, najśłabsze choćby ślady wzgórków czy nierówności. Jedziemy szaro-żółtą płaszczczyzną, pokrytą drobnutkim żwirem. Jak okiem sięgnąć, horyzont zamyka płaską jak stół, jednostajną w kolorycie pustynię.

Serir el Gaf. Pustynia strachu.

Tak, krew ścina się w żyłach na samą myśl o pieszej samotnej wędrowce po tej drodze, gdy hula tu gibli, niosąc tumany piachu, przed którym niema nigdzie schronienia ni ucieczki. Zguba pewna!

Robi się coraz zimniej — ostry wiatr przenika do kości, marzniemy okropnie w nieosłoniętym samochodzie i tulimy się do siebie. Zaczyna padać grad, siekąc nam twarze i ręce. Ottolani kląć przeciera co chwila oczy, żołnierz Orecchio, obserwator meteorologiczny, jadący na to stanowisko do Gatu, trzęsie się jak galareta, a mnie krew rzuca się nosem.



...Serir el Gaf. Pustynia strachu...

Okrywamy się, czem tylko można, lecz piekielny chłód dokucza coraz bardziej. Mamy spękane wargi i policzki, z bolących oczu płyną łzy, ręce sztywnieją zupełnie. Ottolani z trudem prowadzi samochód.

— Daj spokój, zatrzymaj maszynę, nie męcz się tak — mówi Orecchio.

— Tegoby tylko brakowało. Nie wiesz chyba sam, co mówisz, przecież zamarzlibyśmy tutaj. Musimy dojechać do fortu el Gaf.

Jeszcze godzina męczarni. Grad ustał, lecz zimno wciąż jednakowe. Wkońcu widzimy upragniony fort na kamienistym wzgórzu.

Załogę stanowi pięciu askarów z podoficerem na czele. Częstojują nas gorącą herbatą, która wydaje mi się napojem bogów.

Rozgrzani i wypoczęci wyruszamy w dalszą drogę. Za fortem rozpoczyna się część pustyni, zwana Serir ben Afen — nazwa pochodzi od szejka arabskiego, który tu zginął wraz z całą karawaną. Taka sama monotonna, szara, żwirowata płaszczyna, gdzie niegdzie żółte plamy piasku.

Humory nam się poprawiły — zaczynamy rozmawiać. Tematem jest Hon — Orecchio krytykuje gospodarkę pułkownika Natale.

— Tyle pieniędzy wydać na pałac dla ładacznicy, gdy robotnicy

i mechanicy cywilni Włosi muszą mieszkać w nędznych lepiankach arabskich — wykrzykuje z oburzeniem.

Po pewnym czasie pustynia znów pokrywa się czarnymi kamykami — później jaskrawa, oślepiająca oczy białosc znamienuje obecność kredy.

Zaczynają się wzgórza. Droga, wijąc się, schodzi wdół przełęczą Khnev. Tuż za nią dziwna skała w kształcie olbrzymiej głowy — profil przypomina rysy Garibaldiego.



...część pustyni, zwana Serir ben Afen...

Okolica się ożywia. Ukazuje się na piasku trawa agul, którą żywią się wielbłądy. Pod wieczór dojeżdżamy do fortu Umm el Abid, położonego wśród wzgórz porośniętych krzaczastymi kępami etelu (tamerixu). Forcik malutki, w stadium rozbudowy — zamieszkuje go chorąży, trzech radjotelegrafistów i kilkunastu askarów erytrejskich.

Chorąży Antonucci skarży się na stały ból głowy, brzęczenie w uszach i zupełne wyczerpanie nerwowe.

— Znam każdy metr kwadratowy Cyrenajki i Trypolitanji, odbyłem wszystkie wojny z tubylcami — mówi. — Od siedniu już lat chodzę po tym piasku, śpię na ziemi, cierpię pragnienie, pocę się w dzień, a marznę w nocy. Mam dość! Teraz, gdy panuje spokój, nie mam tu nic do roboty, wrócę do mego kochanego Taranto i może pozbędę się tego okropnego brzęczenia w uszach.

Duży czarny pies Black patrzy z miłością na swego pana, jakby rozumiejąc jego cierpienia.

Nocujemy w forcie. Rano wita nas miłe ciepło. Zdejmujemy najpierw płaszcze, a potem kurtki. Wczorajszy chłód pozostał daleko na straszliwych rozłogach Serir el Gaf.

Przed nami widnieją palmy w oazach. Zatrzymujemy się wpobliżu Semnu i pod grupą palm i akacyj przyrządzamy sobie śniadanie: pieczemy w gorącym popiele jajka, oblewając je najpierw wodą, aby nie pękały.

Nadchodzi murzynka z koszykiem i nowa porcja jajek idzie do ogniska — wlecze się drogą marabut w czerwonym fezie i białym chałacie; szofer z drugiego wozu każe mu sobie powróżyć.

— Ty być bogaty i prędko skończyć wojsko!

Wdali, na szczycie góry, widnieje biała Sebha, stolica Fezzanu. Obronne, wysokie mury, baszty i wykusze sprawiają wrażenie potężnego, starożytnego zamku feudalnego. Nad wszystkim jednak góruje triumfalnie wyniosła nowoczesna antena, łącząca dziś ze światem cywilizowanym osiedla ludzkie najbardziej zgubione wśród pustyni.

W Sebha poznaję komisję Włoskiego Towarzystwa Geograficznego, złożoną z zoologa prof. Scorteciego i botanika dr. Cortiego. Nie zatrzymuję się tu dłużej, gdyż odrazu nadarza mi się sposobność dostania się do Murzuku, starej stolicy Fezzanu. Udaje się tam mianowicie starszy sierżant de Mino, mechanik, przeprowadzający inspekcję kolumn samochodowych w poszczególnych centrach południowych, i zabiera mnie na swoją maszynę.

Jedziemy porośłą kępami etelu piaszczystą równiną, na której widnieją zrzadka czarno-brązowe pagórki o płasko ściętych szczytach. Tracimy zupełnie z oczu Sebhę i wjeżdżamy na płaskowyż żółtawego żwiru, pokrytego gdzie niegdzie czarnymi kamieniami wielkości dużej pięści. Wspinamy się pod górę i oto mamy przed sobą dla odmiany czarną kamienistą płaszczyznę, upstrzoną żółtymi plamami żwiru — tu i owdzie akacja tala.

Droga prowadzi pomiędzy dwoma rzędami kopczyków, usypanych z kamieni w równych odstępach — robi się coraz goręcej.

Dojeżdżamy do oazy Godua. Karłowate palmy daktylowe najwyższej dwumetrowej wysokości, o liściach wyrastających wprost z ziemi, tworzą kępczaste, zbite grupy o średnicy dochodzącej 4—5 metrów.

Tuż przy drodze jęczmienne pólka. Dwóch murzynów nawadnia pole, a czarna niewiasta spulchnia maleńkie zagonki.

Głęboka, 20-metrowa studnia, a nad nią rusztowanie z dwóch, pochyłonych ku sobie pod kątem, pni palmowych, połączonych poprzecznymi drągami i związanych skręconymi włóknami palmy. U szczytu na żelaznej osi drewniane wyżłobione koło, niżej zaś na takiejże osi drewniany stożkowaty blok i przez to wszystko przerzuczone sznury, których jedne końce umocowane są na grzbiecie osła, na drugich zaś wisi szeroki płócienny bukłak, zwężający się w długi rękaw ku dołowi.

Od studni idzie głęboki rów, coraz płytszy w miarę oddalania się. Po tej pochyłości chodzi tam i zpowrotem osioł, często wprost



...zatrzymujemy się w pobliżu Semnu...

ciągnięty przez poganiacza murzyna. Gdy zwierzę zbliża się do studni, sznury opuszczają się w głąb do poziomu wody, dolny rękaw się zagina i bukłak napęlnia się wodą; gdy zaś osioł wędruje w przeciwny koniec długiego rowu, bukłak wyjeżdża do góry, rozciąga się i woda wylewa się na specjalną podściółkę z liści palmowych, nie dopuszczającą, by drogocenny płyn rozpryskiwał się bezużytecznie.

Woda szemrząc spływa po liściach do umieszczonej pod prostym kątem do rowu i lekko nachylonej rynny, wydrążonej w pniu palmowym, prowadzącej do wykopanego w ziemi zbiornika. Stamtąd mały murzynek napędza ją drewnianymi łopatkami do rowków, rozprowadzających wodę po uprawnych półkach.

Studnia jak tysiąc innych — zawsze taki sam osioł, spacerujący w ziemnym wykopie, takie samo rusztowanie z palmy, która daje tu wszystko ze siebie, od pnia do włókien, i woda płynąca po woli na małe poletka i żagonki.

I znowu falujący płaskowyż, czarne morze kamieni i pustosz beznadziejna. Jedziemy naprzecią, auto podskakuje co chwila, motor warczy i stęka głucho.

— Gorąco straszne — narzekam na upał, a De Mino się śmieje.

— Przyjedź pan w lecie, to dopiero będziesz się pocił, przecież teraz to jest właściwie zimno.

Zimno! Temperatura jak w lipcu w naszych Zaleszczykach.

Szaro-białe namioty, a poza nimi żółta wstęga nowobudującego się traktu Sebha—Murzuk. Robotnicy arabscy sypią piasek i żwir na wyrównane i ubite kamienie pod nadzorem bosego Włocha w czerwonej chustce na głowie. Jeden z odcinków walki z bezdrożami Sa-



...woda wylewa się na specjalną podściółkę z liści palmowych...



...Zamek turecki z szesnastego wieku w Murzuku...

hary, przygotowywanie terenu dla emisariusza nowoczesnej kultury — samochodu, wyrugowującego powoli „okręt pustyni” — wielbłąda.

Na horyzoncie zarysowują się kontury jakiejś dziwacznej budowli.

— Zamek turecki z szesnastego wieku w Murzuku — objaśnia mój towarzysz podróży.

Mijamy rzadkie palmy i okrągłe pólka jęczmienne, rozrzucone po zagłębieniach w piasku, i obsypawszy kurzem grających w kręgle podoficerów 2-go bataljonu saharjanów, wjeżdżamy na podwórze fortu, po którym biegają dwie oswojone gazy.

Jest już po obiedzie, lecz niezrównana gościnność włoska znajduje dla mnie natychmiast talerz wybornego makaronu i kawał pieczonej baraniny.

Dotrzymuje mi towarzystwa olbrzymi, barczysty, wąsaty, o grzmiącym basie porucznik Paradisi.

— Jak długo zamierza pan bawić w Murzuku?

— Zapewne dwa dni.

— Naturalnie! Przyjedzie taki na kilka godzin i potem wypisuje bujdy. Do diabła z takim zwiedzaniem — w ciągu dwóch dni nic pan nie zobaczysz. Powierzchniowy rzut oka i fantazje, poezje,

brednie... przyznaj się pan szczerze, piszesz rzetelną prawdę, czy też bujasz jak wszyscy?

— Staram się oddawać jak najwierniej wszystko, co tu widzę i odczuwam — mówię, steroryzowany gwałtowną napaścią.

— Nawet przy najlepszych chęciach nie można poznać i zrozumieć życia mieszkańców Murzuku przez dwie doby, musisz pan tu pozostać chociaż 4—5 dni.

Zostałem.

O kilkaset metrów za bramą miasteczka buduje się nowy fort. Dookoła ani żywej duszy, tylko porzucone łopaty i kilofy — dziś piątek i muzułmanie świętują.

Pod palmą nędzna buda, sklecona z desek — siedziba dowództwa.

We wnętrzu wre praca. Skrzypią pióra, szczeka maszyna do pisanja, padają słowa i cyfry. Załatwia się korespondencję i układa plan batalji na przyszły tydzień. Broń — żółte deseczki składanego metra oraz gonjometr, amunicja — wapno, cement i kamienie, zdobycz — szary mur podziurawiony otworami drzwi i okien.

Marszczy się z wysiłku młodziutka twarz podporucznika saperów Pasqualiniego, na którego prawie jeszcze dziecinne barki spadł ciężar odpowiedzialności za budowę, zachodzą mgłą okulary rachmistrza Dottiego, który liczy, dodaje, odejmuje — tyle a tyle kosztuje materiał, robocizna etc. — raport dla dowództwa w Trypolisie. Garbi się nad maszyną znajomy mój ze statku, Nigri, przelewając w szeregi czarnych znaczków pot i wysiłek miesięcy, nieprzespane noce obliczeń i kreśleń.

Świeci jasno księżyc, jarzą się gwiazdy na głębokim szafirze nieba, wietrzyk porusza korony palm i przesypuje piasek.

A w drewnianej budzie, obitej od wewnątrz płótnem i matami, pełnej zaduchu i zakurzonych papierów, przy blasku naftowej, kopającej lampy pochylają się nad kulawymi stolikami zapracowani misjonarze techniki, głoszący w pustyni nowe jej prawdy i zdobycze.

Wszyscy trzej pochodzą z bogatej, uprzemysłowionej, sytej kultury północnej Italji, która wysłała tu swych dzielnych synów, by stawiali „zamki na piasku“ ku pożytkowi i sławie dalekiej ojczyzny.

Przy głównej ulicy Murzuku stoi niewielki biały budynek z napisem: „Scuola Italo-Araba“. Bielone wapnem ściany, obwieszane mapami. Sufit tworzą maty, ułożone na poprzecznych belkach palmowych.

Cztery rzędy ławek, a nad niemi twarze białe, oliwkowe, czarne, nosy orle lub spłaszczone, czoła często zupełnie wtył podane.

— Ojciec jest kowalem... sylabizuje powoli włoskie słowa małe Arabiątko o ciemnej, ospowatej twarzyczce.

Nauczyciel siedzi i dobrotliwie się uśmiecha.

— Napiszcie teraz pięć nazw zwierząt drapieżnych, osiem imion własnych i dziesięć nazw przedmiotów codziennego użytku.

Pochylają się kędzierzawe główki, skrzypią pracowicie pióra.

Uderza mnie brak tradycyjnych warkoczyków ztyłu głowy. Gadka ludowa twierdzi, że za te kosmyki Allah chwyta, zabierając wiernych do raju. Inna znów wersja mówi, iż obcięcie tego warkoczyka, zwanego „garn“, powoduje śmierć w rodzinie.

— Wypowiedziałem wojnę tym kłakom, siedzibie wszów i brudu — oznajmia pan pedagog Maranzano, którego ciemno-blond włosy i niebieskie oczy dziwnie kontrastują z wybitnie sycylijskim akcentem mowy.

— Zawołałem „kadięgo“ Murzuku i zapytałem go, czy również nosi warkoczek i czy jest to nakaz Koranu. Otrzymałem odpowiedź, że święte księgi nic o tem nie wspominają. Wobec tego wzięłem nożyczki i urządziłem wielkie postrzyżyny. Narazie zrobił się gwałt, ale gdy Allah nie zareagował na to świętokradztwo i wszystkie rodziny moich uczniów cieszyły się dobrem zdrowiem, Arabowie pogodzili się z nowym obyczajem i obecnie nawet askarzy obcięli sobie „garn“.

— Moja własna historia jest następująca: odbyłem wielką wojnę jako oficer, tułałem się trochę po Italji, potem zaś zdałem wymagany konkurs i przyjechałem do Trypolisu. Dano mi samochód ciężarowy, pełny wszelkich materiałów, i pojechałem do Gasr Garabulli, gdzie musiałem najpierw postawić szkołę, aby móc pełnić swoją misję nauczycielską.

— Gdy budynek był gotów, zawołałem „mudira“ i oświadczyłem, że w ciągu trzech dni muszę mieć sześćdziesięciu uczniów. Przyproceedził mi ponad siedemdziesięciu, odrzuciłem kilkunastu najmniejszych, a resztę posadziłem w ławkach i tak się zaczęła moja działalność pedagogiczna w Afryce.

W rok po zajęciu Murzuku przez nasze wojska, przyjechałem tutaj i trwam na placówce od trzech lat.

Gwar i kłótnie oznajmniają, że chłopcy ukończyli zadanie.

— Cicho — wałnął pięścią w stół nauczyciel. — Senussi chodź tu i pokaż kajet.

Dziecko w niebieskim fartuszk podaje zeszyt, uśmiechając się wstydliwie.

— Ile błędów — wstydz się, chłopcze! Korzystałeś z tego, że rozmawiałem z obcym panem i, zamiast zastanawiać się nad tem, co robiłeś, gadałeś pewno z kolegami — przyznaj się — co?

Chłopak zarumieniony szybko ucieka na swoje miejsce.

— Mają wszystko za darmo — szkołę, książki, materiały piśmienne, codzienną wizytę lekarską — rzeczy, o których dawniej nawet się im nie śniło. Koszule to już kupiłem z własnej kieszeni — były tak obdarte biedactwa.

Niebieskie oczy ogarniają ławki łagodnem, czułem spojrzeniem, a chłopcy patrzą wesoło i ufnie w twarz nauczyciela. Widać, że stosunek wzajemny ułożył się jak najlepiej.

Lekcje skończone — Maranzano wyjmując z szafki patefon i ustawia płytę z Giovinezzą. Dziecinne głosiki łączą się z silnym tenorem nauczyciela, na którego twarzy maluje się zadowolenie i wiara w istotny pożytek swej pracy i wysiłku.

Giovinezza, giovinezza, primavera di bellezza! (Młodości, młodości, wiosno piękna!)

Nauczycielu Maranzano! Chylę przed tobą czoło w szacunku i podziwie — piękna jest ta twoja praca pioniera kultury, którą spełniasz w dalekiej pustyni samotny i nieznany. Cześć!!

Późny wieczór — siedzę w forcie z czterema oficerami. Przegrana już kilkakrotnie nowa płyta „*Napoli tutta luce*“, rozmowa się jakoś nie klei, duszne gorąco tamuje oddech.

I pada projekt odwiedzenia domu publicznego, który w tych warunkach bytowania i w tym klimacie staje się integralną częścią życia białego mężczyzny.

Idziemy krętymi uliczkami, oświecając sobie drogę ręcznymi latarkami. Wchodzimy na jakieś podwórko, w głębi którego przez nieodmknięte drzwi przesącza się słabe światło, i oto jesteśmy w nędznej izbie o odrapanych ścianach i walącym się suficie, podpartym szeregiem drągów.

Jest to właściwie dom schadzek, czy rodzaj klubu, gdzie każda niewiasta przychodzi z własną lampą, matą i poduszką, a znalazłszy klienta, prowadzi go do swojego domu. Zastajemy tu cztery murzynki straszliwie brzydkie, wprost odpychające, przystrojone w jaskrawe szmaty i paciorki — po włosku nie mówią wcale, lecz świetnie porozumiewają się na migi.

Obok mnie na macie siedzi podporucznik Ottaviani o dziecinnej, puciołowatej twarzy, ogolonej łepetynie i szerokim uśmiechu, odsłaniającym białe zęby.

Rozmawiamy o Rzymie, kobietach, o teatrze i kinie, o pełnych muzyki kawiarniach — o tem wszystkim, czem przesycona jest Europa, a co tutaj wydaje się bajką!

— Dlaczego właściwie przyjechał pan do Afryki? — pytam.

Patrzy na mnie długo i przenikliwie, jakby z naganą, że chcę się wdzierać w jego prywatne sprawy. Wkońcu uśmiecha się i mówi:

— Ano, pociągnęły młodą, gorącą głowę tajemnicze czarne lądy, czar bezmiaru pustyni, ale głównie owe bujdy na tle Sahary pokazywane w kinach, które legną się jedynie w głowach reżyserów z Hollywood. Jestem tu już trzy lata, przemierzyłem całą Libję konno i na wielbłądzie, i widziałem jedynie ciężką pracę, biedę i borykanie się z życiem. Gdybym wygrał loterię trypolitańską — mówi marząco — rzuciłbym wojsko i założył stajnię wyścigową, a konie moje biegałyby na wszystkich wielkich torach wyścigowych....

Przyglądam się tym młodzieńcom w białych mundurach saharjanów, którzy siedzą pod ścianą i patrzą na czarne potworki, przykucnięte na matach i trwające w obojętnej nieruchomości oczekiwania, i myślę o ich życiu. Oderwani od kraju, rodziny i wszystkich zdobyczy kultury, które przywykliśmy uważać za chleb powszedni, skazani na fantastyczne wybryki tego piekielnego klimatu, targającego nerwy, wysysającego energię i radość życia, pracują ciężko, mając jako jedyny łącznik z cywilizowanym światem radjo i — raz na tydzień pocztę, przynoszącą im wieści o swoich oraz spóźnione nowiny dziennikarskie.

I ktoś rzuci kamieniem, gdy idą szukać zapomnienia w ramionach czarnej dziewczyny.

XI

MURZUK. NOC W PUSTYNI

Więc jestem w Murzuku.

Samotna oaza, zgubiona pośród wydym piaszczystej ramli i żwirów seriru o 1100 km od morza Śródziemnego. Jezioro słonej sebhy, trochę uprawnych pól i blisko trzykilometrowy łuk osiedla, który, poczynając się od nowego fortu w budowie i ciągnąc poprzez szereg szaro-bronзовych, kwadratowych domków, dawny zamek turecki i mieszkalne zeriby z liści palmowych — kończy się grupami palm, walczących stale i zaciekle z piaskami Sahary.

Ciekawy jest, jako budowla, ów zamek z XVI w. o wysokich, spękanych murach, położony na wzgórzu i królujący nad całym Murzukiem. Meczet natomiast jest niski i ciemny, o grubych, prostokątnych kolumnach, z minaretem przykrytym plecioną z gałązek kopułką, przypominającą kształtem przewrócony, okrągły koszyk i zakończoną zatkniętym na kiju metalowym półksiężycem. Obok rynek, gdzie murzynki przesiadują dnie całe z towarem, który stanowią łapcie palmowe, garść daktyli lub trzy owoce pieprzu — obrót dzienny od 10 centymów do zawrotnej sumy 1—2 lirów.

Największą jednak sensacją z posmakiem tragedji jest dom, w którym mieszkała w r. 1884 podróżniczka holenderska, Aleksandryna Tinne, zamordowana w kilka miesięcy potem przez Tuaregów w czasie przeprawy przez uadi Etba. Z domu tego pozostała zresztą już tylko tylna ściana, reszta, przebudowana, mieści obecnie zakład krawiecki jednookiego Araba, specjalisty od „siluara“, czyli spodni saharjanów, oraz kawiarnię, odznaczającą się iście afrykańską *specialité de la maison* — mianowicie podający przynosi kawę wraz z własnym palcem, zanurzonym głęboko w filiżance. Dla uwypuklenia obrazu dodać należy, że ów kelner i arcymistrz krawiecki są jedną i tą samą osobą.



Scopsi, Maranzano, Ottaviani i Pasqualini przed fortem w Murzuku.

Osiadłą ludność tubylczą, wynoszącą około tysiąca głów, stanowią negroidzi, mali, o cienkich jak laski nogach, płaskich piersiach i nosach — nędzny produkt skrzyżowania Arabów, Tebu, Tuaregów i murzynów sudańskich. Analfabeci wynoszą dziewięćdziesiąt procent.

Kobiety nie zakrywają twarzy. Włosy mają ułożone na czole w szeregi warkoczyków jednakowej długości, przylegających do siebie. Nacierają kudły olejem palmowym, oliwą i wszystkim, co się da, to też czupryna tworzy twardą, zbitą masę i cuchnie na kilkanaście kroków.

Całe miasteczko ulepione jest z tinu, owej piaszczystej glinki, i nasza jedna ulewa zmieniłaby je w kupę gruzów. Ale tu deszcz nie pada nigdy — najlepszym tego dowodem jest fakt, że stary zamek, zbudowany z tego kruchego materiału, przetrwał już cztery wieki.

Przed zajęciem Murzuku przez Włochów, ludność miejscowa była tak wygłodzona, że zjadała niestrawione ziarna jęczmienia, wydłubywane z nawozu wielbłądniego. Gdy w r. 1930 pierwszy raz rozdano zboże, trzeba było z bronią w ręku pilnować worków przed drapieżną zachłannością biedaków — otrzymane ziarno natychmiast gwałtownie pożerali. Doszło nawet do tego, że jeden starzec zadławił się jęczmieniem i nie zdołano go odratować.

Jestem drugim Polakiem, pojawiającym się w Murzuku. Pierwszym był Kazimierz Nowak, który objechał na rowerze całą Trypolitanję, budząc głęboki podziw dla swej silnej woli, energii i rzadkiej odwagi — żywa pamięć o nim trwa tu teraz wszędzie.

Rowerem przez Saharę! Brawo, panie Nowak, to się nazywa propaganda na rzecz swego kraju i narodu.

Dwa lata temu przechodził przez Murzuk ze swoją karawaną znany podróżnik angielski sir Campbell, który od czterdziestu już lat podróżuje po Afryce i pochował tu dwie żony. *Passe partout* jego stanowią dwie skrzynie: jedna zawiera okulary, druga sztuczne szczęki i zęby. Ten czarodziejski bagaż zdobył mu głębokie poważanie i nietykalność wśród tubylców.

Również i w Murzuku, po obejrzeniu wszelkich miejscowych osobliwości, wezwał do siebie rajsa, kadiego i mudira, rozmawiał z nimi długo, a na pożegnanie ofiarował każdemu okulary. Druga paka nie doznała uszczerbku, widocznie użębieństwo dostojników było w zupełnym porządku.

Ani śniło się zapewne pocziwemu Górnoślązakowi Szopskiemu, że jego potomek Scopsi będzie kiedyś urzędnikiem pocztowym w jakimś nieomal mitycznym Murzuku. Uchodzi teraz za Sycylińczyka i cieszy się tu ogólnem poważaniem, trzyma bowiem rękę na pulsie łączności z dalekim, cywilizowanym światem.

Co tydzień, we wtorek z rana, przed urzędem pocztowym zatrzymuje się zakurzona ciężarówka i wyrzuca zaplombowany worek — po południu zaś Scopsi rozdaje gazety i listy. Ach te listy od rodziców, krewnych, narzeczonej, przyjaciół, listy, które tu dochodzą po długiej, nieraz trzytygodniowej wędrówce — jakąż głęboką radość i pociechę przynoszą wygnańcom w tem pustkowiu. Nic więc dziw-



...Mohammed ben Ali, ogromny, obsługujący mnie Arab...

nego, że wtorek jest dniem, wyczekiwanym z największą niecierpliwością. Już w przeddzień nieliczni Europejczycy, zamieszkali w Murzuku, miast zwykłego „dzień dobry“ lub „co słyhać“ — witają się znaczącym, porozumiewawczym uśmiechem i słowami: jutro poczta!

To też akcje pana Scopsi w poniedziałek wieczorem osiągają na miejscowej giełdzie towarzyskiej swój punkt kulminacyjny, by, uległszy następnie osłabieniu, zacząć znów zwyżkować pod koniec tygodnia.

Mohammed ben Ali, ogromny, obsługujący mnie Arab, ma bardzo niemiły zwyczaj. Oto już o szóstej trzydzieści — zjawia się z filiżanką czarnej kawy i ściąga ze mnie kołdrę ze słowami:

— Wstań, już późno. Fezzańczycy oddawna nawadniają swe pola.

Trudno dociec, co ma wspólnego mój sen z nawadnianiem pól, ale Mohammed ma tak zdeterminowany wyraz twarzy, że niema co marzyć o odebraniu mu kołdry.

Piję więc ową kawę, a później odbywa się zabieg oblewania zimną wodą — wrzeszczę okropnie, ale Mohammed jest bezlitosny.

Wreszcie, wciąż pod czujnem okiem Mohammeda, wychodzę na podwórze, wystrojony w koszulkę sportową i „siluara“, olbrzymie białe szarawary z haftowanym czarnym lampasem, które tu sobie zafundowałem. Jest to właściwie rodzaj spódnicy z małutkimi nogawkami, zaczynającemi się dopiero o kilka centymetrów ponad kostką.

Przybiegają gazy i koziołek o dźwięcznem imieniu Arino zaczyna mnie atakować. Nie wiem, czy jest to dowód sympatii, czy też odwrotnie, ale ponieważ pierwszego dnia ubódł mnie dotkliwie, więc uciekam odrazu na murek, gdzie nie może mnie dosięgnąć i tylko biega groźnie dookoła, rzucając wyzywające spojrzenia.

Dużo słyszałem i czytałem o przysłowiowej wprost bojaźliwości gazy, tymczasem Arino zadaje temu kłam swym buńczucznym charakterem. Dla uspokojenia zrobiono zeń eunucha, lecz mimo to napada ciągle na wszystkich i nikogo się nie boi, najbardziej zaś nie lubi dzieci i psów.

Za murami miasteczka, u stóp palm, bieleją namioty askarów, żołnierzy arabskich. Arab dusi się w koszarach, śpi dobrze tylko na świeżem powietrzu, gdzie chwyta pełną piersią gorący oddech, płynący z głębi pustyni.

Każdy namiot oparty o palmę — na pniu zawieszone strzelba i latarnia. Na ziemi leżą kilimy, kilka garnków, chróst do podsycania

niewielkiego ogniska, worki i torby. Nad ogniem w małym imbryku gotuje się gaua (kawa) albo też cziai. Obok wejścia kłęczy wielbłąd.

Dalej rusztowania studzien nad zieloną runią jęczmienia, mile głaszczącego oko swą żywą, wiosenną barwą.

Na szczerym już piasku pustyni — zeriby. Stawia się je tam, gdzie nic rosnąć nie może, aby nie marnować ani piędzi drogocennej rodzajnej gleby.

Cała zeriba upleciona jest z liści palmowych i dzieli się na dwie części: jedna pod dachem — mieszkanie ludzi, druga zagroda bez dachu — pomieszczenie zwierząt domowych.

Zaglądam do zagrody, rozchylając niedyskretnie liście palmowe. Czarna Zuila doi właśnie owcę.

Ja też chcę nauczyć się tej sztuki.

Siadam na ziemi. Owca beczy, wystraszone jagnię biega dookoła, a mleko tryska mi na twarz i na siluara, nie chcąc za nic trafić do glinianego garnka. Zuila rechocze radośnie, uderzając się rękami po kolanach i pokazując żółtawe zęby i krwiste dziąsła w szerokim uśmiechu.

Bo też ma powód do uciechy: biały „rumi“, taki niby mądry, co to wszystko umie i potrafi, nie może dojść do ładu z jedną głupią owcą!

Przed inną zeribą zebrało się kilkanaście kobiet — niektóre dwunasto-, trzynastoletnie, a już z dziećmi na rękach. Stara wiedźma o siwych włosach rozbija długim, grubszym na końcu kijem pestki daktyli, leżące w wydrążeniu pniaka palmowego. Obwisłe, olbrzymie piersi kłapią miarowo pod czarną koszulą w takt podnoszenia się i opadania kija. Obok odbywa się zabieg higieniczny — jedna dziewczyna siedzi na ziemi, a druga leży na brzuchu, trzymając głowę na kolanach pierwszej, która zapomocą cienkiego, ostro zakończonego patyczka wygrzebuje jej wszy z kędzierzawych włosów.



...namiot oparty o palmę...

Stara pokazuje na mnie palcem i coś mówi. Wszystkie wybuchają głośnym śmiechem. Nie rozumiem oczywiście, o co chodzi.

Naraz jedna z nich przysuwa mi palec do twarzy i chichocząc ucieka.

Aha, już wiem. To mój nos spalony na czerwono i oblaźły ze skóry budzi taką wesołość.

Coś się popsło przy studni. Trzech czarnych popycha się, wrzeszczy i wymyśla, ciągnąc się za burnusy. Okazuje się, że spadł sznur z koła u góry.

— Więc wleż który i załóż zpowrotem sznur.

Ogólne cmokanie i podziw.

— Rumi mądry! Rumi wie, co zrobić!

Wiedzieli oczywiście i sami, lecz, jak dzieci, potrzebowali, aby ich pogodzić.

Bukłak wyciąga miarowo wodę ze studni, która płynie najpierw rynną, a potem rowkiem do małego zbiornika. Po drodze młodziutka dziewczyna pierze jakieś szmaty. Ze zbiornika mały chłopczyk pędzi łopatkami wodę na jęczmień, strzeżony przed ptakami przez tubylczego „stracha na wróble”: skóra jagnięcia i kość wielbłądzia przywiązane do wysokiego kija.

Obok studnia najprymitywniejsza. Kobieta lat około trzydziestu opuszcza poprostu koszyk na sznurze do otworu i wylewa potem jego zawartość na grządki cebuli. Wielkie koła w uszach, szerokie metalowe obręcze na rękach i srebrny pierścionek wbity w nozdrza płaskiego nosa. Włosy przesiąknięte olejem, skręcone w warkoczyki i ułożone w równy grzebień na czole.

Przed zeribami leżą kupki nawozu wielbłądziego i oślego, starannie zbieranego na opał. Owce, osły i kozy wyszukują sobie pożywienie, gdaczą malutkie, źle upierzone kury fezzańskie.

Południe — słońce praży. Jest gorąco, bardzo gorąco.

Rozpoczęły się manewry i oficerowie wraz z plutonami saharjanów odjechali na ramię, gdzie rozbili namioty. Włóczę się osamotniony po oazie, szukając dziur, w które jeszcze nie wetknąłem nosa.

Nagle na główną ulicę miasteczka wjechał obładowany workami i pakami ciężarowy zakurzony samochód Bedford Six. Zatrzymał się przed jakimś sklepikiem i zaczęto wyładowywać towar.

Strzeliło mi do głowy, że to może okazja powrotu do Sebhy.

Podchodzę do szofera, młodego Włocha w czerwonym swetrze, otoczonego gromadą czarnych.



...zebrało się kilkanaście kobiet...



...leżą kupki nawozu wielbłądziejego i oślego...

- Kiedy pan odjeżdża?
- Gdy tylko wyładują samochód.
- Zabierze mnie pan ze sobą?
- Owszem, jest dość miejsca.
- A ile to będzie kosztować?

Wyraz twarzy zmienił mu się odrazu. Z wesołej i roześmianej stała się cierpiącą i ponurą.

— No, wie pan, droga jest bardzo zła, a Sebha daleko. Pasażer obciąża maszynę. Pozatem odpowiedzialność przed właścicielem, gdy się dowie, że zabrałem kogoś na samochód — mogę stracić posadę.

— Więc? — przerywam.

— Najlepiej umówimy się potem. Przecież to nie idzie w setki lirów...

Znam dobrze to „potem“, za które potem słono się płaci. Nie daję więc za wygraną i po kilku minutach dobijamy targu. Za dwadzieścia lirów mam dostać się do Sebhy.

Mieliśmy odjechać o szóstej po południu. Przychodzę z walizką punktualnie — szofera ani śladu. Wracam o ósmej — to samo.

Dopiero o jedenastej w nocy zjawił się szelma zupełnie pijany.

Gwiazdzista, prawie biała noc. Murzuk pozostaje za nami — widać jeszcze tylko wyolbrzymione w świetle księżycowych promieni zarysy zamku tureckiego, lecz i to prędko znika.

Jedziemy po równej hammadzie, kreśląc esy i podskakując na kamieniach — obok biegnie wstęga świeżo ubitej drogi. Zimno. Szofer poddaje się zupełnie następstwu wlanego w siebie alkoholu, tak, że nasza jazda staje się coraz bardziej ryzykowna. Nie chce za nic wjechać na trakt, wali natomiast siedemdziesiąt na godzinę po bezdrożu. Ciężarówka, której jedynym ładunkiem jestem ja i moja walizka, wyczuwa każdy dołek i kamień i podskakuje jak piórko.

Szofer przypomina sobie, że był w kolumnie samochodowej w Alpach, i opowiada, jakich cudów dokonywał podczas tej służby, demonstrując to wszystko na nieszczęsnym Bedfordzie. Nakoniec zaczyna jeździć wkółko, wciąż zmniejszając średnicę.

Nie wiem, co zrobić, a trzeba jakoś zaradzić, bo przecież to wszystko grozi wkońcu katastrofą. Nie pociąga mnie wcale perspektywa znalezienia się nocą w pustyni z rozbitą głową lub złamaną nogą.

Nagle przyszła mi świetna myśl i mówię:

— Jestem przeświadczony, że pan nie potrafi jechać środkiem drogi, utrzymując stale jednakową odległość od brzegów.

— Ja?!!

I po chwili wlecemy się środkiem traktu, który urywa się niezadługo przy namiotach, ustawionych dla robotników.

— Prześpiamy się — proponuję.

— *Va bene!*

Próbujemy szczęścia. Dwa namioty zasnurowane, trzeci otwarty i pusty. Owijamy się kocami i kładziemy na ziemi. Mój towarzysz po chwili już chrapie, ciągnąc przeraźliwie nosem.

Zaczynam drzeć, wtem czuję, że coś wlało mi pod koc.

Żmija rogata! — zadrzałem.

Przerażony, zrywam się na równe nogi i potężnym kopniakiem wyrzucam z namiotu nieproszonego gościa.

Rozlega się płaczliwe skomlenie. Wychodzę przed namiot i w jasnym świetle gwiazd widzę maleńkiego foksterjerka, który leży na ziemi, piszcząc żałośnie. Biorę go na ręce i chowam pod koc obok siebie.

O zaśnięciu niema mowy. Szofer chrapie i wspomina ciągle jakąś Margeritę — o jakże zniechęciłem to poetyczne imię. Pozatem



...wszędzie jednakowy, żółto-szary żwir...

ściągnął ze mnie przykrycie i jestem całkowicie wystawiony na chłód, wiejący z dziury w płótnie namiotu, tuż nad moją głową. Piesek jęczy i drży, poszczekując głośno co pewien czas — wkońcu zrywa się i znika.

Zrezygnowany, owijam sobie głowę zmałą i leżę, trzęsąc się z zimna.

Zmała jest to kawał białego płótna, długości 5—8 metrów i półmetrowej szerokości, którym Arabowie niesłychanie kunsztownie owijają sobie całą głowę i szyję. Wygląda się w tem jak ciężko ranny, któremu tylko oczy widać z pod bandaży, ale ochrania głowę znakomicie.

Pies wraca i zasypia, skręciwszy się w kłębek pod moją pachą, ogrzewając mi lewą stronę ciała.

Po kilku godzinach podnoszę się zziębnięty, połamany i zakatarzony. Patrzę na zegarek — piąta. Wychodzę z namiotu i natykam się na martwą mysz, którą piesek obwąchuje z wielkiem zadowoleniem. Więc to go tak denerwowało w nocy.

Robi się coraz jaśniej. Widok wszędzie jednakowy, żółto-szary żwir zamknięty w kole widnokręgu — ciemna linja znaczy granicę zetknięcia się ziemi z niebem. Nareszcie na wschodzie wytacza się

wielka czerwona kula i oświećla srebrzące się tu i ówdzie plamki białego szronu.

Włóczę się dookoła. Wszędzie pełno nor mysich. I czym one się żywią na tem pustkowiu, czyżby przystosowały się do trawienia żwiru?

Wyłazi zaspany szofer. Zdaje się, że alkohol wyparował mu już z pod czupryny. Po chwili ruszamy.

Nagle samochód zarył się i stanął. Jadąc szybko po twardym żwirze, nie zauważyliśmy jasnej smugi piasku. Teraz koła kręcą się bezskutecznie na jednym miejscu, wyrzucając tumany kurzu.

Gorąco piekielne. Rozbieramy się do koszuli i pchamy maszynę. Co ruszy z miejsca, to znów zapada w piach, nowa próba — to samo. Zbieramy kamienie i układamy przed samochodem, kierując na nie zbuntowanego Bedforda, lecz piasek jest tak miękki i sypki, że koła odrazu wbijają weń kamienie.

Siadamy bezradnie na ziemi, ocierając pot z uznojonych czoł.

Co robić?

— Cóż, trzeba czekać na jakąś pomoc — może to być kilka godzin, ale równie dobrze i kilka dni, zanim ktoś się zjawi, całe szczęście, że wody i żywności mamy poddostatkim — mówi obojętnie szofer.

Och, czuję, że mógłbym mu zrobić jakąś krzywdę.

Leżę na piasku i patrzę w niebo, z którego leci żar — ani obłoczka na czystym szafirze. Wkońcu chowam się w cień maszyny i straszliwie zmęczony zasypiam.

Budzą mnie radosne okrzyki:

— Karawana! Karawana!

Trzynaście obładowanych wielbłądów stąpa powoli i z godnością. Nie lubiłem trzynastki, ale odtąd będę miał tę liczbę w wielkiej estymie.

Przy pomocy Arabów wydobywamy auto na twardy grunt. Kilka krótkich „salaam“ i karawana pozostaje poza nami.

Bierzemy wodę do radjatora w oazie Godua i siedemdziesiąt dwa kilometry, dzielące ją od Sebhy, przebywamy w niecałe półtorej godziny.

XII UADI AGIÁL. SAMUM

Nocuję w Sebha, rozkosznie rozprostowując członki na wygodnem łóżku, zaopatruję się w prowianty na dalszą drogę, czytam listy z Europy, pierwszy raz otrzymane w pustyni, i wyruszam do Gatu w kierunku południowej granicy Algeru.

W samochodzie błakają się echa tragedji z zakończeniem w stylu europejskim. Oto w oazie Mendra, leżącej wśród piaszczystej ramli, zdradzony mąż zamordował dwudziestu uderzeniami noża złapaną *in flagranti* żonę. W Sebha odbył się sąd wojenny. Morderca, skazany na dożywotnie więzienie, w kajdanach powędrował do Trypolisu, a siedmiu świadków wraca do domu naszą ciężarówką. Wszyscy czarni mieszkańcy, w tem dwie kobiety: matka i córka zabitej. Obie siedzą bez słowa w kuki na dnie auta, zakrywszy głowy płachtami.

Jest mgła i pada deszcz, to znaczy, że co kilka sekund spada kropla z niewielkiej, suchotniczej chmurki, która niewiadomo skąd się pojawiła.

Trwa to jednak bardzo krótko, mgła się rozrzedza i ukazuje się słońce. Jedziemy przez oliwkowo-żółty płaskowyż, pokryty ciemnymi pagórkami, prosto przed siebie po ostrych podjazdach i gwałtownych spadkach.

Po trzech godzinach jesteśmy koło oazy el Abiád. Tu się zaczyna uádi Agiál, najżyźniejsza część Fezzanu. W małych odległościach ciągną się jedna po drugiej oazy, grupy palm, zeriby, pola jęczmienia i fasoli.

Dolina uádi, 4—5 kilometrowej szerokości, biegnie pomiędzy wyniosłą żółtą ramłą, złocącą się ponad czubami palm, a wysokim łańcuchem Gebelu, z którego zboczy spływają potoki czarnych, błyszczących kamieni.

Zmęczone jednostajnością kolorytu oko przyjemnie wypoczywa, patrząc na piękny kontrast trzech barw — zielonej doliny, żółtej ramli i czarno-brązowych gór.

Przy drodze rodzaj karawanseraju. Niska, ulepiona z tinu i po bielona budowla, na rogach maleńkie, trójkątne baszty. Tynk odpada i wszystko wali się ze starości.

Tu zatrzymują się na nocleg karawany. Ludzie śpią wewnątrz, a wielbłądy na piasku gryzą rosnące tu i ówdzie kępy wyschłej, twardej trawy, lub wyciągają delikatnie wargami malutkie zielone listeczki z pomiędzy kolczastych gałązek jakichś niskich krzaczków.

Gadatliwy, wąsaty Arab-karabinier, wiozący pocztę, dogaduje coś małemu, o wystraszonej twarzy, wybrudzonemu oliwą szoferowi Massaudowi, który, wściekły, odwraca się wciąż za siebie, wymyślając prześladowcy. Przy każdym takim obrocie auto zbacza z drogi, powodując ogólny wrzask.

Karabinier znowu gada coś wesoło i wszyscy wybuchają śmiechem. Nie rozumiem, o co chodzi, ale też zaczynam się śmiać, patrząc na umorusaną i obrażoną twarz szofera.

Jedynie dwie kobiety trwają w swej zrezygnowanej obojętności i nie biorą udziału w ogólnym rozgardjaszu.

Ciągle mijamy zielone oazy, przesuwające się jak w kalejdoskopie i niewiele różniące się jedna od drugiej, oraz tysiące studzien życiodajnego Agiálu.

Czarna ludność wysoka i szczupła — dużo inteligentnych twarzy. Mężczyźni ubrani biało, o głowach owiniętych zmalą — kobiety noszą niebieskie koszule, wielkie szafirowe chusty, a na rękach skórzane bransolety z wyszyciami z paciorków. Twarze mają odsłonięte.

Wiele ruin zamków tureckich. Często już tylko ledwie widoczny, wielki prostokąt fundamentu zdradza, że tu niegdyś stała budowla, w której mieszkali żołnierze, czuwający nad porządkiem w państwie Ottomanów.

Nagle maszyna hamuje gwałtownie. Massaud wyskakuje i biegnie szybko wtył, a po kilku minutach wraca, zapinając na sobie nowiutki żółty pas, który znalazł na drodze.

— Będiesz poszukiwać właściciela?

— On wyrzucić pasek na drogę, znaczy nie chcieć — odpowiada z całym przekonaniem.

Około południa stajemy przed mudirją w Regeiba — mudir jest to coś w rodzaju naszego wójta.



...stajemy przed mudirją w Regeiba...

Wzdłuż zewnętrznej ściany białego domku murowana ława, na której siadają klienci w oczekiwaniu audjencji. W obecnej chwili zajęta jest przez chmarę małych dzieci, sprzedających jajka kurze. Wypijamy świeże żółtka, wyrzucając ciągnące się białka na ziemię.

Mudir Hsen Aráb zaprasza nas do swego biura na czarną kawę.

Mały pokój o malutkiem okienku. Stół zaplamiony atramentem i zarzucony papierami, obok dwa krzesła. Na ścianie podarta i poklejona przezroczystymi paskami papieru mapa Trypolitanji.

Rzucają się odrazu w oczy dwa rysunki, wykonane niebieskim ołówkiem i przybite gwoździkami do ściany, a wyobrażające wizerunki młodych kobiet. Sportowe kurtki, zawadjackie bereciki na jasnych kędziorach i wybitnie anglosaskie rysy twarzy.

Patrzę pytająco na mudira, który śmieje się głośno.

— Nie spodziewał się pan znaleźć w Regeiba znanych sobie typów kobiecych, prawda? Ale zaraz wyprowadzę pana z błędu. Te panie nie były tu nigdy. W tych stronach z lunetą w ręku nie znajdziesz Europejki, ani Arabki. Wszystko czarni mieszkańcy z Fezzanu, lub też Tuaregowie, siedzący na ramli, którzy trzymają żony pod kluczem. Och, Trypolis, Trypolis, kiedy ja tam wrócę — wzdycha ciężko.

— A te dwa rysunki wykonał chorąży karabinierów, który przejeżdżał przez Regeibę miesiąc temu, udając się na urlop — dodaje.

Rozkładał koc na ziemi przed mudirją i zabieram się do obiadu. Szary jęczmienny chleb, surowe jajka, sardynki i tuńczyk. Konstatuję fakt, że zapomniałem w Sebha noża i widelca — jem więc rękami, a oliwa spływa po palcach i brodzie, zwabiając roje much, które włożą do oczu, nosa i ust, i nie można się od nich opędzić.

Otoczające mnie dzieci gadają coś ciągle, komentując zapewne moje ruchy i zachowanie się — czuję się trochę, jak aktor, debiutujący na scenie.

Oaza u stóp wysokiej, sfałowanej od wichrów wydmy. Obrazek jak z filmu. Słońce praży i pot zalewa oczy.

Uadi Agiàl, daleka od morza i daleka od jeziora Czad. Z jednej strony ruchome piaski, z drugiej czarne wzgórze, siedlisko rogatych żmij.

W pewnym miejscu droga skręca i wije się między blokami bazytu, sprawiającymi wrażenie skamieniałych pni drzewnych, porąbanych na kawałki — życia ani śladu, najmarniejszej nawet trawki.

Wjeżdżamy znowu w dolinę uadi i po kilku godzinach docieramy do fortu Ubari, pozostawiawszy po drodze świadków z procesu, którzy wysiedli w Takertiba, mając stamtąd trzy godziny pieszej drogi ramlą do Mendry.

Ubari otoczony jest krzaczastymi palmami, talą i tameryksem, rozszaniami rzadko na piasku. O kilka kilometrów sterczy wysoka, odosobniona góra o czarnych zboczach i płaskim, ściętym szczycie. Przypomina mi się ulubiona lektura dzieciństwa „W pustyni i w puszczy“ i owa góra, skąd Staś Tarkowski wypuszczał latawce, wzywając ratunku dla siebie i małej Nel.

Starszy sierżant prowadzi mnie do magazynu, który się właśnie odnawia. Ściany świeżo otynkowane, podłoga zaplamiona i zakurzona, umeblowanie stanowią wypchany halfą siennik i pusta bańka od benzyny. Walę się odrazu na siennik i momentalnie zasypiam.

Gdy się obudziłem, było już ciemno. Wychodzę na podwórze i spotykam dowódcę fortu, który, złajawszy wszystkich, że go odrazu nie zawiadomiono o moim przyjeździe, instaluje mnie w najlepszym pokoju, jakim rozporządza.

Załogę Ubari stanowi pluton askarów erytrejskich, kilku radio-telegrafistów, ów starszy sierżant oraz dowódca, porucznik Cominotti, młody, wesoły chłopak z twarzą boksera, rodem z Udine.

Tenente okazał się zapalonym footballistą i cały wieczór omawialiśmy składry drużyn włoskich, chwalać Ambrosianę, rugając Juventus i głowiąc się nad rozwiązaniem zagadki klęski Italji podczas ostatniego spotkania z Austrią.

Okolo drugiej w nocy idziemy spać. Odczytuję przed zaśnięciem egipskie pismo filmowe „Images” i nagle widzę jakieś czarne cienie, ruszające się na ścianie. Po chwili jeden spada mi na koldrę.

Karaluch!

Zrywam się i, chwyciwszy but, rozpoczynam masowy pogrom. Że jednak wciąż nowe zastępy pojawiają się ze wszystkich stron, kapituluję i, wysunawszy łóżko na środek pokoju, zasypiam.

Przed fortem urządza się plac tenisowy oraz boisko do gry w kręgle — odrazu uwidoczniają się zamięłowania sportowe dowódcy.

— Obok naszego fortu będą się odbywały manewry grupy saharyjskiej, więc chcę im pokazać, co to znaczy Ubari — mówi dumnie Cominotti.

— Żeby to pan wytępił również przedtem karaluchy.

— Drobnostka! Do tego są przyzwyczajeni — zresztą tu jest tak mało życia, że nawet widok dziarskiego karalucha cieszy oko.

Jedziemy godzinami wzdłuż stromego zbocza płaskowyżu. Agiál skończyła się dawno i droga prowadzi przez serir, pokryty zrzadka drzewkami akacji, by przejść potem w czarną, kamienistą hammadę.

Po sześciu godzinach drogi jedziemy znowu serirem i mijamy robotników, pracujących przy naprawie traktu. Kilkunastu czarnych ubija żwir rącznemi młotami z drzewa.

Dwa namioty, przy nich samochód i kuchnia polowa, zrobiona z odwróconej dnem do góry beczki od benzyny. U dołu wycięty zboku otwór, gdzie się kładzie drzewo, a żelazne dno służy jako blacha, na której stoją naczynia z gotującą się zupą na konserwach czy też mięsie baraniem.

Nadjeżdża inny samochód jadący w stronę Ubari. Prowadzi go szofer Włoch, wioząc pasażera również Italczyka, udającego się na urlop żołnierza.

Ja, oraz dwaj świeżo przybyli, zostajemy zaproszeni przez Saviotiego, młodego Włocha, kierującego robotami szosowemi, na obiad składający się z nieodstępnego makaronu, zupy z konserw oraz marmelady z puszeki.

Uwagę moją przykuwa postać szofera z auta przydzielonego do

budowy dróg. Szeroka twarz, wystające kości policzkowe, czarna broda, na głowie czapa barania. Typowy muzyk rosyjski.

Zajada w milczeniu. Poczawszy mój badawczy wzrok, odkłada łyżkę i spogląda pytająco.

— Pan jest Rosjaninem, nieprawdaż? — pytam po polsku na chybił trafił.

— Tak jest, Atos Radienski, porucznik piechoty. Byłem dwa lata w pułku w Warszawie i tam nauczyłem się języka — odpowiada łamaną polszczyzną.

— Więc skąd pan tu, na Saharze?

— W czasie rewolucji udało mi się zbiec z Odesy do Konstantynopola. Po dłuższej włóczędze znalazłem się w Bolonii. Byłem głodny, nie mogłem znaleźć pracy i oto dowiedziałem się, że rząd włoski poszukuje szoferów na wyjazd do Afryki. Umiałem prowadzić maszynę jeszcze za dawnych, dobrych czasów, zapisałem się więc na skrócony kurs szoferski, przyjąłem obywatelstwo włoskie i już od jedenastu lat buduję drogi na pustyni.

— Moi koledzy tańczą w kabaretach, są portjerami w hotelach, kelnerami w restauracjach — mówi po dłuższej przerwie. — Ja nie upadłem tak nisko. Mam szacunek dla swego nazwiska i rangi oficerskiej. Pracuję ciężko, zarabiam mało, ale nie zaznałem goryczy takiego poniżenia. Wielką moją pociechą jest poczucie, że „prapor-szczyk” Radienski przyczynił się trochę do postępu kultury światowej. Czytam chciwie gazety, szukając wieści o utraconej, dalekiej ojczyźnie. Jakież cudowne państwo tam wyrasta! Niedawno przysłał mi z Paryża utwór Borysa Pilniaka „Wołga wpada do morza Kaspijskiego”. Płakałem, czytając — czytam teraz tę książkę codziennie. Skończył się przecież okres niechlujstwa i cierpiętnictwa w naszej literaturze. Książki rosyjskie są teraz pełne siły, wiary i pewności siebie. A jakie pieśni...

I miłym barytonem zaczyna śpiewać „Grenadę” Swietłowa. W połowie urywa i płacze.

— Co mu się stało? — pytają zdziwieni i przerażeni Włosi.

— Nostalgja!

Kiwają głowami ze zrozumieniem i przejęciem.

— Więc czemuż pan nie wraca do siebie — ryzykuję, może niedyskretne, pytanie.

— Och, zaraz rzuciłbym wszystko i jechał do kraju, lecz cóż, jestem na czarnej liście i skończyłbym w czczewyczejce. Atos Ra-



...obok rośnie olbrzymia o kilku pniach akacja Albida...

dienskiej strzelał do uciekających z okopów żołnierzy. Atos Radienskiej był siedem razy ranny, ale to się nie liczy. Jestem szlachcicem i muszę cierpieć za grzechy mojej kasty.

— Gdzie się pan urodził — pyta mnie nagle.

— W Kijowie.

— Śliczne miasto. Skończyłem tam gimnazjum. Znałem w Kijowie Polaka, studenta politechniki. Pamiętam, że nazywał się R., wysoki blondyn, wesoły, miły bardzo człowiek.

Dziwnym zbiegiem okoliczności mogłem mu udzielić wiadomości o inżynierze R. Był to kolega i przyjaciel mojego ojca — umarł przed kilku laty.

W kącie namiotu stoi słój, pełny jaszczurek, skorpionów i myszy — przyglądam się zdziwiony.

— To profesor Scortecci, zoolog, zostawił tu ten słój ze spirytusem i polecił nam wrzucać tam wszystko, co złapiemy. Dał nam też pułapki na myszy. Gdy będzie wracał z Gatu, zabierze to sobie — informuje Saviotti.

Saviotti podkreśla ciągle swoje pochodzenie z Romanji.

— Najlepsza prowincja Italji, która wydała Mussoliniego i Balbę — nadyma się dumnie.

— Ale wie pan, przypominałem sobie, że gdy byłem w przeszłym roku na urlopie w Tripoli, poznałem tam Polaka rzeźbiarza.

— Jak się nazywał — pytam zaniepokojony.

— Ech, nie pamiętam, takie jakieś krótkie nazwisko. Siwiejący, około pięćdziesiątki. Jadaliśmy obaj w restauracji „Aquila d'Oro“.

— Może Zerych? — mówię — bo wiem, że bawił w czerwcu w Trypolisie.

— Tak, tak. Siedział całymi dniami na Piazza del Kasb i rysował ciągle murzynów i Arabów. Nie znał włoskiego ani angielskiego, a dogadał się z każdym. Morowy chłop, podobał mi się bardzo.

Zapada wieczór — trzeba jechać dalej.

Co kilkanaście kilometrów zjeżdżamy gwałtownym spadkiem wdół. Tarasami spadający płaskowyż — każdy taki stopień ma od 60 do 100 metrów wysokości. Po dziewiątym z kolei stopniu, wymiennąwszy szczęśliwie niebezpieczny, ostry zakręt na zboczu, wyjeżdżamy na równinę i po kwadransie znajdujemy się w forciku el Auenat, obsadzonym przez pluton saharjanów.

Obok rośnie olbrzymia, o kilku pniach akacja Albida, o płaskiej

szerokiej koronie i drobnych liściach. Jedyny okaz w Fezzanie — drzewo święte, nietykalne, czczone przez Tuaregów jako tabu.

Pozatem kilka suchotnicznych palm, pasmo gór na południowozachodzie i beznadziejnie pusta, kamienista hammada, oto krajobraz el Auenāt.

Dookoła fortu nieliczne zeriby czarnych mieszkańców, biały, ulepiony z gliny marabut, nad którym powiewają również białe chorągiewki, trzy czy cztery półka jęczmienne i niziutkie, gliniane zabudowania, otoczone murem — koszary saharjanów.

Dowódcą fortu jest sierżant Vascon, pochodzący z Padwy. Już osiem lat przebywa w Trypolitanji i ani razu przez ten czas nie był w kraju.

Obecnie za kilka tygodni jedzie na trzymiesięczny pobyt do Italji. Cieszy się strasznie i ciągle mówi, co będzie robił i jak spędzi swój urlop.

Gdy rozmawiamy o tem w najlepsze, wchodzi żołnierz z radjostacji i podaje mu depeszę.

Vascon otwiera ją niedbale i nagle bieleje jak papier. Łzy ukazują mu się w oczach, chowa twarz w dłonie, a później zaczyna nerwowo walić pięściami w stół.

— Gdybym był wierzącym, przestałbym w tej chwili wierzyć w Boga — wybucha i podsuwa mi depeszę.

Tylko cztery słowa: Brat umierający, przyslij pieniędzy.

Patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

— Więc już po urlopie. Poślę zaoszczędzone pieniądze i będę znów siedział w tym przeklętym Fezzanie. Nie pojedę, nie pojedę! — powtarza z histeryczną rozpaczą.

Gwałtowny podmuch wiatru zatargał drzwiami i zadzwonił szymbami w oknie, wychodzącym na wewnętrzne podwórze, gdzie w świetle latarni bieleł się zbiornik z wodą.

— Zamykać okna. Samum! — zawołał ktoś z zewnątrz.

— Miłe pozdrowienie z Algeru. Będzie teraz wiało całą dobę i niosło kłęby piasku. No, chodźmy spać. Zresztą nie wiem, czy pan usnie przy tej piekielnej muzyce.

Nie zmrużyłem oka. Wiatr wył i jęczał, stukając drzwiami i okiennicami i zasypując wszystko w pokoju drobnutkim piaskiem, który przedostawał się przez jakieś niewidzialne szpary.

Z rana porywy wiatru stały się jeszcze silniejsze. Palmy gięły się do ziemi, a tumany piasku zasłaniały wszystko.



...tumany piasku zasłaniały wszystko...

— Przekłęta pogoda — stara się przekrzyczeć huragan Vascon — radzę wam przeczekać ją tutaj, bo możecie utknąć w drodze i gorzko odpokutować tę jazdę.

— Poczta musi być dzisiaj dostarczona do Gatu, mam taki rozkaz — replikuje żołnierz, wiozący worki z pocztą.

— Ano, to trudno, niech więc wam sprzyja bogini Fortuna. Przybiega zdyszany żołnierz Arab.

— Panie sierżancie, wiatr zawalił wejście do koszar.

— Macie przykład siły wiatru, jeszcze przewróci wam maszynę.

— Niema obawy, ciężko obciążowana.

Szofer zapuszcza maszynę. Trach — pękło śmigło ochładzające. Co zrobić?

Bierzemy kawałek drzewa i po dwóch godzinach przy pomocy hebla, piły, świdra, noża i rozpalonego drutu robimy nowe, prymitywne śmigiełko.

Pracujemy obok kuchni, z której dochodzi śpiew kucharza — nuci modną przed dwoma laty piosenkę: *How do you do, mister Brown*.

Po chwili śpiew się urywa i przez niedomknięte drzwi wpada nam w uszy dziwny monolog: — Wczoraj baranina, dziś baranina, jutro baranina i za tydzień baranina, samum, gibli, piasek — do... z tem wszystkim.

I znowu śpiewa, wymawiając słowa z wybitnie rzymskim akcentem:

*Sole, che sorgi libero e giocondo,
Sui colli nostri i tuoi cavalli doma,
Tu non vedrai più bella cosa al mondo,
Maggior di Roma! Maggior di Roma!*

(Słońce, co wschodzisz wolne i radosne, na naszych wzgórzach swe rumaki wstrzymaj, bo nie zobaczysz nigdzie na świecie nic piękniejszego i większego od Rzymu!)

Robimy generalną próbę maszyny: będzie się kręcić śmigło, czy też naniec cała nasza praca. Na szczęście sztuka się udało.

Otulamy się w płaszcze, owijamy głowy zmałami i nakładamy saharyjskie okulary z gumowymi ochroniaczami, szczególnie przylegającymi do skóry.

Po kilku obrotach kół el Auenàt znika w tumanach piasku. Posuwamy się powoli i z trudnością. Drogę ledwie można odróżnić, a zboczenie z niej grozi utknięciem w wydmie, lub też wpadnięciem

w jakąś dziurę. Słońca nie widać wcale, wszystko zasłania piasek, który wciska się pod ubranie i zmałą, kłując, jakby tysiące ostrych szpileczek wbijało się w ciało.

— Chwała Bogu, że droga prowadzi przez góry — krzyczy mi do ucha szofer — na ramli musi być piekło. Biedne karawany, które teraz znalazły się na płaszczyźnie.

Rzeczywiście jedziemy przez góry, lecz szczytów nie widać — jedynie ciągłe falowanie drogi zdradza górzystą okolicę. Chce mi się pić i podnoszę butelkę do ust, pocztowy chwytą mnie za rękę.

— Zaczekaj pan, wszak dopiero dwie godziny minęło od opuszczenia fortu. Kto wie, kiedy dojedziemy do Gat. Trzeba oszczędzać wodę, po drodze niema żadnej studni.

Mijamy stożek kamieni przy drodze.

— Połowa drogi — mówi szofer.

Opuszczamy góry i jedziemy serirem — tu dopiero hula samum co się zowie, nie napotykając żadnej przeszkody. Gwałtowny wicher unosi wgórę kamyki, które zadają bolesne uderzenia. W uszach dzwoni męcząco, gardło mam zupełnie wyschnięte.

Nie mogę się pozbyć uporczywej, warjackiej myśli, którą wciąż odpędzam, lecz która wraca coraz bardziej natarczywa i gnębiąca: co będzie, jeśli na koniec motor odmówi posłuszeństwa?

Wkońcu nie wytrzymuję i pytam pocztowego:

— A jeśli maszyna utknie?

— Narazie mamy wodę i żywność. Dopóki się nie wyczerpią, będzie nam wesoło, potem coraz smutniej. Zaczniemy oczekiwać pomocy. Jeśli się zaś nie zjawi na czas, no, to się ukażą piękne artykuły w gazecie z nagłówkami „Nowe ofiary samumu“ lub „Tragedja w Fezzanie“.

— Cicho! Co tam znów kraczesz — wrzeszczy, odwracając się, szofer.

Samochód w tejże chwili skręcił gwałtownie w bok i zarył się w piasek. Szofer dał gazu do tyłu i na szczęście wydobył się jakoś z tej groźnej sytuacji.

Jesteśmy tak pokryci kurzem, że wyglądamy jak kupy piachu. Z oczu płyną łzy, gdyż drobniutkie ziarenka piasku przenikają pod okulary i drażnią bolesnie gałki oczne. Wiatr wyje i gwizdże, samochód zgrzyta i dzwoni, droga wlecze się w nieskończoność. Posuwamy się powoli, bardzo powoli.

Jednakże wszystko kończy się pomyślnie i po ośmiu godzinach tej piekielnej jazdy, zdrowi i cali, tylko kompletnie wyczerpani nerwowo, dowlekamy się do Gatu, położonego o 1600 km od morza Śródziemnego, na drodze karawanowej, wiodącej z Algeru do jeziora Czad.

XIII

GAT. PROFESOR SCORTECCI

Budzi mnie miarowe uderzanie w bębny. Zrywam się szybko, ubieram i pędzę w kierunku grupy palm, skąd dochodzą intrygujące mnie dźwięki.

Okazuje się, że huragan uszkodził kanały wodne, zasypując je piaskiem, i teraz ustawieni szeregami tubylcy odgarniają łopatami piasek na boki, czterech zaś starców wali w drewniane, obciążone skórą bębny dla dodania ochoty robotnikom oraz utrzymania tempa pracy. Kieruje robotą dowódca fortu, major Moccia, sympatyczny, mały neapolitańczyk.

Samum dogorywa, lecz jeszcze tumany kurzu wiszą nad oazą, a powietrze jest duszne i ciężkie.

Gat jest położony bardzo malowniczo. Białe, ciasno przy sobie stojące domki pną się wgórę, a nad wszystkim królują brunatne mury fortu, wznoszącego się na szczycie. Podejście doń jest tak strome, że byłby nie do zdobycia dla samej tylko piechoty nawet przy dzisiejszem jej wyekwipowaniu, a cóż dopiero mówić o szturmie Tuaregów.

Labirynty wąskich, krętych, często ślepych uliczek. Zabłądzić bardzo łatwo. Wszystkie budowle z tinu — w wewnętrznych ścianach nisze, często z półokrągłym sklepieniem u góry. Dużo domów w ruinie i opuszczonych przez mieszkańców. Wnętrza ciemne i brudne, ludzie śpią na matach i gotują w prymitywnych kociołkach. Podstawą pożywienia jest jęczmień, daktyle i fasola, hodowana w dużych ilościach.

Przy głównej ulicy kilka sklepów oraz przerażająco brudna kawiarnia. Za zbitą z desek ladą kaprawy Ali przyrządza mętą kawę lub gorzką jak piołun herbatę. Ściany udekorowane podobiznami



...Co pewien czas przesunie się wysoka sylwetka Tuarega...

gwiazd ekranu, wyciętymi z ilustrowanych pism filmowych, które aż tu dotarły.

Ludność czarna, wysoka i szczupła, o proporcjonalnej budowie ciała. Płeć piękna ukazuje się z odkrytym obliczem. Bardzo dużo wesołych i gadatliwych dzieci, które wciąż zaczepiają i próbują nawiązać rozmowę. Dziewczynki noszą duże koła w uszach i szeregi warkoczyków, chłopcy mają golone łepetyny, tylko przez środek od czoła do szyi biegnie wysoki i wąski czub, coś w rodzaju koguciego grzebienia. Zaskakująca jest nieczułość tych bachorów na roje much, które obsia-

dają im twarze i cisną się do oczu, ust i uszu. Żadne nawet palcem nie ruszy, aby odpędzić od siebie prześladowące je owady.

Co pewien czas przesunie się wysoka sylwetka Tuarega z jasną, brązową skórą i europejskimi rysami twarzy. Krok poważny i pewny siebie, szeroki burnus i głowa owinięta zmałą. Kobiety ich publicznie nie ukazują się nigdy. Tuaregowie przebywają ze swoimi stadami na pustyni poza oazami, wędrując ciągle od pastwiska do pastwiska.

Z fortu roztacza się wspaniały widok, jakby wyczarowany przez genialnego malarza o bujnej fantazji. U stóp białe domki miasteczka, dalej palmy pobliskich oaz, a o kilkadziesiąt kilometrów w kierunku zachodnim łańcuch gór Tassili, granica z kolonjami francuskimi — po tamtej stronie już fort francuski Gianet. Na południe miasteczko Tadamet, położone w oazie Gat, dalej kotlina słonej sebhcy, płaska, jakby naturalne lotnisko, pokryta lekko warstwą lśniącej w słońcu soli, i bukiety palm w bliższych i dalszych oazach. Na północ falujący szaro-żółty serir, a poza nim fantastyczne kontury gór Djabelskich — Gaf Genun. Na wschód sfalowana od wichrów, wysoka wydma o barwie dojrzałej pomarańczy i na horyzoncie łańcuch gór Akakusz o ostrych wierzchołkach i stromych, prostopadłych, jakby nożem równo ściętych ścianach.



...Z fortu roztacza się wspaniały widok...

Przez Gat przechodzą wszystkie karawany, idące z Sudanu do Algeru lub odwrotnie. Jest to jakby stacja węzłowa i centrum zaopatrywania. Tu jest targ zwierzęcy, tu się zakupuje żywność i robi zapasy wody na dalszą drogę. Karawany natomiast przynoszą na rynek miejscowy oryginalne wyroby sudańskie ze skóry i słomy, strusie jaja itp.

Kowale z Tadamet wykuwają charakterystyczne dla Gatu wyroby z miedzi: ciekawe kłódki, młotki do rozbijania głów cukru itp. Niezmiernie interesujący jest fakt częstego używania znaku krzyża, jako ornamentu na prymitywnych ręcznych zdobieniach metalu. Stąd powstało przypuszczenie, że w tych okolicach panowała ongi religia chrześcijańska.

Trudno wyobrazić sobie przestrzenie Fezzanu bez oddziałów saharjanów. Jest to „konnica” na wielbłądach, złożona z żołnierzy arabskich — oficerowie i podoficerowie Włosi. Otrzymuje się tu przydział na ochotnika bez różniczkowania rodzajów broni. Spotkałem wśród korpusu oficerskiego saharjanów zarówno kawalerzystów, jak przedstawicieli artylerji i piechoty.

Oficerowie noszą normalne czapki i kurtki wojskowe z odznakami rodzaju swej broni na naramiennikach. Jedynie spodnie „si-

luara“ i plecione ze skóry treпки, noszone na bosc stopy, zdradzają ich przydział. Żołnierze, jako strój ćwiczebny, mają koszulę, siluar i zmalę koloru khaki. Strój paradny jest biały — w obydwóch wypadkach przepasani są długą szarfą w barwach swojej grupy, która jest mniej więcej odpowiednikiem bataljonu. Z ogólnej liczby siedmiu grup trzy stacjonują w Fezzanie. Gat ma kolor czerwony, Murzuk — zielony, Brak — czarny.

Grupa pierwsza z siedzibą w Gat słynie z doskonałych wielbłądów. Już dwa razy zrzędu wygrali doroczny bieg długodystansowy, a jeżeli i w tym roku szczęście im dopisze, puchar przechodni stanie się ich własnością.

Do biegu staje jeden oficer i pięciu askarów. Wszyscy muszą przybyć jednocześnie, w przeciwnym bowiem razie drużyna podlega dyskwalifikacji. W przeszłym roku bieg odbył się na przestrzeni Murzuk—Sebha, w tym roku zaś wybrano trasę el Gheddaghia—Misurata. Ogólnym faworytem jest zeszłoroczny zwycięzca, tenente Favilla.

Oglądałem w Gat wymarsz na manewry. Plutony ustawiły się szeregiem na żółtej wydmie za fortem obok klęczących na piasku wielbłądów, dźwigających na sobie oryginalne siodła, zwane rakla. Drewniany szkielet o dużym wgłębieniu, przykryty czerwonym sukniem, odpowiadającym barwie danej grupy — na przedniej części wysoki drewniany krzyżyk do zaczepiania cugli, łatwo łamliwy, by nie uszkodził jeźdźca przy upadku. Siodło umieszczone jest na garbie wielbłąda i siedząc opiera się nogi na jego karku, więc przy takiej pozycji utrzymanie równowagi jest bardzo trudne, i najmniejsze potknięcie się zwierzęcia, czy też chwilowa nieuwaga jeźdźcy mogą łatwo spowodować upadek. Przytem wielbłąd nie daje się tak opanować jak koń, z którym dobry kawalerzysta robi, co chce. Nigdy niewiadomo, co uczyni za chwilę i jak potraktuje swego pana, do którego nie przywiązuje się wcale i potrafi go ugryźć wśród pieszczot i czułości sobie okazywanych. Wielbłądy nie kopią nigdy, tylko gryzą lub też gniotą ciężarem swego pokracznego cielska.

Za siodłem umieszczone są zwinięte różnokolorowe kilimy, torby i worki z podręcznym sprzętem i żywnością, gdyż askar zawsze wszystko wozi z sobą.

Trąbka gra na baczność, askarzy prężą się przy swoich garbatych wierzchowcach. Trzej żołnierze niosą sztandar grupy i stają z prawej strony szeregów. Widok niezmiernie malowniczy i egzotyczny.



...wymarsz na manewry...

Nadchodzi dowódca, major Moccia. Krótki raport. Następnie major żegna pozostających, podając każdemu pokolei rękę bez rozróżniania szarż i siada na swego wielbłąda.

— W kierunku za mną grupa plutonami marsz!

Po kilku minutach znikli z zasięgu mego oka wśród żółtych, falistych diun.

Postanowiłem kupić sobie jakiś ciekawy przedmiot na pamiątkę z Gat i udałem się do kowala w Tadrmet. Na środku małego placu pali się niewielki ogieniek, a przy nim siedzi w kucki murzyn i kuje młotkiem rozżarzony kawał miedzi na niewielkim kowadełku. Pomocnik rozdmuchuje ogień pierwotnym miechem ze skóry koźlęcia.

Siadam obok na ziemi, patrząc obojętnie przed siebie według miejscowego rytuału, stosowanego przy transakcjach handlowych.

— Masz kłódki na sprzedaż — mówię po chwili jakby mimochodem.

— Nie! — krótka odpowiedź i podejrzliwe łypnięcie okiem.

— A cóż to? — biorę do ręki kłódkę, leżącą w drewnianej skrzynce z boku.

— To zamówił signore — wskazuje na obdartego murzyna, leżącego na piasku.

— Przecież to wcale nie signore, tylko biedny murzyn i nie może zapłacić za taką kłódkę.

— Nie może?!

Mówi coś szybko do obdartusa, który podnosi się z ziemi, wyciąga z kieszeni pieniądze i z dumną miną odchodzi, unosząc pożądany przeze mnie przedmiot.

Ano trudno. W skrzynce pozostały dwa młotki z ręcznym żłobieniem.

— Ile chcesz? — pytam, biorąc większy do ręki.

— A ile dasz? Ty bogaty signore, a ja biedny czarny.

— No więc?

— Dwadzieścia lirów!?

— Nie!

— To bierz mniejszy za osiem.

— Kiedy ja chcę większy.

— Poco tobie większy, przecież ty nie kupujesz głów cukru. Weź mały, bo i ładniejszy, i lepszy.

Wkońcu dobijamy targu. Biorę duży młotek za dwanaście lirów oraz kupuję też oryginalny sierp tutejszy, głęboko zębiony, lekko zakrzywiony i osadzony pionowo na długim trzonku. Miałem wielką ochotę na miech, ale nie jest do sprzedania.

Niedaleko płynie strumyczek, gdzie zawsze widać piorące kobiety. I oto, przechodząc obok, ujrzałem rzecz wręcz niesłychaną — jakiś czarny Fezzańczyk mył się porządnie, mydląc starannie twarz, szyję i uszy.

Niech żyją zdolności cywilizacyjne Włochów! Muszę koniecznie pogratulować Marcellowi.

Podczas pobytu w Gat, z powodu braku miejsca w forcie, mieszkałem w ambulatorjum cywilnem. W pokoju nie było żadnych mebli oprócz żelaznego łóżka, lecz zato po ścianach łążyły jakieś dziwne, pręgowane poprzecznie stonogi.

I właśnie owe skolopendry zbliżyły mnie z profesorem Scortecim, zoologiem z muzeum medjolańskiego, który studjuje faunę Fezzanu i okazał wielkie zainteresowanie, gdy mu przyniosłem kilka pięknych okazów, złapanych nad moim łóżkiem.

Profesor, wysoki, szczupły, muskularny, wysportowany mężczyzna o szczerej, poważnej twarzy, jest krańcowem przeciwstawieniem owych przysłowiowych Muchołapskich z pism humorystycznych: pękaty, ze spadającymi okularami i nieodzowną siatką na motyle w rękę.

Spędziłem z nim kilka niezapomnianych dni. Wychodziliśmy na łowy obładowani szklanymi probówkami, szczelnie zakorkowanymi. W jednych był alkohol, w innych trociny przesiąknięte eterem — przyszłe trumny złapanych owadów.

Służący profesora, Mehdi, niesie dubeltówkę, torbę myśliwską oraz dużą białą siatkę na krótkim kijku.

Przelatuje szara jaśkółka pustynna. Strzał. Po chwili Scortecci siedzi na ziemi i zapomocą nożyczek i chirurgicznego noża preparuje ptaka. Rozgarnia piórka na brzuszku i robi pewne, podłużne cięcie nożyczkami. Potem wkłada dwa palce pod skórę, zgina je



...zbliżyły mnie z profesorem Scortecim...

gwałtownie i cały korpus ptaka wychodzi nawierzch. Przecina nożem kręgosłup i wygrzebuje lancetem mózg z czaszki. Następnie oskrobuje dokładnie wewnętrzną stronę skóry z mięsa, naciera ją formaliną w proszku, wypełnia watą, wygładza starannie piórka i wkłada do papierowej torebki. Wieczorem ptaszek będzie poddany jeszcze specjalnej preparacji i włożony do metalowej skrzyni, w której powędruje do warsztatów muzeum w Medjolanie, gdzie zrobią mu korpusik z drutu, wstawią szklane oczka i za szybą w gablotce będzie reprezentował faunę Gatu.

Po ziemi biegają szybko dziwne srebrnawe mrówki, zostawiając drobny, zygzakowaty ślad po sobie. Gdy trwają nieruchome, nie

odróżniają się zupełnie od piasku wydmy i wyglądają jak jego ziarenka.

Pod krzakiem dziura, obok zaś leży skóra węża, który właśnie zmienił szatę. Mehdi wkłada ją do torby, a ja próbuję rozkopać nożem dziurę, by dostać się do płaza.

— Daremna praca! Kto wie, ile metrów długości i jakie rozgałęzienia i zakręty ma ten podziemny pałac — śmieje się Scortecci.

Olbrzymia gruda piaszczystej glinki, cała podziurawiona. Mieszkania termitów. Rozbijamy ją silnymi uderzeniami. Zaczyna się gwałtowny ruch — bronzowi żołnierze, stanąwszy w pozycji zaczepno-odpornej, wysuwają groźnie szczęki, białawe robotnice biegają wkółko, starając się naprawić szkodę, włóczą się bezradnie skrzydlaci jeszcze samcy, skazani na obgryzienie skrzydeł i niewolniczy żywot w zamknięciu.

Scortecci klęka nad mrowiskiem, macza pendzelek w alkoholu i kasty społeczeństwa termitów zostają zrównane, znajdując wspólną śmierć w próbówce.

A oto inne mrowisko. Termity zbudowały sobie dom, oparłszy go o pień palmy. Misterne rurki, przejścia, kurytarze powietrzne, ulepione z glinki. Cała konstrukcja ma około metra wysokości. Wygląda to, jakby ktoś ułożył stos naszego chróstu karnawałowego i polał go szarą farbą.

Dochodzimy do ogrodów Mustafy. Gęsto rosnące palmy, a wśród nich poletka jęczmienia i fasoli. Tu i ówdzie małe, płytkie jeziora, o powierzchni 50—60 metrów kwadratowych, pokryte wodorostami.

Nad wodą drzęmią duże, grube o szeroko rozczapierzonych łapach samice-ropuchy, a obok nich mali, szczupli małżonkowie. Oczy ich patrzą nieruchomo i bezmyślnie na nasze uwijające się w pobliżu postacie.

Towarzyszy nam ośmioro małych murzyniąt, obserwujących z szeroko otwartymi buziami nasze ruchy i poczynania i witających radosnym okrzykiem każdy złapany okaz.

Znoszą na wyścigi pijawki i żaby. Małeństwo może sześciolatnie goni wielką żabę. Co się zbliży i wyciągnie rączki, żaba podskakuje, a wystraszone dziecko cofa się gwałtownie. Za chwilę znów rozpoczyna pogoń i znów z tym samym wynikiem. Trwa to długo i reszta dzieci zaczyna wyśmiewać się i drwić z niefortunnego poławiacza żab. Zdeterminowany murzynek rzuca się wkońcu na ziemię obok



...bachory drą się wniebogłosy...

ropuchy, chwytą ją za tylne nogi i triumfalnie dźwiga w naszą stronę.

— Latać wielki ptak — wrzeszczy Mehdi.

Duży cień przesuwa się nad naszymi głowami i ptak siada na pobliskiej palmie.

Scortecci składa się do strzału i za chwilę szara czapla spada ciężko pomiędzy krzaki fasoli.

Dzieci krzyczą radośnie i biegną na wyścigi po ptaka, wydzierając go sobie nawzajem.

Teraz ma nastąpić fotografia. Bachory drą się wniebogłosy, bo każdy chce trzymać czaplę. Nakoniec godzą się jakoś i jedne chwytają za skrzydła, inne za nogi i dziób. Tłoczą się dookoła, bo każde chce być sfotografowane. Dla jednego nie starczyło miejsca. Narazie beczy, ale potem chwytą kij, wpycha w dziób ptaka i szczebiocze coś niezrozumiałe i wesoło, pokazując na czaplę i na siebie.

Szerokim nożem rozkopujemy brzeg stawku, odgarniając na bok ziemię. Każdy ruch noża ukazuje nam nowe życie: świerszcze, mrówki, chrząszcze, stonogi, pająki.

— Widzi pan — mówi profesor — zdaje się, że pod powierzchnią nic niema, a tu, proszę, jaki ruch panuje.

Łapie owady długimi szczypcami i zapełnia wciąż nowe probówki.

Zbliża się zachód słońca, czerwienieją czuby palm i cień schodzi między drzewa — siadamy na pniu ściętej palmy w oczekiwaniu nietoperzy.

Muntazzi Mehdi opowiada nam historię swego wstąpienia do wojska.

Muntazzi w wojskach kolonialnych odpowiada stopniowi kaprala — wyższe stopnie są bombaszi i szylukbaszi, który może być porównany z sierżantem. Wyżej tubylec awansować nie może.

— Było to przed pięciu laty — mówi Mehdi — poszedłem z wujem na jarmark do Sough el Gjuma. Około jednego stoiska zebrało się dużo ludzi; zaciekawieni, poszliśmy zobaczyć, co się dzieje. Nagle zjawił się żandarm murzyn i zaczął rozpędzać tłum, popychając i wymyślając ordynarnie. Wuja mego potrafił tak silnie, że staruszek upadł na ziemię. Stanąłem w jego obronie, a żandarm pobił mnie i zaaresztował. Siedziałem dwie doby i musiałem pracować w ogródku więziennym.

Postanowiłem się zemścić. Miałem znajomego bombaszi i przy

jego pomocy zaciągnąłem się do wojska. Po dwóch latach służby zdałem wymagany egzamin i zostałem muntazzim, a mój wróg jest zaledwie starszym żołnierzem.

— Ale gdzież tu zemsta?

— Oho, niedawno na ulicy nie zasalutował mi. Złożyłem raport i dostał dwadzieścia pięć różg w pięty — uśmiecha się zadowolony Mehdi.

— Wiele masz żon? — pytam.

— Jedną, to wystarczy zupełnie. Ożeniłem się po raz drugi trzy lata temu, pierwsza żona umarła w połogu — miała dopiero piętnaście lat, była słaba i nie wytrzymała. Ja miałem wtedy siedemnaście, teraz mam o dziesięć lat więcej.

— Dlaczego ożeniłeś się tak młodo?

— Mój ojciec zmarł, a matka wyszła za mąż za stryja. Oni wybrali mi żonę i kazali z nią żyć, a przecież trzeba słuchać opiekunów.

— Wie pan — dodaje, jakby z dumą — moja mama nie była nigdzie poza Trypolisem, a z domu wychodzi najwyżej raz na miesiąc.

— Dlaczego?

— Poco kobiecie wychodzić, dla niej niema nic ciekawego na ulicy — mówi z głębokim przekonaniem Mehdi. — Powinna pilnować domu i dzieci. Moja druga żona dwa lata nie opuszczała mieszkania, wszystkie zakupy robiła służąca.

— Jakto, nawet nie odwiedzała swoich rodziców?

— Teraz, gdy wyjechałem z panem profesorem, poszła do rodziców i będzie tam siedziała, wiele jej się zechce. Nie będę zmuszał do powrotu. Gdy się nagada z matką i opowiedzą sobie wszystkie plotki — wróci.

Dziwna filozofja życiowa i jakże obce podejście do tak zasadniczej sprawy, jak współżycie dwojga ludzi.

Robi się coraz ciemniej, pojawia się pierwszy nietoperz. Cichy, szybki lot. Niesamowita sylwetka zakreśla koła i zakręty nad wodą jeziora, przypominając jakiegoś przedpotopowego ptaka w miniatrze. Po chwili jest już ich kilka.

Scortecci przykłada raz po raz dubeltówkę do ramienia, mrucząc coś pod nosem po każdym chybnym strzale. Ciemno, cel trudny, i myli złudna gra cieni wśród pierzastych palm. Dopiero po siódmym huku nietoperz spada na ziemię. Znudzone oczekiwaniem dzieci ożywiają się i hurmem rzucają się po niego do wody.

Mehdi bierze nową zdobycz do ręki i, klnąc, rzuca gwałtownie na ziemię.

— Co się stało?

— Ugryzł mnie bestja — pokazuje zakrwawiony palec.

Wracamy, pnąc się w górę, do fortu migocącego światłkami. Słychać zdaleka turkot motoru małej stacji elektrycznej.

XIV
ZPOWROTEM. GAZELE. GARAMANTI

Opuszczam Gat. Jest to już początek końca mojej wędrówki po Trypolitanji. Pocieszam się jednak myślą, że będę wracał do Trypolisu inną drogą, więc czekają mnie jeszcze nowe widoki i wrażenia.

Tymczasem ładujemy się na ciężarówkę, odchodzącą do Ubari. Amatorów jest chyba ze dwudziestu, maszyna zaś może zabrać maximum osiem osób. Kierujący odjazdem porucznik krzyczy i przeklina, odpędzając natrętów od samochodu. Wkońcu zapada Salomonowa decyzja — pojadą najstarsi wiekiem.

Odjeżdżamy, zadowoleni w tym wypadku z przeżytej już sumy lat, a pozostali patrzą na nas smutno i z wyrzutem. Trudno, musi być jakaś sprawiedliwość na tym świecie, — wszak przywilejem tych, co nie ukończyli jeszcze lat dwudziestu, jest tyle możliwości i tyle nadziei.

Narazie posuwamy się rażno i po dwóch godzinach docieramy do niewielkiej grupy gór Djablich — Gaf Genun. Czarne, poszarpane szczyty, a pośrodku dwie bliskie sobie, wyniosłe iglice, zwane rogami djabła. Miękki, kruchy łupek wichry wyrzeźbiły w kształt baszt, bram, wież i wykuszów. Jakby jakieś zamarte miasto czerni się w jaskrawem słońcu obornymi murami, a wyobraźnia umieszcza poza niemi całe hufce zbrojne, gotowe do ataku na naszą klekoczącą gderliwie ciężarówkę.

Później zaczyna działać się gorzej. Upał straszliwy, przeładowana maszyna psuje się ciągle lub zapada w piasek i musimy ją odgrzebywać gołemi rękami. Jednostajność pejzażu powoduje wrażenie, że wcale nie posuwamy się naprzód. Dzień wlecz się bez końca. Arabowie milczą cierpliwie, Italczyki zaś klą paskudnie, lub dla odmiany śpiewają sentymentalne canzony o kwiatach, miłości, szafirowem

morzu i Neapolu, bez którego żyć nie można. Żyjemy jednak jakoś bez tego wszystkiego, mając martwą pustynię dookoła, a na horyzoncie niesamowite kontury Gaf-Genun i Akakusz, miast obrazkowego Wezuwjusza.

Jedynym urozmaiceniem tej drogi są gazele, które pojawiły się przed nami na tle zachodzącego już słońca. Dodajemy gazu, lecz cztery wysmukłe sylwetki, jakby siłą magnetyczną trzymane, są wciąż na tej samej odległości. Nasz chorąży wkońcu nie wytrzymuje, wy-



...docieramy do niewielkiej grupy gór Djablich...

rywa karabin z rąk żołnierza-Araba, trzykrotnie repetuje i spuszcza cyngiel bez skutku. Co jest do jasnej cholery? Oglądamy broń — lufa czerwona od rdzy, kapiszony zgniecione, z łusek wysypuje się proch.

— Do raportu! — ryczy rozwścieczony chorąży.

Gazele tymczasem zboczyły nieco i, zatrzymawszy się o jakie sto kroków, przyglądają się nam z tą swoją charakterystyczną ciekawością, która je czyni łatwymi do upolowania. Zwierzęta te spotyka się nawet w okolicach zupełnie pozbawionych źródeł — odrobina wilgoci, zawarta w nędznej roślinności pustynnej, wystarcza im zupełnie do życia.

Zatrzymujemy samochód i postanawiamy otoczyć je półkolem i przycisnąć do pobliskiego urwistego zbocza. Podchodzimy uważnie i ostrożnie coraz bliżej — wtem poza nami rozlega się huk wystrzału, odbity głosem echem od górskiego łańcucha, a gazele znikają gwałtownie i bezpowrotnie.

Okazuje się, że wystrzelił ów żołnierz-Arab, któremu zardzewiały karabin dziwnym trafem nie odmówił tym razem posłuszeństwa.

— Jak śmiałeś strzelać! Mało ci tego, że jesteś już podany do raportu — pieni się chorąży.

— Tak czy inaczej dostanę pięćdziesiąt kurbaszów, bo więcej już nie mogę, więc wystrzeliłem sobie na pociechę — pada flegmatyczna odpowiedź.

W Fezzanie stosowana jest kara cielesna dla żołnierzy tubylców, albowiem areszt z wygodnym, w ich pojęciu, łóżkiem, dobrem jedzeniem i perspektywą nic nierobienia, jest raczej pożądaną atrakcją.

— Niech mi Allah da zawsze takie życie — mawiał o areszcie obsługujący mnie w Murzuku Mohammed ben Ali.

Chorąży w pierwszym odruchu chciał rzucić się na żołnierza, pohamował się jednak, chwycił jedynie dla ulżenia sobie kierownicę z rąk szofera i ruszył pełnym gazem, mrucząc pod nosem: No i strzeliło mu, właśnie teraz mu strzeliło...

W pewnym miejscu zobaczyliśmy znów gazelę z małym.

— Dawaj ten swój karabin — rozjaśnił się chorąży.

— Nie! Dobry człowiek nie zabija matki dziecku — słyszymy rezolutną ripostę.

Myślałem, że „nagła krew“ zaleje chorążego. Zrobił się siny, oczy mu wylazły nawierzch, a z gardła wydobył się jakiś dziwny charkot. Zostawił jednak zwierzęta w spokoju.

Zapadła szybko noc afrykańska, a raczej te jej pierwsze przykre godziny, gdy schowa się słońce, a niema jeszcze gwiazd, ani księżyca, i ciemno, jak w kałamarzu. Zrobiło się zimno i wietrzno. Dowlekamy się wreszcie do fortu Serdeles, gdzie zastajemy nerwowe przygotowania do przyjęcia nadciągającego bataljonu saharjanów. Pozwalają nam przenocować pod warunkiem, że o świcie opuścimy fort. Lecz i te krótkie godziny odpoczynku zatruł nam gibli, co zerwał się o północy i całą noc wył, huczał i trząsał drzwiami i oknami.

O piątej rano ruszamy dalej. Musimy teraz na przestrzeni 90 km wznieść się o 210 m i przeciąć kilka tarasów, spadających stromemi, jednakowej wysokości (około 20 m), schodami ku Serdelesowi. Nocny wichur pozostawił wszędzie zasypane piaski. Nasz rozklekotany, obszarpany S. P. A., gruchot, pamiętający jeszcze wojenne czasy, robi jednak dzielnie i uczciwie swoje kilometry, pnąc się powoli pod górę.

W połowie wysokości zrywa się naraz znów gwałtowny podmuch gibli i momentalnie przysypuje nas grubą warstwą piasku. Przechodziłem już trzy rodzaje buntu żywiołów: w pustyni, na oceanie i zimą w górach, i twierdzę, że to trzecie jest najgorsze. Samum jest bardzo przykry, gdy tnie piaskiem, jak biczem, zasłaniając i zasypując wszystko dookoła, lecz przy odpowiednim ubraniu, ułokowawszy się tyłem do kierunku wiatru i mając pełną manierkę i trochę jadła, można jednak stosunkowo nieźle przeczekać szaleństwo wichru.

Męcząca jest również burza na morzu, ale gdy się ma pewną dozę zaufania do statku i załogi, dolegliwości morskie natury fizycznej nie są znów tak przerażające. Natomiast śnieżycy w górach jest przeżyciem potwornym, gdy mróz znieczuła członki, oddech tężeje, z nosa wiszą sople lodu, a nie można się ruszyć z obawy przepaści i upadku. Miałem taką przygodę w Alpach koło Bardonecchia. Dziwnie materialnie czuje się wtedy śmierć, krążącą blisko w śniegowej zamieci.

Gibli zniknął równie szybko, jak się był pojawił, wysuszywszy nam dokładnie chłodnicę. Okazało się, że szofer zapomniał w Serdeles o zrobieniu zapasu wody i teraz, klęcząc na czem świat stoi, musimy opróżniać nasze manierki.

Na szczęście, względnie szybko i bez przygód robimy resztę wyniosłości i, wydostawszy się na równinę, dojeżdżamy do szarych namiotów, ustawionych przy budującej się szosie. Po dość długich targach dostajemy bańkę używanej już do mycia wody dla samochodu i dwie „sahariani” z wodą do picia.

„Sahariani” jest to zwykła butelka, najczęściej po winie Chianti, owinięta watą i gazą. Tworzy to rodzaj termosu, utrzymującego wodę w możliwej temperaturze, nawet podczas największego gorąca.

Termometr w namiocie wskazywał $+55^{\circ}$ C. Upał staje się wprost namacalny. Włączemy się płaszczyzną Ti-Sellatin, martwą, bez znaku życia. Na północy czernieje łańcuch górski Gebel Elfan. W różnych miejscach zaczyna się pojawiać fata morgana, co świadczy, że na pustyni znajdują się plamy kredowe lub wypolerowane przez wichry płyty kamienne. W pewnej chwili gałgan, zatykający otwór chłodnicy, wylatuje z hukiem i osiada mi na policzku, parząc boleśnie. Czuję się dziwnie bez sił, cały organizm mam jakby wysuszony. Widzę po twarzach towarzyszków podróży Włochów, że samopoczucie ich nie jest również świetne, natomiast tubylcy trzymają się doskonale.

Bardzo ciekawy fakt, świadczący o ogromnej wytrzymałości Tuaregów, opowiedział jadący z nami kapral łączności. Mianowicie, gdy jednemu z nich w drodze z Sebhy do Gatu padł wielbłąd, całą resztę drogi, czyli 115 km, odbył piechotą w ciągu jednej doby, mając przy sobie tylko trochę daktyli i wodę w worku z kozłej skóry. Musiał przebyć łańcuch Akakusz, wydmy,serir — w dzień paliło go słońce, w nocy mroził chłód. Imponująca sprawność fizyczna, lecz i walory moralne, wytrwałość i silna wola miały tu też coś do powiedzenia.



...Wleczemy się płaszczyzną Ti-Sellatin...

Musimy teraz stawać co pięć kilometrów, gdyż regularnie po odbyciu takiego dystansu woda w chłodnicy zaczyna wrzeć. Mijamy słup z napisem 110 km — połowa drogi do Ubari już zrobiona. Trakt, którym jedziemy, jest bardzo niedawnym nabytkiem. Przedtem przewożenie poczty skuteczniały patrole saharjanów, wysyłane naprzeciw siebie z Gatu i Ubari i wymieniające w umówionem miejscu worki pocztowe.

Koło północy dobrnęliśmy wreszcie do Ubari, zużywwszy na przebycie 220 km równo 19 godzin. Dobra kolacja i sen rozkoszny, lecz krótki, albowiem już o szóstej askar erytrejski budzi mnie, wlewa przemocą w usta czarną lurę i pomaga się ubierać.

Pod oknem słyszę gromkie okrzyki — to tenente Cominotti odbywa poranną lustrację i ruga podwładnych. Jakże monotony jest żywot takiego oficera w małym forcie pustynnym. Mustra, robota kancelaryjna, codzienny meldunek mudira lub w większych ośrodkach kaimakana. Pozatem załatwianie klientów-tubyłców, polegające głównie na występowaniu w roli sędziego w ich osobistych zatargach, a także często, gdy braknie lekarza — sprawowanie jego obowiązków, ograniczające się zresztą prawie wyłącznie do stosowania chininy i rycyny. Wieczorem odczytywanie gazet z wiadomościami

z przed dwóch tygodni, radio i patefon. I tak codzień wkółko bez zmiany, nawet menu obiadowe jest zawsze jednakowe.

O wiele bardziej jest urozmaicone życie saharjanów, gdyż tam obowiązują lustracyjne objazdy okolicy. Specjalistą od tych rzeczy jest porucznik Paradisi z Murzuku, który potrafi 3—4 miesiące bez odpoczynku uganiać się ze swoim plutonem po pustyni, żywiąc się wkońcu tylko suchymi daktylami. Na wiosnę w fortach saharjanów pozostają bardzo nieliczni oficerowie, reszta z oddziałami wyrusza na pastwiska do „uadi“, rozbijając tam namioty na kilka miesięcy.

Naturalnie, że życie w pustyni może być zarówno ciche i jałowe, jak też pełne radości życia i twórczej pracy. Zależy to od zasobów wewnętrznych danego osobnika, umiejętności wystarczania sobie, oraz wydobywania z siebie i otoczenia jak najwięcej treści. Naprzykład do obowiązków oficerów należy prowadzenie statystyki demograficznej, obserwowanie obyczajów tubylców oraz miejscowych zjawisk natury ekonomiczno-socjalnej. Można te rzeczy traktować sucho i formalnie, ale można również wlać w nie wiele z własnych bogactw intelektualnych i duchowych.

Wychodząc z pokoju, otulając się szczelnie wiatrówką, jest bowiem bardzo zimno. Słońca jeszcze niema, panuje jakaś sinawa jasność i smaga ostry wiatr poranny.

Trąbka gra na baczność i na wysoki maszt wjeżdża trójkolorowa chorągiew. Uroczystość ta odbywa się codziennie. Tylko nad opuszczonemi przez wojsko fortami nie powiewa w ciągu dnia sztandar z herbem Savoia.

Serdecznie ściskam dłoń porucznika Cominottiego, rzucam pożegnalne spojrzenie dookoła i wskakuję do auta. Wkrótce wjeżdżamy w dolinę uadi Agiāl, którą teraz przemierzamy w odwrotnym kierunku. Obok mnie siedzi porucznik Paglierini, weterynarz, i opowiada o kłopotach z wielbłędami i baranami. W związku ze swoim fachem jeździ ciągle po Fezzanie od fortu do fortu.

Zatrzymujemy się w oazie Germa, założonej za czasów fenickich przez dawnych mieszkańców tej ziemi, lud Garamanti. Na wschód od oazy znajdują się ruiny miasta Garama. Najlepiej zachowały się Gser el Uatuāt (zamek nietoperzy) i Gseirat el Rum (cmentarz). Pozatem rozrzucone kapitele, ciosane kamienie i fundamenty świadczą o wielkości miasta, które się tu wznosiło. Arabowie zowią te ruiny Gërma el Ghedimā.

Dalej, tuż u stóp skalistego zbocza górskiego łańcucha, wznosi



...mauzoleum Cecylji Ptautilli...

się najslawniejszy w Fezzanie zabytek z czasów rzymskich: mauzoleum Cecylji Ptautilli, żony czy też kochanki prokonsula Luciusa Corneliusa Balbo, która towarzyszyła mu w trudach wojennych i zmarła w Garama. Pomnik pięciometrowej wysokości zbudowany jest z bloków czerwonego piaskowca w kształcie czworoboku i ozdobiony po rogach jońskimi kapitelami.

Phazania (dzisiejszy Fezzan) już na tysiąc lat przed Chrystusem była zamieszкана przez lud Garamanti, należący do wielkiej rodziny Libów. Są to najstarsi mieszkańcy Fezzanu, jakich zna historia. Stolicą ich była Garama. Tędy przeciągały karawany z kością słoniową,

kierujące się ku osadom fenickim na brzegach Mare Internum.

Przez długi czas Garamanti byli niezależni; dopiero ich udział po stronie Numidji w siedmioletniej wojnie z Rzymem w latach 17—24 po Narodzeniu Chrystusa spowodował interwencję Imperjum Rzymskiego. Prokonsul Balbo na czele 20 tys. żołnierzy wyruszył z Oea (Trypolis) przez Cidamus (Gadames). Te pierwsze 500 km ciężkiej drogi zaprawiły legjony do znoszenia trudów pustyni i zwycięskiego zmierzania się na dalszej przestrzeni 650 km ze straszliwą Hammada el Homra, odcinającą Phazanię. Cornelius Balbo zajął uádi Agiāl i Garamę, lecz nie stworzył żadnej stałej organizacji wojskowej lub cywilnej, więc po odejściu legionów rzymskich kraj automatycznie odzyskał wolność. Rzym jednak jeszcze trzykrotnie w I wieku po Chrystusie urządzał wyprawy na Phazanię. Później kraj wciąż zalewali Arabowie i Sudańczycy i w tych zmaganiach wyginał lud Garamanti, a wytworzył się dzisiejszy typ autochtona Fezzanu, mieszańca-negroida.

W czasie tej drogi zwróciły moją uwagę kopczyki z kamieni,

wysokości 50—70 cm, gęsto rozrzucone wzdłuż uadi. Nie zauważyłem ich jakoś poprzednim razem. Dowiaduję się od porucznika, że są to groby dawnych władców tego kraju. W Takertiba, gdzie zatrzymaliśmy się na popas, skierowałem się ku grupie takich stożków. Ponieważ budowano je z otaczającego kamienia, więc mało odcinają się w terenie i przeważnie uwidoczniają się dzięki cieniom przez siebie rzucałym.

Niektóre z nich, zniszczone i rozwalone, ukazują jednakową wszędzie konstrukcję grobu. Płaskie kamienie u podstawy stożka zakrywają nyżę, w której na głębokości około pół metra znajduje się szkielet ludzki. Pionowa forma grobu i wygląd szkieletu dowodzą, że ciała grzebano w pozycji siedzącej z brodą na wysokości kolan. Znalezione czaszki należą wszystkie do typu dolikocefalicznego.

Cmentarze te ciągną się wzdłuż całej uadi Agiāl u stóp skalistego jałowego zbocza, a ilość mogił obliczają na kilkaset tysięcy. Konstrukcja grobów i pozycja zmarłych wyłącza zupełnie pochodzenie rzymskie lub arabskie. Są dwie hipotezy, określające ich przynależność. Jedna mówi, że są to groby dawnych Garamantów, druga zalicza je do późniejszego okresu panowania czarnych królów Cānem. Przypuszczenie pierwsze ma więcej zwolenników, gdyż przemawia za nim wyższa kultura ludu Garamanti, żyjącego tu w szczytowym okresie dziejów Fezzanu, gdy tymczasem rządy rodu Cānem przypadają na czas zupełnego upadku tego kraju.

Lecz niech umarli spoczywają w spokoju! My zaś wracamy do spraw dzisiejszego życia, które uosabia w danej chwili sierżant karabinierów, czekający przy drodze na porucznika Paglieriniego z wiadomością o chorobie wielbłąda w el Abiād.

Opuszczamy uadi Agiāl i po przebyciu jeszcze kilkudziesięciu kilometrów jestem znów w Sebha, już po raz trzeci podczas mojej włości po pustyni.

XV

SEBHA. WESELE W GEDID. NA WIELBŁĄDZIE PRZEZ RAMLET ZELLAF

Odosobnione stożkowate wzgórza na płaszczyźnie Fezzańczycy nazywają ghara.

Jedno z nich było przed laty dwudziestu miejscem ponurej tragedji. Mianowicie na szczycie takiego pagóra rozłożyła się obozem kompanja żołnierzy erytrejskich, wysłanych przez Italię na podbój Fezzanu. Zmęczeni bardzo usnęli wszyscy, a tubylcy podeszli ich cichutko, okrążyli i wyrznęli co do nogi.

Dookoła tego wzgórza i dziś roztacza się taka sama ciemno-żółta płaszczyzna i hulają wichry, uderzając o pnie wysokich palm, zieleniejących na zachodniej stronie w oazie Gurda, lecz ghara nie jest już pustynnym szczytem — dźwiga na sobie wspaniały, obronny fort, zwany Sebha.

Do fortu wiodą szerokie schody, a poniżej znajdują się koszary żołnierskie, klub i domy oficerskie, klub podoficerów, garaże, warsztaty, magazyny etc. Pośrodku widnieje wspaniały plac tenisowy i skrzeczy ustawicznie studnia artezyjska. Wszystko otacza wysoki mur.

Głową fortu jest pułkownik Farinetti, wysoki, tęgi pan w okularach, nieomal że udzielny władca Fezzanu. Albowiem dowództwo zony w Sebha różni się tem od innych, iż dzierży w swych rękach oprócz wojskowych także i sprawy cywilne kraju, jak budowa dróg, kwestje szkolne, rolnicze i t. p., więc zakres władzy dowódcy jest tu bardzo rozległy i różnorodny.

Historja nas uczy, że każdy wielki człowiek miał jakąś piętę Achillesową, więc i colonello Farinetti ma swoją. Jest nią mianowicie żwirowana, wysadzona nędznymi eukaliptusami droga, wiodąca



Koza fezzańska z młodem.

od furtki w forticznym murze do pobliskiej osady, złożonej z kilku sklepików, bazaru i restauracyjki dla przejezdnych szoferów od ciężarówek, noszącej dumne miano „Roma”. Otóż na tę drogę nie wolno wjeżdżać samochodom, ani też nie mogą jej deptać kopyta czy też racice czworonogów pod grozą Jowiszowego gniewu pułkownika. Byłem świadkiem takiego wybuchu, gdy jakiś Bogu ducha winien zaptie ukazał się na zakazanym szlaku, ciągnąc za sobą dużego wielbłąda, zostawiającego głębokie ślady na równiutkim żwirze. Jakże grzmiał, huczał i wibrował soczysty bas Farinettiego, który właśnie nadzedł w tej chwili. Biedny zaptie został skazany na połowę pensji przez dwa tygodnie.



Żołnierz erytrejski w Sebha grający na „masongo”.

Zaciekawiła mnie cienka rura blaszana, idąca od zbiornika z wodą za murem do małej studni, znajdującej się obok wysokiego ogrodzenia z liści palmowych. Dwóch Fezzańczyków pompowało wodę, spływającą wartkim strumykiem do wymurowanego w piasku kanalik i niknącą za ogrodzeniem. Zajrzałem i ogarnęło mnie niewysłowione zdumienie. Zobaczyłem okryte różowym kwieciem migdały, jabłunki, drzewka pomarańczowe i cytrynowe o świeżej, soczystej zieleni, a dalej piękne warzywa: rzędy wysokiej fasoli, karczochy, kartofle, sałata. Prawdziwy cud na pustyni! Okazało się, że Sebha ma nie tylko dla siebie na codzień świeże jarzyny, ale rozsyła je nawet do innych fortów w Fezzanie.

Twórcą tego rajy jest geometra Amodeo, który jako porucznik saharjanów, pełniąc samotną służbę po różnych fortach, urozmaicał sobie życie zajęciami ogrodniczymi. Wyszedłszy do cywila, został przydzielony do wydziału budowy w Sebha i zademonstrował tu wspaniale nabyte doświadczenie.

Prócz roślin, geometra hoduje również zwierzęta domowe

i obok ogrodu znajdują się zagrody z kozami i baranami, jamy królicze, kurniki i gołębniki. Zachodzimy tam w odwiedziny i na wstępie jesteśmy zaatakowani przez nastroszonego, wspaniałego indora o czerwonych, krwią nabiegłych koralach na szyi.

Indyczka od tygodnia siedzi na jajach, więc biedak jest na diecie małżeńskiej — śmieje się Amodeo, oglądając troskliwie swoich wychowanków.

Lekarz przy forcie, tenente Cirillo, skończył swój trzyletni okres i wracał do kraju, zluzowany przez innego medyka. Wybierał się właśnie na pożegnalny objazd po okolicy i zaproponował mi przejażdżkę do oazy Gedid. Wyruszamy sanitarnym samochodem. Najpierw krótka wizyta w miejscowym domu rozrywek, który stanowi centralę dla całego Fezzanu. Lekarz żegna swe codzienne pacjentki, które popłakują zcicha, widocznie przywiązały się do niego. Właścicielka instytucji o przezwisku „Bombarda” powtarza uroczyście: *Adio signor dottore*.

W Gedid wita nas wrzask, harmider i walenie w bębny, trafiliśmy bowiem na uroczystość weselną. Arab karabinier żeni się z córką kolegi żołnierza. Środkiem osady posuwa się wolno wielbłąd, dźwigając na garbie rodzaj palankinu, szczelnie okrytego płachtami, w którym znajduje się niewidoczna dla niepowołanych oczu panna młoda.

Narzeczonemu pozwala się niekiedy zobaczyć przed ślubem przyszłą żonę bez zasłony, nie wychodzi to bowiem właściwie poza ramy przykazań religii, gdyż Mahomet wcale nie rozkazywał kobiecie zakrywać swego oblicza — wprowadzili to dopiero uczeni w islamie w obawie kuszącej siły wdzięków niewieścich.

Dziewczyna już na pięć dni przed ślubem rozpoczyna przygotowania. Kobiety malują ją henną i namaszczają wonnemi olejkami. W dzień uroczysty przywdziewa najpiękniejsze swe szaty i zostaje wsadzona do palankinu na grzbiecie wielbłądzicy, by spieszyć na spotkanie pana młodego, który nadjeżdża w otoczeniu swojej „kabili”. Rozpoczyna się „fantazja”, jeźdźcy galopują dookoła palankinu, strzelają i wiwatują, następnie zaś eskortują pannę młodą do miejsca zamieszkania oblubieńca, który wprowadza ją do swej zeriby lub namiotu i zawiesza nad drzwiami kawałek czerwonej płachty, świadczący mającej o dziewictwie nowozaślubionej.

Później rozpoczyna się bankiet „walimât al urs” — wszyscy zaproszeni muszą się nań stawić i spożyć przysmaki, ofiarowane przez

obie rodziny. Uroczystość weselna jest przewidziana i opracowana do najdrobniejszych szczegółów przez biegłych w Koranie: nie wolno używać żadnych kosztownych naczyń ani strojów, nie może być muzyki, gier hazardowych, zbytniej wesołości i zabaw nieprzystojnych — nie można nawet rozmawiać z kobietą, o ile nie pochodzi ona z rodziny. W Gedid jednak słychać wszędzie niezbyt przepisowo brzmiące wrzaski uczujących, a gromady uradowanych bachorów, uganiając z piskiem po uliczkach osady, wzmagają zamieszanie i hałas.



...zostaje wsadzona do palankinu na grzbiecie wielbłądzicy...

Miałem jechać z Sebhy do Braku z oddziałem pocztowym III grupy saharjanów, stacjonującej w oazie Brak, na północno-wschodnim krańcu uadi esc Sciati, lecz jakoś nie mogłem się go doczekać. Postanowiłem wreszcie wynająć przewodnika i dwa wielbłądy i, zaopatrzywszy się w żywność i wodę, wyruszyć na własną rękę. Gdy obwieściłem triumfalnie o moim postanowieniu, pułkownik zmierzyl mnie od stóp do głowy unicestwiającem wprost spojrzeniem i rzekł zimno i twardo:

— Młodzieńcze, nic z tego nie będzie. Ani mi się śni odpowiadać za twoje życie, ani też ganiać moich ludzi w poszukiwaniu zbłąkanego. Skończyłem.

Cóż było robić. Czekam dalej, a tymczasem nadarzyła się atrakcja pod postacią dwóch wojskowych samolotów Caproni, które w sześć godzin połknęły przestrzeń Gadames—Sebha. Ileż ciężkich, śmiertelnie męczących godzin zużyły ongi legiony prokonsula Balbo na przebycie tej samej drogi.

— A gdyby panowie byli zmuszeni lądować — pytam nieostroźnie młodego kapitana.

— Ano, to zapewne kaput — odpowiada wesoło. Ale niech pan sobie zapamięta, że takich pytań nie zadaje się nigdy lotnikom — dodaje, poważniejąc. Połknąłem nauczkę i zamilkłem.

Po obiedzie idziemy za fort w kierunku cmentarzyka wojskowego. Duża biała tablica głosi, że „...zaatakowani niespodziewanie, bohaterstwo poległ z wizją, iż będzie utrwalone na wieki, co zostało stracone na lata. Ghara di Sebha 28/XI 1914 r.” Przycichliśmy odrazu, a twarze oficerów stały się surowe i twarde.

Przy kolacji był zły nastrój, gdyż przywieziono żołnierza-mechanika, którego znaleziono umierającego w pustyni. Rzecz tak się miała, że w drodze do Hon zepsuła się jedna z dwóch ciężarówek jakiegoś prywatnego przedsiębiorcy i obaj szoferzy Arabowie nie umieli sobie poradzić. Jeden z nich wrócił do Sebhy, prosząc o mechanika, zobowiązawszy się odstawić go zpowrotem. Gdy maszyna była już naprawiona, szoferzy wyzyskali chwilę nieuwagi żołnierza i uciekli, pozostawiając go bez żywności i kropli wody. Biedak włókł się w kierunku Sebhy, aż wkońcu padł przy drodze z wycieńczenia — znaleziono go już w agonii. Za Arabami wysłano depesze gończe do wszystkich fortów i Trypolisu.

Zjawił się nareszcie pocztowy oddział z Braku — ośmiu saharjanów, przepasanych czarnymi szarfami, pod wodzą małego Sardynczyka, sierżanta Melisa. Odjazd miał nastąpić o czwartej po południu.

Ali ben Ali, tłumacz miejscowy, pogłaskawszy swój czarny wąsik i poklepawszy się po wydatnym brzuszku, opiętym białą kurtką, zaanonsował, że doskonały wielbłąd, wynajęty przez niego w Gedid, będzie o oznaczonej godzinie na mnie oczekiwał. Spokojnie idę na obiad — pożegnalne toasty, ostatnie rozmowy, partja kręgli i oto nadchodzi godzina odjazdu. Oddział gotowy do drogi czeka, a tu obiecane wielbłąda ani śladu — wypatrujemy go uporczywie, lecz nadaremnie. Przeprowadzone śledztwo wykazało, iż sławetny tłumacz nablagał i wcale się o wielbłąda nie starał. Zatelefonowano więc do sierżanta karabinierów w Gedid, zalecając natychmiastowe wyszukanie garbatego rumaka.

O siódmej jak niepyszny idę na kolację. Wszyscy uroczą mi się przedstawiają, pytają kiedy i skąd przybyłem, jak mi się powiodła podróż i jak się ma mój wielbłąd — dowcipy nad moją głową krzyżują się jak szpady.

Już dobrze po ósmej zjawia się askar z wiadomością, że oczekiwany wierzchowiec jest do dyspozycji. Idziemy wszyscy za fort. „Okręt pustyni” kołysze się poważnie, prezentując swoje wyleniałe boki i patrząc podejrzliwie w moją stronę — ja również nie mam do niego wielkiego zaufania. Ale trudno, trzeba robić dobrą minę do złej



...wyruszyliśmy w kierunku oazy Gurda...

gry i gramolić się na garbusa. Siodła żadnego niema, tylko dwa grube szorstkie worki — strzemion brak również, nogi opiera się na karku zwierzęcia lub zwiesza po bokach, względnie z jednego boku. Można jeszcze siedzieć w kukki, ale do tego są już potrzebne wybitne zdolności ekwilibrystyczne.

Po długich „chch, chch, chch“ wielbłąd zdecydował się uklęknąć i przyjąć na swój garb moją speszoną osobę, walizkę zaś do torby, wiszącej z boku. Nie wiedziałem jednak, niestety, że wstające zwierzę podnosi najpierw tylne nogi i nie przygotowałem się na tę ewentualność, gdy więc poderwał je gwałtownie, przeleciałem mu przez głowę i zaryłem się nosem w piasku ku hałaśliwej ucieście otoczenia. Potłukłem się i podrapałem porządnie, ale śmiałem się głośno razem ze wszystkimi. Za drugim razem poszło lepiej i ciemną już nocą wyruszyliśmy w kierunku oazy Gurda.

Jedziemy bardzo powoli. Narazie cała moja uwaga jest skupiona na kurczowem trzymaniu się twardego garbu, w obawie powtórnego haniebnego i bolesnego upadku — później jednak oswajam się z sytuacją i rytmicznym ruchem tułowia wtył i wprzód wpadam w tempo wielbłądniego chodu. Światelka w Sebha bledną i nikną, nad głową świecą wielkie, jaskrawe gwiazdy, woddali słyhać szczekanie szakala, a konie towarzyszących nam żołnierzy z fortu rżą głośno co chwila.

Obok mnie idzie żołnierz, saharjanin z Braku, ze spuszczoną głową. Już przedtem zauważyłem, że był dziwnie smutny, więc pytam, co mu się stało. Opowiada, że przed dwoma tygodniami wydarzyło mu się nieszczęście — mianowicie wielbłąd, przywiązany do kołka przed fortem w Sebha, przestraszony hukiem samochodu, urwał się, zerwał pęta na nogach i uciekł w pustynię. Szukał go cały tydzień bezskutecznie, miał nadzieję, że wróci zmorzony głodem, lecz nadaremnie. Udał się więc piechotą do Braku zawiadomić o wypadku — dowódca rozgniewał się i wygnał go, zakazując pokazywać się bez zwierzęcia. Wrócił do Sebha i tam skazano go na zapłacenie dwóch tysięcy lirów odszkodowania, które mu będą strącane z pensji. Przy okazji pytam, ile zarabia każdy z nich — dowiaduję się, że minimum siedem lirów dziennie.

Posuwamy się teraz po piasku wzdłuż pasma nagich wzgórz. Jazda, początkowo przyjemna, zaczyna coraz bardziej dawać mi się we znaki. Wkońcu uczuwam tak silny ból i pieczenie w punktach stytności z garbem wielbłąda, że zsiadam i idę pieszo.

— Co, już ma pan dość, tak prędko — odzywa się po raz pierwszy Melis ironicznym tonem.

Po kilku minutach czuję, że coś mi przeszkadza w chodzeniu — to „siluara“ przyłgnęły mi do ciała. Odrywam je i przekonywam się, iż broczę obficie krwią.

— Ech, to jeszcze nic — mówi sierżant — zobaczy pan, jak mu jutro z...k poszatkuje. Trudno, każdy z nas krwawił tak samo. Zato będzie mógł pan opowiadać, że jeździł w pustyni na wielbłądzie, a to jest czegoś warte.

Dojeżdżamy do uádi Attia Rami i pod wielką krzaczastą palmą zatrzymujemy się na nocleg. Żołnierze rozpalają ogniska i zaczynają jakiś monotonny śpiew, wielbłądy porykują zcicha. Potem pijemy odgrzewaną kawę i kładziemy się spać na piasku, zawijając się w burnusy i koce, gdyż zimny wiatr przeciąga pod palmami.

O świcie budzi mnie dziwne wrażenie, że ktoś nosem jeździ po moim policzku. Odrazu przypominam sobie, że w tych stronach grasuje „gattopardo“, rodzaj dzikiego kota, i zrywam się przerażony, płosząc konia, stojącego nade mną.

Zasypiam znowu, lecz na krótko, gdyż już o piątej zaczyna się ogólny ruch. Ładujemy wielbłądy i, owinawszy szczelnie głowy zmalami, wyruszamy przed siebie falującą diuną. Wiatr niesie piasek i siecze twarze — bezkresna pustka piaszczysta otacza nas dookoła. Po kilku godzinach mijamy miejscowość, zwaną Falta Nachul (trzy palmy). Trzy pokręcone od wichrów drzewa widnieją w zagłębieniu — widocznie znajduje się tu jakaś wilgoć na niewielkiej głębokości. Potem znowu wydmy, na których karawanową drogę znaczą białe zrzadka słupy palmowe.

Spotykamy karawanę Tuaregów, udających się w głąb Edeidenu. Nasi żołnierze, pusząc się w eleganckich, białych z czarną szarfą, strojach, poczynają galopować dookoła na swych mehara, widocznie w celu zrobienia wrażenia na osłoniętych niewiastach.

Robi się strasznie gorąco. Około drugiej mijamy studnię Bir Zarzur i niezdługo potem wjeżdżamy w uádi Zellaf, porośłe krzaczastymi palmami, karłowatą akacją i rzadkimi opuncjami. Zatrzymujemy się na odpoczynek. Spotyka mnie znów katastrofa, albowiem przy zsiadaniu z wielbłąda lecę wtył i ląduję na suchym liściu opuncji ze sterczącymi, długimi kolcami. Podnoszę się gwałtownie, czując dojmujący ból w dolnych okolicach krzyża. Niejednokrotnie śmiałem się do rozpuku, oglądając takie wypadki na ekranie, ale teraz, gdy mi



...wyruszamy przed siebie falującą diuną...

askar wyciągał kolce z bolącego ciała, nie było mi wcale wesoło. A że zło nie lubi chadzać samo, więc i teraz wołało być w towarzystwie — gdy bowiem wyszliśmy z Melisem na wzgórek, chcąc zjeść obiad w cieniu rozłożystego tameryksu, opadły nas srebrne mrówki i poparzyły porządnie.

Za uądi piasek się skończył i wjechaliśmy na płaskowyż, pokryty gładkimi białymi kamieniami, od widoku których bolały oczy. Świat wydawał się biały i płaski jak talerz, przykryty niebiesko-złotą banią, ciemniejszą na linii horyzontu.

Dojechawszy do końca płaskowyżu, zobaczyliśmy ludzi, kręcących się dookoła grupy jakichś krzaków — byli to mieszkańcy Braku, którzy aż tu przychodzą po opał.

Teren opada skarpami i, chociaż oazę już widać, mamy jeszcze czternaście kilometrów przed sobą. Jakkolwiek oswoiłem się już z jazdą na wielbłądzie, jednak widok oazy i perspektywa rychłego opuszczenia złośliwego garbusa przypomina mi o ranach na moim ciele i droga dłuży się nieskończenie.

Brak jest najładniejszą i najżyźniejszą oazą w Fezzanie. Ma formę kolistą, z prawej strony góruje nad nią ciemny płaskowyż o stromo spadających zboczach, z lewej ciągnie się uądi esc Sciati i rzadkie palmy, rozsiane wdali. Uądi jest bardzo szerokie (w niektórych miej-

scach do 10 km), płaskie i pełne zielonych wysepek. Mijamy co chwila podłużne, symetryczne zagłębienia w piasku, znak, że niedawno przepłynęła tędy woda. Wieczór zapada szybko i wielka cisza ściele się nad ziemią.

Nakoniec mijamy piaszczysty klin, wbijający się w oazę, i jedziemy brzegiem szybkiego strumyka wśród zielonych jęczmiennych pól pod palmami. Dojeżdżamy do okrągłego basenu, z którego czarno ubrane kobiety czerpią wodę, i zsiadamy na ziemię. Zapominam odrazu o przykrościach jazdy, pozostaje jedynie duża satysfakcja z tak egzotycznie odbytej podróży. Przed nami widzę posuwającą się szybko sylwetkę w pelerynie i wysokiej, w kształcie garnka, białej czapie na głowie. Dowiaduję się od Melisa, że jest to tenente Bongioanni, pełniący obowiązki dowódcy fortu w zastępstwie pułkownika, który z całą grupą wyjechał na ćwiczenia. Gonię go i przedstawiam się — w odpowiedzi patrzy na mnie z podełbą, mając dziwnie skrzywoną szyję i przechyloną głowę. Później dowiedziałem się, że go zawało, był chory i miał silną gorączkę.

— Każdy w Braku jest mile widzianym gościem — mówi wkońcu rwanym, piemonckim akcentem.

XVI

BRAK. DZIENNIKARKA Z PARYŻA. ŚMIERĆ W OAZIE

Porucznik Bongioanni zaprasza mnie na dłuższy pobyt w Braku. Korzystam chętnie z jego gościnności i rozpoczynamy codzienne długie eskapady po oazie i okolicach. Towarzyszy nam brązowy wyżeł Lulu, ukochany pies porucznika, twierdzącego, że jest to najprzedniejszy okaz swojej rasy w kolonjach włoskich, a bodaj nawet w całej Italji.

Brak jest dużą oazą o bujnej roślinności. Liczy około 16 tysięcy palm i 1.000 mieszkańców. Znajduje się tu kilka wiosek, dwie główne: el Afia (dobre zdrowie) i el Msalla (dom modlitwy) leżą wewnątrz oazy, inne już na szczerym piasku poza jej obrębem. Bogactwem oazy są dwa źródła, a właściwie skupiska kilkunastu źródełek — woda bije obficie i spływa wartkim strumieniem, od którego idą liczne boczne kanaliki, rozprowadzające ją po polach. Ciekawy moment następuje około szóstej wieczorem, gdy zostają otwarte wszystkie szluzy i przegrody, i woda rozlewa się po polach, pędząc przed sobą czarne grudy spękanej od słońca skorupy i odkrywając żółte, piaszczyste dna kanałów. Spragnione jęczmiona i warzywa rozprostowują skrócone upałem liście i zdają się dyszeć głęboko i swobodnie. Oprócz palm daktylowych, spotykamy figi, brzoskwinie, granaty, a z jarzyn bób i fasolę oraz wprowadzone niedawno przez Włochów pomidory, karczochy, różne odmiany sałat i t. p. Praca wieśniaka polega tu głównie na ciągłej walce ze słońcem — zacięcia swe pola, doprowadza wodę, podsypuje wysoko każdy krzaczek, by jak najdłużej utrzymać drogocenną wilgoć przy korzeniach. Żywy dobytek tubylców stanowią 300 owiec, 150 osłów, dwa konie, trzy wielbłądy oraz liczne kury i gołębie. Wioski składają się z małych, ciasno leżących chatek i wąskich uliczek, często sprawiających wrażenie tuneli, gdyż dla



...ciasno leżące chatki i wąskie uliczki...

ochrony przed słońcem przykrywają je szczelnie suchymi liśćmi palmy, opartymi na dachach chat.

Źródło w el Afia zarażone jest „bir arciosi”. Można tę wodę używać do picia oraz myć się nią, ale tylko do pasa, zawiera bowiem bakterie atakujące nogi i uda, specjalnie zaś łatwo dostają się one pod paznokcie na nogach i w okolicy otworu odbytwego. Osiedlają się też podobno w pęcherzu, oznajmiając swą obecność czerwonym kolorem moczu. Choroba nie jest groźna, lecz przykra i działa deprymująco na system nerwowy.

Brak jest punktem centralnym ułdi esc Sciati. Znajduje się tu dowództwo zony militarnej, trybunał szarytyczny, kaimakanat (starostwo) i beladija (wójtostwo). Szkoła powszechna liczy około stu elewów i mieści się w porządnym, nowocześnie urządzonym budynku. Fort leży już poza oazą, na jej północnej krawędzi. Zbudowano go przed kilku laty — przedtem III grupa saharjanów gnieździła się w dawnym forcie tureckim, ulepionym z gliny w końcu zeszłego stulecia, a służącym obecnie jako magazyny wojskowe, głównie dla przechowywania worków z jęczmieniem.

Byłem kiedyś obecny przy niespodziewanej inspekcji, dokonanej w owym starym forcie przez porucznika; zachodzimy przez niskie drzwi: służbowego żołnierza ani śladu.

— Służbowy! — ryczy Bongioanni.

Cisza. Dopiero Lulu odszukuje brodatego Araba, który, prężąc się na baczność, melduje, iż czyścił magazyny.

— Kłamiesz — na pewno spałeś.

Zaczyna się lustracja. Najpierw natykamy się na przywiązaną, przeraźliwie beczącą kozę, potem widzimy trzech cywilnych Arabów, siedzących w kucki przy niewielkim ognisku i gotujących herbatę.



...źródło el Afia...

Tenente wrzeszczy, obiecuje baty i uskarża się żałości na nieróbstwo i niesumienność tubylców, szarpiąc przytem nerwowo skąpy wąsik i pocierając zabawnie długi nos, który mógłby śmiało ozdabiać oblicze samego Cyrana de Bergerac.

Zaprzyjaźniłem się bardzo z wesołym i koleżeńskim wojakiem — wypiliśmy razem dużo dobrego wina i prowadziliśmy długie rozmowy o literaturze, kwestjach regionalnych oraz o sprawach związanych ze służbą wojskową w Fezzanie. W obecnej chwili tenente, jak sam mówi ze śmiechem, jest w jednej osobie dowódcą podokręgu i fortu, ministrem zaopatrywania i robót publicznych i wogóle dyktatorem Braku, jako jedyny oficer, pozostały na miejscu.



...Zaprzyjaźniłem się bardzo z wesołym i koleżeńskim wojakiem...

Między innemi buduje teraz drogę i w miejscu, gdzie ma przejść woda, przeprowadza cementowy kanał podziemny na głębokości trzech metrów. Medhi ben Abd el Kebir, poważny rejs miejscowy, przybrany w czysty, biały burnus i okulary na końcu nosa, nie wierzy w pomyślny wynik tej pracy.

— Zobaczysz, że woda, zamiast pójść do środka, rozleje się poza brzegi kanału, gdyż przejście jest za głębokie — twierdzi autorytatywnie.

— A ja ci mówię, że woda popłynie kanałem i ukaże się po drugiej stronie. Mogę się z tobą założyć o porcję kus-kus — śmieje się brodaty robotnik Włoch.

Rejs obrażony oddała się uroczyście. Trudno mu tłumaczyć zasadę dwóch naczyń połączonych.

Wybieramy się pod wieczór na słoń sebachę za oazą, gdzie z rana widziałem czaplę. Bongioanni mi nie wierzył, twierdził, że bujam

bezczelnie, i dopiero, gdy go zapewniłem, że taką samą zastrzelił w Gat prof. Scortecci, zdecydował się wyruszyć na tak niezwykle polowanie. Błądzimy długo, nie mogąc trafić na właściwą drogę. Niebo czerwienieje coraz bardziej, duszny zapach mokrej roślinności tamuje oddech, powietrze rozbrzmiewa głośnie ćwierkaniem świerszczy oraz chóralnym rykiem osłów, tych wiernych i nieodłącznych towarzyszy Fezzańczyka.

Gdy nakoniec odszukaliśmy jezioro, czapli nie było już ani śladu, jedynie żaby darły się głośno i monotonna. Poszliśmy więc dalej w stronę cmentarza leżącego już na hammadzie. Jakże okropnie biedny i smutny! Na mogiłach leżą potłuczone garnki, a gdzieś niedługo zatknięta na kiju biała szmata oznacza grób marabuta. Obok znajduje się koliste, słone rozlewisko o średnicy 7—8 metrów, gdzie podobno zapadł się jakiś wielbłąd — Arabowie ostrzegają, by nie podchodzić zbyt blisko, gdyż „szejtan” przyciąga nieostrożnych. Dalej ciągnie się wyschła, popękana sebcha, bieląca się płatami soli — wygląda jak nasze jesienne pola zorane, przemarzłe i pokryte szronem.

Wracających do fortu witają wesole dźwięki patefonu — to pedagog miejscowy, Sycyliczyk Marino, skraca sobie oczekiwanie na zwykłą partyjkę karcianą. Zasiadamy do niej i jak codzień porucznik zaczyna dokuczać nauczycielowi zacofaniem i małą kulturą jego rodzinnej wyspy, i jak codzień Marino nie potrafi się bronić skutecznie.

Pewnego upalnego popołudnia spotkała nas wielka niespodzianka — przyjechała via Sebha dziennikarka paryska, pani de Lyée de Bellau, korespondentka dziennika „Paris-Midi”. Kobieta już starsza, matka dwóch dorosłych synów, lecz jeszcze świeża, o młodej powierzchowności i młodym humorze. Jej samotna podróż po Fezzanie świadczy o odwadze, doskonałym zdrowiu i dużej wytrzymałości. Wśród tubylców niesłychana sensacja — biała mara (kobieta) w oazie! Stoją zdaleka i przyglądają się ciekawie, a kobiety zapewne z zazdrośnym podziwem. Traktowane przez mężczyzn jak rzecz i siła pociągowa, spychane wszędzie na ostatni plan, nawet poza zwierzęta domowe, jakże muszą być zdumione, widząc, że sam signor tenente skacze koło przyjezdnej, pokazuje i oprowadza, dając jej zawsze pierwsze miejsce przed sobą.

Madame gadatliwa jak każda Francuzka i zaborcza, jak większość naszych białych „mar”, zaprzęga odrazu wszystkich do roboty, chce



Pani Lyée de Bellau i porucznik Bongioanni.

wszystko zobaczyć, usłyszeć, zrozumieć i wyzyskać dla dobra macierzystego dziennika i rozrywki swoich czytelników.

Idziemy obejrzeć letnie mieszkania oficerów. W środku oazy prawie morga gruntu otoczona płotem z liści palmowych, a wewnątrz małe domeczki z tinu o szerokich strzechach słomianych. Dookoła klomby kwiatowe, grzędy warzywne, drzewka owocowe i zagrody z kozami, owcami i drobiem. Nastroszone kokoszki siedzą cierpliwie na podściółce z jęczmiennej słomy, wygrzewając przyszłe pokolenia. Uwagę naszą przykuwają gazy — dwa kozły i dwie łanie z małemi. Zagrodę przedzielono i samce zostały odstawione od rodziny w obawie, by nie pobodły własnych dzieci. Małeństwa dwutygodniowe dają się głaskać i brać na ręce, a matki patrzą na to pełnemi przerażenia, smutnemi, szeroko rozwartemi oczami. W pewnej chwili gazelątko podbiega do matki i poczyną gwałtownie ssać, wyrzucając wciąż tylne nóżki w górę, a łania liże je czule po grzbiecie.

Pani de Bellau wyciąga notes z kieszeni i zaczyna pośpiesznie rysować tę scenę. Przeglądamy potem szkicownik, pełny doskonałych rysunków zwierząt i typów ludzkich, rzuconych na papier ręką śmiałą i pewną. Dowiadujemy się, że *madame* jest rzeźbiarką i w tym

charakterze spędziła w Rzymie trzy lata, jako stypendystka francuskiej Akademii Sztuk.

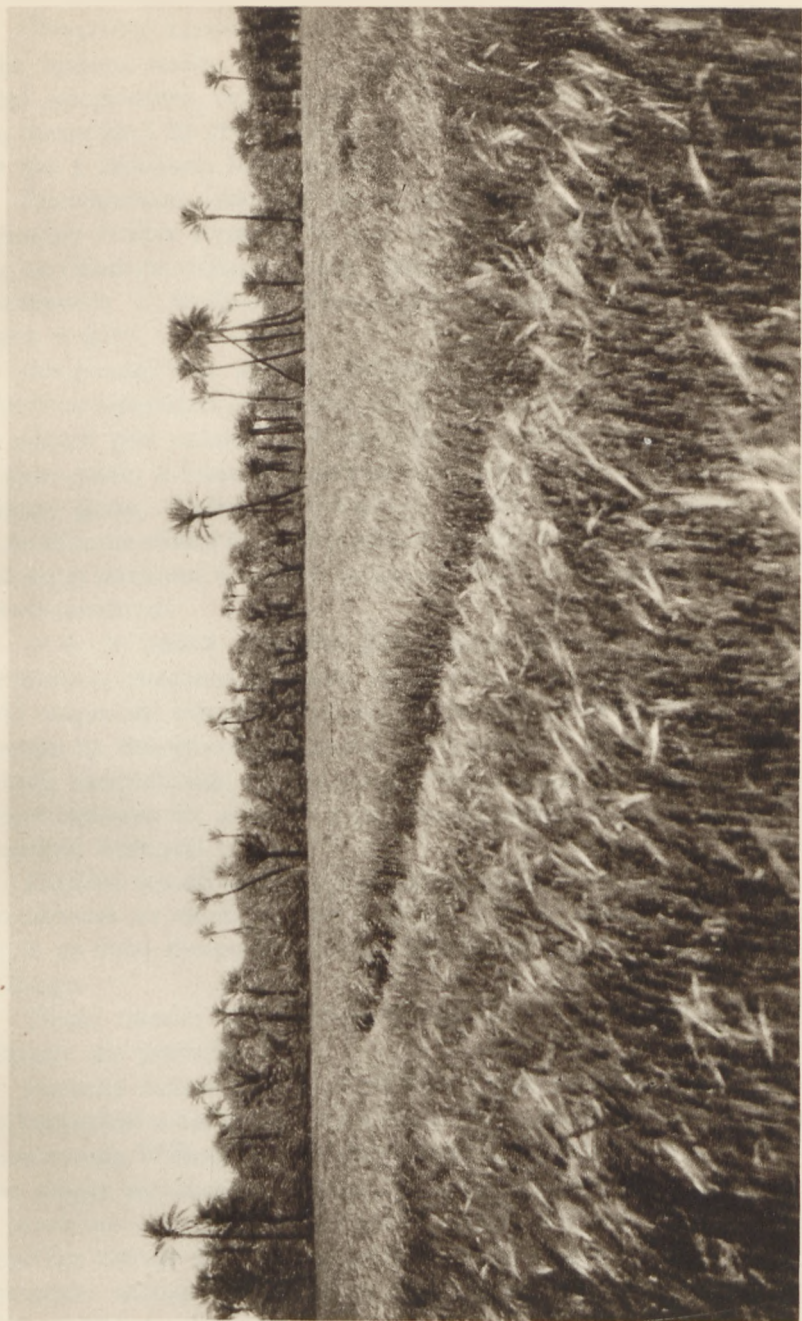
Opuściwszy lotnisko, przecinamy oazę i wychodzimy na wielką wydłużoną piaszczystą. Uganiają po niej duże czarne żuki na wysokich nogach — łapiemy dwa okazy i urządzamy wyścigi do wyznaczonej mety, pędząc je słomkami i podniecając krzykiem. Bongioanni ochrzcił swego „Guerra“, nazwisko znakomitego kolarza włoskiego, ja mojego nazwałem Kusocińskim. Hazardujemy się i oto tu w pustyni i wobec tych śmiesznych żuków poczynają grać ambicje narodowe. Gruby, pękaty Guerra stanął wpół drogi i nie daje się niczem zachęcić do dalszego biegu, natomiast drobny, lecz widocznie wysportowany i ambitny Kusy idzie doskonale i dopada mety. Tenente jest zły i oświadcza, że unieważnia bieg, ponieważ mój żuk za wcześnie ruszył ze startu. Próbuje jeszcze, lecz zbuntowane owady zakopują się w piasku.

Gościnny gospodarz, chcąc jak najbardziej urozmaicić nasz pobyt w Braku, proponuje pewnego dnia polowanie na szakale, których szczekanie słyszymy wieczorami w uádi. Ładujemy się na ciężarówkę w towarzystwie kilku Arabów z namiotem, zapasami żywności i bronią oraz nieodstępnego Lulu. Jedziemy w kierunku wschodnim, okrążamy płaskowyż o wystęпах skalnych, mijamy malutką oazę Ecsida i wjeżdżamy na żółtą, zwirowatą, monotonną równinę. Patrząc na przesuwający się krajobraz i myśląc z podziwem, jak wspańiale, plastycznie i wiernie Sienkiewicz opisał pustynię.

Po godzinie docieramy do celu, małej grupy palm na wzgórzu w uádi, Arabowie rozbijają namiot, a my oglądamy oazę. Mieszka tu jedna rodzina, złożona z kilku osób — mają zeribę, daktyle, studnię i trochę jęczmienia, więc wszystko, co jest potrzebne do życia. Nadchodzi cudowny wieczór, niebo staje się granatowe, a coraz niższe słońce pali się purpurą, zsuwając się powoli za krawędź ogromnej płaszczyzny — horyzont blednie, kolory łagodnieją, miękka różowość o delikatnych tonach opalu wypełnia zachodnie niebo. Potem krótki półmrok i ciemna noc otula łagodnie i tajemniczo oazę Diru w uádi esc Sciati.

Zasiadamy do kolacji, składającej się z konserw i chleba i zakrapianej obficie winem, a potem układamy się na ziemi w oczekiwaniu na pojawienie się szakali. Mija sporo czasu i oto przeraźliwy ryk osła zakłóca nocną ciszę.

— Poczul szakala — zrywa się Bongioanni.



Pola jęczmienne w Braku.

Chwytny karabinki i biegniemy, okrążając ogrodzenie, aż do tego miejsca zeruby, skąd dochodzą rozpaczliwe ryki. Trzymamy broń wpogotowiu, czas upływa, szakała jakoś niema. Nakoniec coś się poruszyło i za chwilę Lulu, sprawca oślego przerażenia, wpada na nas z radosnem szczekaniem.

Rozczarowani wracamy do namiotu. Robi się coraz jaśniej, ogromny księżyc wytoczył się z za horyzontu i tysiące gwiazd jarzą się na ciemnym szafirze. Leżę, patrząc w niebo, a moi towarzysze rozmawiają z wielkiem ożywieniem, znaleźli bowiem wspólną pasję — góry.

Bongioanni jest synem górzystego Piemontu i porucznikiem strzelców alpejskich, Francuzka zaś już od lat spędza letnie miesiące w górach pod namiotem. Opowiada, że jeszcze przed europejską wojną wpadła w Pirenejach do przepaści, łamiąc obie nogi, rękę i rozbijając głowę. Cudem uratowano ją i sklejono, lecz wypadek ten w niczem nie osłabił jej namiętności do górskich wycieczek. Słucham, jak sypią nazwami szczytów, przełęcz, dolin z zachwytem nieomal dewocjonalnym.

— A ja ponad wszystko przekładam morze — odzywam się wreszcie — wiecznie zmienne, wciąż inne, a zawsze piękne. Daje taki wspaniały, zdrowy wypoczynek fizyczny i jest cudownym balsamem na dolegliwości duchowe. A przytem to ciągle oczekiwanie jakiejś niespodzianki na ogromnym widnokręgu, to rozkoszne wrażenie zlewania się w jedno z bezkresem nieba i wody, to poczucie zupełnej wolności...

Dopiero wpadli na mnie! Że jaka to wolność na ciasnym statku, że człowiek na morzu nasiąka solą jak śledź, że przecież każda góra kryje za sobą niespodzianki etc. Umilkłem, bo cóż, siła złego na jednego.

Około trzeciej usłyszeliśmy trąbkę jadącej po nas ciężarówki. Szakale nie przyszły.

Przyszła natomiast śmierć, zabierając odrazu trzy ofiary. Zmarł na korbunka askar mulat i dwie czarne Fezzanki utopiły się w zbiorniku z wodą. W Braku nastał sądny dzień. Bongioanni chodzi wściekły, nie mogąc się doczekać lekarza, po którego telegrafował do Sebhy, i przeklina wszystkich i wszystko — sekunduje mu Marino, gdyż topielice zatręły źródło, obsługujące szkołę. Trupy kobiet wyglądają strasznie, szczególnie młodszej, która kilka dni leżała w wodzie. Była podobno nienormalna, wyszła z domu w nocy, gdy wszyscy

spali, i nie wróciła, wobec tego zaś, że podobne eskapady zdarzały się często, rodzina nie przejmowała się jej nieobecnością i nie wszczy-
 nała poszukiwań — dopiero, gdy utopiła się druga, stara już baba, przy
 wydobywaniu jej znaleziono i tamtą. Askara nikt tknąć nie chce,
 gdyż karbunkuł jest zaraźliwy, a przytem trup według mużulmanów
 staje się nieczysty — wkońcu porucznik rozstrzyga sprawę, wyzna-
 czając rozkazem ludzi do zajęcia się zmarłym.

Cała oaza zebrała się dookoła miejsca, gdzie leżą topielice.
 Przyszły nawet Arabki, żony askarów, mieszkających niedaleko
 fortu w namiotach w małym obozie, otoczonym drutem kolczastym,
 poza który nie może stąpić noga białego. Błyszczą z poza zasłon
 czarne, gorejące oczy, spragnione widowiska i emocji. Pani de Bellau
 zapisuje szybko stronicę swego notesu, gryząc nerwowo ołówek
 i mrugając powiekami. Czytelnicy „Paris-Midi“ będą mieli sensa-
 cyjny artykuł *Un cadavre mysterieux en Fezzan*, czy coś podobnego.

Gdy nareszcie Bongioanni kazał na własną odpowiedzialność
 pochować trupy, zjawił się oczekiwany lekarz, doktor de Quattro.
 Wysłuchał spokojnie gorzkich wyrzutów porucznika, zatwierdził
 jego raport o wypadkach i w najlepszym humorze zasiadł do kolacji.

Zaspokoiwszy głód, układamy się wygodnie na płóciennych
 leżakach i poczynamy gawędzić. De Quattro pyta mnie naraz, czy
 mam szczepioną cholereę.

— Nie — odpowiadam zdziwiony.

— Nie! No, a tyfus i ospę?

— Także nie.

— Więc trzeba to zrobić koniecznie. Jutro rano czekam pana
 w sanitarnym pokoju — mówi rozkazująco i prosząco zarazem.

— Ani myślę — odpowiadam zirytowany.

— Nasz medyk toby chętnie pokrajał wszystkich i zamarynował
 w spirytusie — śmieje się Bongioanni.

Doktor przygląda mi się bacznie i przenikliwie, wypytując na-
 tarczywie, jakie choroby przechodziłem w życiu.

Dla zrobienia mu przyjemności opowiadam o tropikalnej febrze,
 której nabawiłem się w Rio de Janeiro i chorowałem potem ciężko na
 statku podczas podróży przez Atlantyck. De Quattro aż podskoczył
 z radości.

— A co! Wiedziałem odrazu, że z panem nie jest dobrze. Natu-
 ralnie, ręce się panu trzęsą, oczy są mętne i niewyraźne... Jutro kła-
 dziemy pana do łóżka.

Zrobiło mi się jakoś nieswojo. Nic mi nie brakowało i miałem siebie za uosobienie zdrowia, a tu naraz pod wpływem sugestywnego tonu lekarza poczułem jakby ból głowy, osłabienie, a nawet wydało mi się, że leżące dotąd spokojnie na kolanach dłonie poczynają drgać nieprzyjemnie.

— Idź pan do cholery — wybucham wkońcu — czy to niema innych tematów do rozmowy.

— Nie rozumiem — mówi zdziwiony de Quattro — przecież tak się miło gawędzi...

— Co pan tak osowiał — wpada na mnie wchodzący Marino — pewno już szanowny Eskulap przepowiedział panu rychłą śmierć, lub w najlepszym razie ciężką chorobę. Nie przejmuj się pan tem ani trochę, ja według jego diagnozy już od dwóch lat powinienem gryźć piasek, a przecież żyję, chodzę i ładuję mądrością zakute łby fezzańskie.

De Quattro odwraca się obrażony, wkłada do ust nowego papierosa marki „Tripoli” i otacza się kłębamii czarnego, śmierdzącego dymu.

XVII

WIELKI BAJRAM. FANTAZJA

W samym środku oazy Brak, na małym wzgórku, znajduje się grób miejscowego świętego, marabuta Abd Dželil. Obok biegnie droga, a poza nią widać otoczone zeribą półko jęczmienia, starannie uprawione i ocienione kilkoma palmami. Jest to prywatna własność świętego, z której dochód idzie na utrzymanie grobu i zakup białych chorągwi, jakimi jest obwieszany.

Jest południe i $+50^{\circ}$ C. w cieniu. Palący żar złotymi falami leci z nieba i wszystko jest jakąś makabryczną jasnością. Skurczyły się, poszarzały i nie dają cienia sztywne liście wysokich palm, przypadły do ziemi zmęczone warzywa i jęczmiona. Oaza jest jakby wymarła, ludzie i zwierzęta skryli się w cieniu dachów i drzemią wyczerpani i osłabli. Włóczę się po pustych uliczkach i zaglądam do każdej dziury, wreszcie zlany potem i nawpół przytomny padam na piasek u stóp grobu marabuta. Jest nas dwóch pod tem rozprężonym słońcem: ja, przedstawiciel świata żywych, i świętek Dželil pod białym kamieniem, a jako łącznik między nami roje czarnych, obrzydłych much, tych wiernych towarzyszek człowieka za życia i po śmierci. Włazą mi w oczy, usta, uszy, atakują ze wszystkich stron — narazie bronię się rozpaczliwie, potem rezygnuję i leżę wyczerpany i nieruchomy, jakbym już był trupem, wydanym całkowicie na pastwę tych wstrętnych owadów.

Steroryzowany upałem Brak przestał być gwarną oazą, centrum życia wśród okolicznej martwoty — jest tylko faktem geograficznym i punktem strategicznym na mapie, po której ktoś może wodzi w tej chwili palcem i mówi: w tem miejscu jest woda, palmy i możliwość życia dla białego człowieka.

Jaką wartość ma Brak dla Italji? Dziwili się zapewne tubylcy,



...na małym wzgórku znajduje się grób miejscowego świętego, marabuta Abd Dżelil...

gdy długa kolumna wojsk włoskich pod wodzą pułkownika Mianiego wkraczała do oazy, a przerażone ich oczy pytały:

— Czego chcecie od tej ziemi zapomnianej przez Boga i wysranej do ostatka przez państwo Ottomana? Co weźmiecie od nas? Resztki jęczmienia i daktyli, czy wyniszczone kobiety?— Więcej nic nie mamy...

Dziwili się zapewne jeszcze więcej, że nowi okupanci nic nie brali i niczego nie żądali, wzięli się natomiast ostro do roboty. Zaprowadzono umiejętną i racjonalną gospodarkę wodną i ujęto źródła w cementowe baseny, poczęto rozdawać nasiona warzyw i sadzonki drzew owocowych, odbudowano meczet i naprawiono zrujnowane lepianki, stanął fort i szkoła. Można sobie wyobrazić, czem to wszystko było dla tej czarnej biedoty. Zaczęli powoli nabierać zaufania, przychodzić po rady, lekarstwa, posyłać dzieci do szkoły. Dziś przechodzącego oficera włoskiego spotykają życzliwe uśmiechy i wesołe okrzyki: *salaam, signor rumi*.

Oczywiście, że posiadanie Braku nie daje metropolii żadnych doraźnych korzyści materialnych — są to jedynie kwestie prestige'owe, polityczne i taktyczne, trzymanie w szachu pustyni z jej zbrojniami, koczowniczymi bandami, grożącymi ciągle życiu i mieniu osiadłej ludności. Pozatem Brak, Murzuk i Gat leżą na drodze wielkich karawan, idących szlakami jezioro Czad—morze Śródziemne, Sudan—Alger—Tunis, Alger—Egipt, i są zasadniczymi punktami przeładunkowymi. Więc Włosi, obsadziwszy te oazy, trzymają rękę na pulsie handlu saharyjskiego na terenie Libji i pobudziło ich to nawet do projektu linii kolejowej Trypolis, Brak, Sebha, Murzuk, Tummo, jezioro Czad, która byłaby konkurencyjną dla zamierzonej przez Francję kolei transsaharyjskiej z wyjściem z Algeru.

Zbliża się dwudziesty piąty marca, dzień Wielkiego Bajramu. W oazie ogromne poruszenie. Wszędzie czyszczą, zamiatają, kobiety wykańczają pośpiesznie na prymitywnych krosnach nowe burnusy lub lepią z tinu i suszą na słońcu niezgrabne garnki, w których będą się gotowały świąteczne przysmaki: kus-kus i pilaf, każdy bowiem utuczył najlepszego barana i zabije go według przepisanej rytuału w poranek wielkiego święta.

Manzur, marabut miejscowy, przychodził do porucznika prosić o pozwolenie urządzenia fantazji religijnej w dzień Bajramu na podwórzu w forcie i zgodę na to otrzymał.

Kobiety bardzo starannie przygotowują swoją powierzchowność na nadchodzącą uroczystość. Każda chce jak najlepiej wyglądać



...Manzur, marabut miejscowy...

sporo czasu, by wyschnąć. Po zdjęciu bandaży, w miejscach gdzie henna dotknęła skóry, pozostają czerwone plamy, symetrycznie rozłożone. Teraz czarna piękność może bez obawy wystawić się na najbardziej wymagające i krytyczne spojrzenia rodzaju męskiego, tem bardziej, że i włosy zostały pięknie umalowane i natłuszczone.

Nadchodzi oczekiwany dzień. Młody żołnierz, który mi usługuje, Achmed ben Mohhamed, Berber z Garianu, budzi mnie w sposób stanowczy już o siódmej i żąda, bym go zaraz sfotografował, gdyż jest świeżo ogolony i wytwornie przybrany.

Przechadzam się po oazie. Wszędzie nastrój świąteczny, mężczyźni w nienagannych białych burnusach i fezach z długą czarną kitą zachowują się poważnie i z godnością, kobiety owinięte w kolorowe chusty z mnóstwem srebrnych obrączek na rękach i nogach oraz wielkim naszyjnikiem i kolczykami w uszach, błyskają oczami, dumne ze swego wyglądu. Śmieję się i przemawiam do nich, krzycząc *barra rumi* (precz biały), lecz rzucają zalotne spojrzenia i przeginają się kokieteryjnie.

w dniu świątecznym i wzbudzić zachwyty mężczyzn i zazdrość towarzyszek. Ręce i nogi podane zostają kosmetycznemu zabiegowi umalowania henną na kolor ceglasty. Przedewszystkiem owija się je bandażami w sposób przepisowy, wielce skomplikowany, pozostawiając odkryte miejsca, które następnie nakłada się henną sproszkowaną i wymieszaną z olejem palmowym, — wszystko zaś zostaje jeszcze opatulone szczelnie i mocno brudnymi gałganami. Samej sobie tego zaaplikować niesposób, więc przeważnie stare wiedźmy obsługują młode elegantki, które wyglądają potem, jakby miały kończyny w gipsie, i muszą tak nocować, gdyż henna potrzebuje

Przed chatami i zeribami stoją tłuste barany, przeznaczone na ofiarę dla Allacha, a uciechę podniebienia jego wiernych wyznawców. Całe rodziny oczekują w uroczystym skupieniu na ceremonię rytualnego uboju. Zatrzymuję się przed chatą w wiosce Zauia i przyglądam przygotowaniom. Mały chłopczyk trzyma na powrozie z włókien palmowych skazane na śmierć zwierzę, a kobiety robią starannie dołek w piasku, gdzie ma spłynąć krew po poderżnięciu mu gardła, albowiem żadna kropla nie powinna być nabok uroniona. Siwy staruszek w brązowym burnusie ostrzy nóż na płaskim kamieniu.



...poczyna wolno piłować szyję ofiary...

Trzymam się zdaleka, gdybym bowiem dotknął barana lub kropla krwi padła na mnie, zwierzę stałoby się nieczyste przez kontakt z niewiernym i przepadłaby smakowita, tak długo wyczekiwana uczta. Dają mi to nieśmiało do zrozumienia, więc odsuwam się coraz dalej. Wreszcie obrządek się zaczyna. Przewracają barana nabok głową w kierunku Mekki i przygniatają mocno kolanami przeraźliwie beczące zwierzę — staruszek tymczasem bełkocze coś uroczyście, odróżniam często powtarzane słowo Allah. W pewnej chwili przerywa modlitwę, gwałtownie pada na kolana i poczyna wolno piłować szyję ofiary aż do momentu, gdy nóż zazgrzytał na kręgach kości pancerzowej. Krew bucha i wlewa się z bulgotem do przygotowanego dołka, a otaczający z nabożnym wyrazem twarzy patrzą na dogorywające zwierzę.

Pobite barany leżą czas jakiś przed chatami, aby każdy mógł podziwiać zasobność gospodarstwa, później zanoszą je do wnętrza i poczynają obdzierać ze skóry. Wszystko zostaje zużyte, nic się nie wyrzuca. Włóczą się żebracy i otrzymują trochę mięsa, które najczęściej zjadają na surowo. Po kilku godzinach wszędzie wiszą na

sznurach, przeciągniętych między wbitemi w ziemię palami, kawałki schnącego na słońcu mięsiwa. Krew spływa, zaczerwieniając piasek, i roje głodnych much też mają swoją ucztę świąteczną.

Po południu rozległo się w oazie równomierne walenie w bęben, klaskanie w dłonie i przeciągłe okrzyki. Wszedłszy na wieżyczkę fortu, widzimy posuwający się w naszą stronę długi biały korowód, prowadzony przez marabuta Manzura, małego człowieczka o długiej siwej brodzie, przybranego w zieloną tunikę i płaski, miękki słomkowy kapelusz z rozłożystymi brzegami. Trzęsie się cały, podbiega, podskakuje, pada na ziemię i zrywa się gwałtownie, wydając wciąż przeraźliwe okrzyki, podchwytywane natychmiast przez podekscytowany tłum. Obok niego idzie młody chłopak, trzymający długi kij, z przymocowaną płasko deską z okrągłymi otworami, w które powkładano narzędzia tortury, przeznaczone dla derwiszów, odbywających święty taniec. Są to duże okrągłe gwoździe, o średnicy mniej więcej pół centymetra i długim ostrzu, zakończone wielką drewnianą główką w kształcie spłaszczonej kuli, by łatwiej było trzymać je pełną garścią, manewrując przy wbijaniu w ciało.

Co do wbijania noży w brzuch, to zauważyłem kiedyś, że wpuszczają je bardzo umiejętnie pod skórę, nie przebijając opony brzusznej, tylko efektownie przesuwając po niej żelazo. W Trypolitanii wiara w cudowność derwiszów została ostatnio poważnie podważona wyczynem pewnego oficera Włocha w Misuracie, który zhisteryzowawszy się odpowiednio, powbił sobie sztylety w ciało, a Allah wcale nie ukarał go za to bluźnierstwo i nie doznał żadnej szkody na zdrowiu i wyglądzie.

Korowód wkroczył na podwórze fortu i ustawił się w duże koło. Dobosze stanęli pod wzniesioną wysoko na drągach zieloną chorągwią Proroka i poczęli uderzać rytmicznie dłońmi w obciągniętą skórą kotły, w środku zaś na niewielkiej wolnej przestrzeni Manzur sam jeden podskakiwał, kręcił się wkółko i coś wykrzykiwał namiętnie i dziko. Powoli jednak miarowe dźwięki, wydawane przez bębny, oraz monotonny gardłowy śpiew tłumu, sławiący wciąż jednym tylko zdaniem imię Allacha, poczęł działać podniecająco na zebranych i coraz to ktoś wyrwał się z gromady i biegł do marabuta, naśladowując jego ruchy. Po godzinie już dwadzieścia białych postaci z błędnym wyrazem twarzy i pianą na ustach kręciło się, padało i przeginało w jakichś niesamowitych podrygach. Co chwila któryś walił się nieprzytomny na ziemię — podnoszono go zaraz i cucono wodą,



...Korowód wkroczył na podwórze fortu...

a odpocząwszy znów rozpoczynał święty taniec, aż do ostatecznego wyczerpania.

O szóstej „fantazja” się skończyła i wierni, obdarowani przez porucznika trzema workami owsa, poszli za fort odprawiać wieczorne modły. Narzędzia świętej tortury pozostały nietknięte, jedynie Manzur, robiąc męczeńskie miny, oczyścił sobie trochę końcem gwoździa kąciki oczu z brudu i śluzu, który, nigdy nie usuwany, stwardniał i wyglądał jak żółte zajady -u pisklęcia.

Zbiorowa modlitwa o zachodzie słońca wyglądała niezmiernie malowniczo. Długi szereg postaci owiniętych w białe burnusy ustawił się twarzą w kierunku Mekki z Manzurem na czele, który chylił się w ukłonach i śpiewał modlitwę, a wszyscy za nim powtarzali. Najpierw zawołali chórem *Allah Akbar* (Bóg jest wielki) i stojąc wygłosili pierwszą surę Koranu, później wykonali głęboki ukłon „ruku”, aby, powróciwszy do pozycji stojącej, paść znów płackiem na ziemię „sugiūd”. Następnie wyprostowali plecy, lecz pozostali w pozycji klęczącej „gu’ūd” i skłonili się z rękami wyciągniętymi przed siebie. Powstali — jedna modlitwa „rak’ah” była skończona. Krzyknęli znowu *Allah Akbar* i znów poczęli wszystko od początku w tej samej kolejności.

Po zachodzie rozpiezchli się wszyscy po oazie, śpiesząc na ucztę, albowiem słońce pospołu z muchami oczyściło już dokładnie mięso baranie z krwi, którą Koran uważa za nieczystą, i najprawowierniejszy mahometanin mógł z czystym sumieniem spożyć swój kus-kus.

Na drugi dzień o szóstej rano jedziemy z panią de Bellau półciężarowym samochodem do pobliskiej oazy Agår. Posuwamy się wzdłuż uadi esc-Sciati w kierunku zachodnim — z południowej strony mamy piaszczyste wydmy, oświetlone słońcem porannym, z północnej widać rzadkie palmy oazy Tamzaau. Dolina uadi przeważnie płaska. Po półtoragodzinnej jeździe docieramy do gęstej oazy, skręcamy w bok, przebywamy płytki strumyk i siedzący obok szofera kapral żywnościowy każe mu stanąć pod rozłożystą palmą.

Na alarm trąbki samochodowej nadbiegła najpierw gromada dzieci, otaczając nas zwartym kołem, później zaś zjawił się naczelnik wioski w krótkim brudnym burnusie. Kapral żąda, by mu dostarczył jak najprędzej trzydzieści worków trawy.

— Nie być trawy — oświadcza miejscowa władza.

— To pošlij baby, by nacięły — płacę dwie miarki owsa za worek.

Zaczyna się targ, my zaś z *madame* idziemy obejrzeć oazę. Bardzo bogata, duże pola dojrzewającego jęczmienia, oliwki, kwitnące drzewka migdałowe, warzywa. Ciągłe natykamy się na okrągłe wgłębienia w piasku o mniej więcej półtorametrowej średnicy. Są to składy zebranych daktyli, zwane oglą. Owoce zsypuje się do dołów i przykrywa grubą warstwą piasku — zabezpiecza to je od gnicia i od szkodników owadów. Zagłębienia są pełne czarnych żuków, które zwabia zapach słodkich daktyli, lecz dostać się do nich nie mogą. W jednym miejscu widzę dużego żółtego skorpjona, wielkości małego raka.

Wioska Agår leży w środku oazy na wzgórzu, otoczonem murem z tinu. Droga wewnętrzna idzie spiralnie dookoła góry wśród niskich lepianek, przytulonych do siebie. Pełno małych, ślepych zaułków, wejścia do domów otwarte i widać umiecione czysto podłogi — znak widomy wczorajszego wielkiego święta. W pewnej chwili doszły mnie jakieś znajome, lecz dawno niesłyszane dźwięki i, skierowawszy się w tę stronę, ujrzałem małą ceglastą jałówkę, pierwszą przedstawicielkę krowiego rodu, jaką spotkałem w Fezzanie.

Wracamy do auta i zastajemy odbieranie zamówionej trawy. Kobiety znoszą worki na głowach, a kapral wymierza owies stożkowatym przykryciem naczynia do kus-kus, uplecionem z twardych

liści disu — mieści się w tem półtora kilo ziarna i dostają za worek dwie takie miarki. Trzy kila owsa za worek trawy jest to może dużo na nasze stosunki, ale tu, gdzie trawa jest wielką rzadkością, ceni się ją inaczej. Kobiety starają się przemycać worki nawpół tylko napelnione, lecz kapral nie daje się oszukać i zmniejsza odpowiednio porcje owsa — powstają stąd hałasy i kłótnie.

Zupełnie ładna dziewczyna o dużych czarnych oczach proponuje kupienie daktyli i uśmiecha się zalotnie, ale, niestety, nie do błędnego Europejczyka. Przystojny szofer Arab, młody chłopak z czarnymi wąsikami, jest tym, który wywołał blask w oczach i uśmiech na ciemnej buzi. Lecz szczęśliwiec ostentacyjnie nie zwraca na nią uwagi, pijąc z butelki wielkimi łykami wodę, która z głośnem bulgotaniem wlewa mu się do gardła, później zaś całą jego uwagę pochłania pudełko nieznanym mu włoskich papierosów „Giubek“, które wyjąłem z kieszeni. Patrzy na nie długo, ciekawie i poządliwie, a dziewczyna tymczasem odchodzi. Wieczna pogoń za nowem i nieznanem, przysyłającą nam uroki i powaby naszej rzeczywistości, powtarza się pod każdą szerokością geograficzną i na każdym stopniu rozwoju i kultury.

Wracamy na obiad do Braku i delektujemy się zgłodzeni codzienną baraniną, okraszoną dobrym humorem i serdeczną uprzejmością gospodarza. Patrę na niego i myślę, że oto za kilka dni już się rozstaniemy. Obiecał mi na pewno, że się zobaczymy w Warszawie, ale prędzej spotkać go mogę w Rzymie lub Turynie, gdy przyjedzie na urlop do kraju. Jak się też wyda miła oczom moim postać w oderwaniu od warunków, w jakich przywykłem ją widzieć — czy nie szzarzeje, nie zblednie w standartowym europejskiem ubraniu na tle banalnej ulicy, czy też kawiarni wielkomiejskiej? Ten biały strój saharyjskiego oficera, ten fort i oaza złały mi się w jedno z osobą porucznika, — jakim będzie, gdy pryśnie czar egzotycznej dekoracji, a otoczy go morze powszedniości, zatapiającej wszystko i wciągającej nieraz głęboko nawet wybitne indywidualności i niecodzienne umysły i inteligencję.

XVIII

HAMMADA EL HOMRA. ADIO SAHARA

Ostatni dzień pobytu w Braku. Samochód ciężarowy, który dostarczył do miejscowego sklepiku arabskiego towary z Trypolisu, odjeżdża jutro o piątej rano, zabierając panią de Bellau i mnie.

Chodzę po oazie, żegnając wszystkich i wszystko. Tak mi jakoś przykro opuszczać Brak, tę perłę oaz Fezzanu. Może dlatego, że zasiedzialem się tu dłużej, tu poznałem naprawdę życie i obyczaje czarnych mieszkańców oraz przyjrzałem się dokładnie metodom pracy i postępowania przedstawicieli metropolji; już oswojony z życiem pustyni, inaczej patrzyłem na wiele rzeczy i inaczej je rozumiałem. Tu na koniec zaprzyjaźniłem się serdecznie z kochanym porucznikiem, który zdobył sobie stałe miejsce w moim sercu i pamięci.

Przechodząc, widzę uganiające się sylwetki futbolistów. Gdzie jest dwóch Włochów, tam musi być boisko piłkarskie, taka jest pasja tych ludzi do kopania piłki. Więc i w Braku na równym terenie za fortem powybierano co większe kamienie, zrobiono bramkę z pobielonych pni palmowych i pole walki gotowe. Zapraszają mnie do gry i dają się wciągnąć, z haniebnym jednak zakończeniem, bo jakkolwiek mam jakie takie pojęcie o kunszcie „kopacza” i poziom gry miejscowych sportsmenów jest niewysoki, jednak nie mogę sobie poradzić z kamienistym terenem, o który nogi obijają się boleśnie. Wyrzucają mnie więc wkońcu, przygadując srodze polskim zdolnościom piłkarskim.

Robiąc wyniosłą minę, odwracam się obojętnie i idę w kierunku szkoły pożegnać nauczyciela Marino. Nowoczesny, kwadratowy parterowy domek mieści dwie izby szkolne, kancelarię i mieszkanie nauczyciela. W jednej z sal wykłada sam Marino, w drugiej krajowiec

naucza Koranu i języka arabskiego. Na środku podwórka wznosi się wysoki na dwa metry symbol faszyzmu: pęk różg liktorskich z orłem u szczytu, całkowicie wykonany z gałęzi. W małym ogródku, gdzie rosną drzewka owocowe, warzywa i jakieś suchotnicze kwiatki, widzę pedagoga polewającego grządki — przeklina dosadnie pomidory, które źle mu idą, chociaż wkłada w nie daleko więcej pracy i starań, niżeli to czynią w dalekiem, rodzinnem Trapani.

Po chwili rozlega się żalosne beczenie. To malutka gazela, wychowanka i ulubienica nauczyciela, przypomina o swoim istnieniu.

— Głodne biedactwo — mówi czule Marino.

Idziemy do zagrody, gdzie rezyduje okazała koza, specjalnie wprowadzona do karmienia gazelątka, i chcemy ją złapać, trudno to jednak idzie, bo stara się uciekać z istic kozim uporem. Wkońcu rozgniewana rzuca się na mnie i wtedy chwytam ją za rogi, a Marino wypuszcza swoją pupilkę z innej mniejszej zagródki.

— Trzymam maleństwo osobno, bo koza jej nienawidzi i zabodłaby ją na śmierć, zawsze też muszę asystować przy ssaniu — opowiada troskliwy opiekun.

Zgina swoją barczystą postać, łapie kozę za tylne nogi, wydobywa z kieszeni szklankę i nadoiwszy w nią mleka, częstuje mnie, a potem pije sam. Wkońcu woła gazelę, która tymczasem zniciertpliwiona biegła dookoła, a teraz jednym susem dopada swej karmicielki i poczyną ssać żarłocznie. Oglądam jeszcze rody kurze i królicze, które plenią się w pakach w nauczycielskiej kuchni, gdzie powietrze jest poprostu morowe.

Niskie słońce rzuca ukośne czerwone promienie poprzez pnie palmowe — ostatni mój zachód słońca w Braku. Wyciągam pedagoga na spacer, a po drodze spotykamy trzech podoficerów i przechadzamy się razem.

Do późnej nocy gawędzę z Bongioannim, a już o czwartej Ahmed przynosi mi po raz ostatni kawę i wodę do mycia. Ubierając się, próbuję nawiązać z nim rozmowę.

— Gdzie jest *signor tenente*?

— Nie wiem.

— Co słysząc nowego?

— Skąd ja mogę wiedzieć.

Ahmed jest nieodrodnym synem swojej rasy. Nic go nie obchodzi, o nic się nie pyta, do niczego się nie wtrąca. Jeśli się komuś zawali dom, przejdzie obojętnie po gruzach, gdy ktoś zemrze w jego oczach,



...nadoiwszy w nią mleka...

nie wzruszy się tem niepotrzebnie. Trudno — umarł, to umarł — stało się coś złego, no, to się stało. Kismet! Czyż nie tak nauczał Prorok.

Schodzę na dół. Samochód już czeka, jest zupełnie ciemno i wieje zimny wiatr. *Madame* siada przy szoferze, a ja i wysoki, chudy sierżant w okularach gramolimy się na górę worków, jakimi wóz jest naładowany.

— *Arrivederci a Varsavia, verro di sicuro!* (Dowidzenia w Warszawie, przyjadę na pewno) — mówi, ściskając mi dłoń po raz ostatni, Bongioanni, a Lulu skacze dookoła maszyny z wesołym ujadaniem.

Grube, plecione z włókien palmowych worki, napełnione twarde daktylami, są piekielnie niewygodnem siedziskiem. Wóz podskakuje wciąż na kamieniach, co obaj odczuwamy bardzo boleśnie, wiatr nie ustaje i jest porządnie zimno, a nie można nawet rąk zatrześć, gdyż musimy trzymać się kurczowo worków w obawie upadku. I tak oto będziemy jechali całe 680 kilometrów, dzielące nas od Trypolisu.

Rozlega się jakby przeraźliwy śmiech i z za głazów wybiegają dwie duże, krępe, mocne, o sztywnych karkach sylwetki czworonogów. Reflektor samochodu oświetla je na chwilę.



...wjeżdżamy w długą dolinę między kamienistymi zboczami...

— Hieny — mówi sierżant.

Wschodzi słońce i ukazuje się wielka, zlekka falująca płaszczyna, pokryta ogromnymi, ciemnymi głazami. Fezzan już dawno pozostał za nami, przecinamy teraz Hammadę el Homra, największy tego rodzaju obszar pustynny Sahary. Samochód wciąż kręci w poszukiwaniu możliwej drogi, podrzuca i trzęsie rozpaczliwie, słońce pochyla prażyć coraz mocniej, a dookoła głazy, głazy i głazy.

W pewnej chwili wjeżdżamy w długą dolinę między kamienistymi zboczami — martwota zupełna, bardzo rzadko spotykamy drzewko rtemu, niewiedomo skąd czerpiące wilgoć do podtrzymania roślinności.

W południe dojeżdżamy do fortu Bir Ghelonia. Malutka budowla wysoko na górze, obsadzona przez kilku Erytrejczyków z szylubaszim na czele. Zobaczyli nas zdaleka i czekają na dole z herbatą. Sierżant namawia, aby pójść do fortu — może dostaniemy skór gazeli i urządzimy sobie wygodniejsze siedzenie. Wlecemy się więc w górę pod palącym słońcem, ociekając strugami potu, ale na darmo nasza fatyga. Skóry żadnej niema i musimy dalej obcierać własną na przeklętych daktylach.

Kamienie i kamienie, piekielny żar i pustka przygnębiająca.

Monotonja pejzażu i jaskrawość słońca nuży i męczy — w oczach odczuwam dotkliwe klucie.

Sierżant, którego nazwiska nie dowiedziałem się nigdy, zaczyna opowiadać o swoich podróżach — złożył całą Afrykę od Algeru do Kapsztadu i od Senegalu do Abisynji. Z zachwytem mówi o południowej Afryce.

Diamenty i diamenty, pieniądze i pieniądze, tylko że jeden ma szczęście, a tysiące szlag trafi!

— Czy słyszał pan o Cecilu Rhodesie — pyta nagle.

— Nie — mówię, by go pociągnąć za język.

— Jakto, nie słyszał pan imienia pierwszego obywatela południowej Afryki! Przecież nie można zrozumieć rozszerzenia się wpływów angielskich, jeśli się nie zna historii tego wyjątkowego kolonizatora i wielkiego kapitalisty. Wszędzie poniżej równika, gdzie zatknęto angielski Union Jack, związane to jest z osobą Rhodesa. Jest to jeden z bohaterów mieszczaństwa, chociaż bohaterstwo wydać się może sprzeczne z naturą tej klasy. Wszystko w nim wskazuje kupca w najlepszym znaczeniu tego słowa. Lubił powtarzać: pieniądź jest potęgą. Bazą jego walki był kapitalizm, bronią pieniądze, a pierwszym zwycięstwem stworzenie w Kimberley trustu de Beers, jednoczącego kopalnie diamentów oraz organizującego i kontrolującego rynek. Dla Cecila pieniądź nie był celem — był narzędziem, dzięki któremu rozszerzały się wpływy i umacniało stanowisko Anglii po tamtej stronie równika. Gdy po raz pierwszy przybył do Afryki Południowej, miał jako bagaż niski cenzus naukowy i płuca toczzone przez gruźlicę. Afryka wróciła mu zdrowie i dała rozpęd w pracy i poczynaniach. Mając już stanowisko i poważanie, jedzie na studia do Oxfordu, by uzupełnić wiadomości i doświadczenie nabyte w wielkiej szkole życia. Wraca przesiąknięty imperjalizmem Ruskina i ewolucjonizmem Darwina. Śni mu się połączenie wszystkich Anglosasów i pacyfikacja świata pod egidą ludzi o blond włosach. Marzy o powszechnym pokoju, lecz walcząc jednocześnie z narażeniem życia dla dobra interesów Anglii, zajmując jak najwięcej ziemi, „pacyfikując“ Matabeleland i Maskonaland, które dziś tworzą południową Rodezję, oraz tworząc potężne organizacje przemysłowe i handlowe. On pierwszy zrozumiał wagę i walor przecięcia Afryki przez pół od Kairu do Kapsztadu posiadłościami angielskimi. Gordon idzie z północy na południe, Rhodes z południa na północ, — Gordon operuje wojskiem, Rhodes kapitałem. Ideałem jego jest

wielkie państwo angielskie w Południowej Afryce. Lecz śmierć przecina to bogate życie. Umiera na progu XX wieku, do którego należał duchowo, albowiem myślał i rozumował kategorjami dzisiejszego polityka.

Słucham tej znanej historii i patrzę na sierżanta ze zdziwieniem i ciekawością. Skąd tyle entuzjazmu dla „blond bestji” i bojownika angielskiej sprawy? Kim jest mój rozmówca? Rysy twarzy mogłyby ostatecznie ujść dla Anglosasa, lecz nerwowe i gwałtowne gesty zdradzają rasowego Włocha.

Spostrzegam mój wzrok i śmieje się głośno.

— Wiem, wiem, o czym pan myśli, ale cóż, łączy nas wspólna pasja: Czarny Łąd — obaj z ducha jesteśmy Afrykańczykami.

Począyna wiać gibli, ale na szczęście dojeżdżamy do namiotów przy nowobudującym się trakcie esc Sciueref—Bir Ghelonia. Zboku stoi zepsuta ciężarówka, jadąca w stronę Braku i wioząca prowianty oraz trzech Żydów. Jeden z nich, garbaty i ślepy na jedno oko, za którym krok w krok chodzi biała koza, ciągle podbiega do szofera pytając, czy maszyna będzie prędko naprawiona, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, odchodzi, by za kilka minut znów powrócić z tem samem pytaniem i nieodstępną towarzyszką à la Gandhi.

— Panie, my tu już stoimy cztery dni, a on cały czas tak wciąż pyta — opowiada szofer.

Gibli dmucha coraz gwałtowniej, wchodzimy więc do namiotu kierownika robót, siwego starszaka, który siedzi otoczony trzema foksterjerami, białymi w czarne łaty.

— Towarzysze mojej samotności — uśmiecha się stary Włoch.

Po kilku godzinach wiatr ucichł i możemy jechać dalej. Przebywszy kilkanaście kilometrów, wjeżdżamy w szeroką uadi Bei el Chebir, porośniętą tu i ówdzie rozłożystymi akacjami i pokrytą pastwiskami wielbłądziemi, to znaczy zrzadka rosnącemi kępami trawiastego, ostrego disu i szaremi krzaczkami rtemu. Tylko wielbłąd może połknąć i strawić tak kłujące i twarde pożywienie.

Zatrzymujemy się w jakimś małym, starym, walącym się forcie, obok którego wznosi się wysoka wieża studni artezyjskiej. Dowódca, mały porucznik Sycylińczyk, zaprasza na kawę. Po posiłku i krótkiej rozmowie wracamy do auta, lecz szofera ani śladu. Szukam go wszędzie bezskutecznie, nareszcie kieruję swe kroki w stronę małego budyneczku, gdzie przeczuwam miejscowy dom uciech.

— *Honny soit qui mal y pense!* Jestem tylko pewien, że tam nareszcie znajdę zaginionego.

Jest naturalnie. Czerwony i wściekły miota się gwałtownie i wykrzykuje coś głośno. Okazuje się, że zapytał towarzyszącego sobie podoficera o imię jednej z kobiet, a otrzymawszy odpowiedź: Mammadua, rozgniewał się okropnie.

Mammadua, popularne imię tubylczej kobiety, przypomina bardzo swem brzmieniem włoskie słowa *mamma tua* (mama twoja) i jest powodem wielu nieporozumień i kłótni, jak również daje pole do ciężkich dowcipów.

— Jak śmiesz ubliżać mojej matce — drze się nasz gruby szofer, rzucając się z pięściami.

Jego pomocnik, stary dziad w żółtej, włóczkowej, nieopisanie brudnej czapce na głowie, o którym pani de Bellau mówi, że śmierdzi straszliwie, powstrzymuje swego rozwścieczonego zwierzchnika.

Uspokajamy wreszcie szofera, tłumacząc mu, że nikt nie miał zamiaru go obrazić, a tylko gra słów wywołała nieporozumienie. Wypija szklankę herbaty na uspokojenie i ruszamy w dalszą drogę. Jestem tak zmęczony, że zasypiam, chociaż twarde worki są prawdziwie Madejowem łóżem. Budzi mnie przeraźliwy chłód — jest już pełna noc, gwiazdy palą się na niebie, znikły krzaczki i dookoła znów goła pustynia, iskrząca się srebrzyście w poświacie księżyca.

Około północy dojeżdżamy do oazy Geriat, gdzie stacjonuje piąta grupa saharjanów, która właśnie dziś rano wróciła z manewrów. Oficerowie częstują nas gorącą kolacją oraz wygodnym noclegiem. Ale jakoś nie mogę spać i już o pierwszym świtaniu wychodzę przed fort, leżący na skraju głębokiego jaru, na dnie którego zielenieją palmy niedużej oazy.

Rozlega się głośny ryk osła. We wszystkich oazach stanowi to ranną pobudkę i oto za chwilę ruch się rozpoczyna. Kobiety z dzbanami na głowach śpieszą do studni, mężczyźni poczynają wyciągać swoje skąpe narzędzia rolnicze, słysząc głosy dzieci i zwierząt.

Schodzę wijącą się drogą wdół i przechadzam się po oazie, aż do chwili, gdy sygnał samochodu wzywa mnie do powrotu.

Szofer znów ma powód do złości. Zostawił na noc w aucie paczkę z jedzeniem i szczury wyciągnęły mu wszystko. Stoi teraz z pustą torbą papierową w ręku i klnie nieprzystojnie.

Gwiazdy bledną coraz bardziej, a horyzont tak rozległy, jasny i daleki, jaki zobaczyć można tylko w pustyni, poczyną czerwienieć



....rozlega się głośny ryk osła...

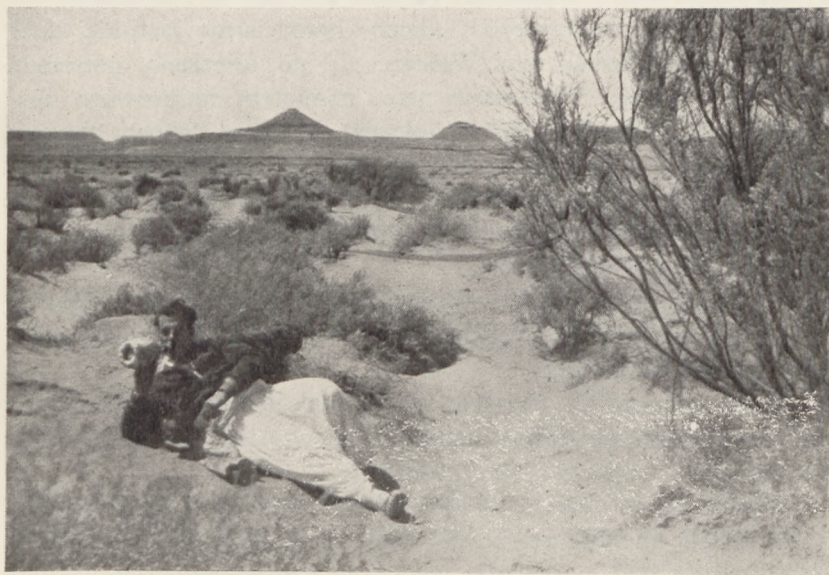
na wschodniej stronie i bezpromienna jeszcze tarcza słoneczna wyskakuje prędko i od razu z poza chmur, tworzących jakby jakiś zamek niebieski.

Jedziemy przez płaskowyż, pocięty głębokimi rozpadlinami licznych uádi. Kamienista droga prowadzi ciągle w dół i w górę, — często spadki są tak gwałtowne, że chyba tylko cudem utrzymujemy się w równowadze. Potem pojawiają się gęsto zasypany piaseczyste, przez które wóz przekopuje się z wielkim trudem, a często musimy mu pomagać własnymi rękami.

Po wielu ciężkich godzinach trzęsienia się po pustynnych bezdrożach, wjeżdżamy nagle,



...Kobiety z dzbanami na głowach śpieszą do studni...



Obiad między Geriatem i Mizdą.



...Jak zielono! jak zielono!...

bez żadnego przejścia, na step, pokryty zielonością i kwiatkami. Przed nami Mizda, miasteczko noszące już znamię cywilizacji: kawiarnia włoska, restauracyjki, uliczne herbaciarnie arabskie, duże koszary, dom oficerski etc. Włóczęc się po uliczkach, natrafiam na ciekawą scenę. Mianowicie przed namiotem miejscowego znachora siedzi na stołku jakiś delinkwent, któremu znachor puszcza właśnie krew — robi to w ten sposób, że nacina żyły na szyi i wysysa krew przez drewnianą rurkę, wypływając ją potem na ziemię. Liczna gromada pacjentów przygląda się z powagą zabiegowi, oczekując swojej kolei.

Za Mizdą coraz więcej roślinności. Mój sierżant, który już od kilku lat nie był w tych stronach, cieszy się jak dziecko i wciąż woła: Jak zielono! jak zielono!

Naturalnie, że ta zieloność jest jednak bardzo względna, ale ostatecznie podstawą każdej opinii jest porównanie, więc sierżantowi się wydaje, iż mijamy jakieś rajskie łąki.

Wjeżdżamy na świetną asfaltową szosę i szofer dodaje gazu, jadąc z szybkością 60 kilometrów. Sierżantowi ta szybkość, znów przez porównanie z jazdą po pustyni, wydaje się wprost potworna. Trzyma

się kurczowo worków i wciąż wrzeszczy, błagając, by zwolnić lub stanąć.

W Garian zostawiamy worki z daktylami, a zabieramy pasażerów Arabów i pędzimy dalej. Ożywczy wiatr dmie od morza, oddycha się swobodnie i lekko.

Woddali błyszczą światła Trypolisu.

TRYPOLITANJA

*Zarys historyczny, geograficzny, gospodarczy
i społeczno-polityczny.*



Mapa Libiji.

I

Libja włoska jest najbardziej na południe wysuniętym krajem śródziemnomorskim, wciśniętym klinem pomiędzy sferę wpływów Anglii i Francji. Graniczy od zachodu i południo-zachodu z Tunisiem, Algierem, Francuską Afryką Zachodnią i Francuską Afryką Ekwatorialną, ze wschodu z Egiptem i Sudanem Egipskim. Powierzchnia Libji wynosi 1.638.000 km², a liczy ona 704.413 ludności według przybliżonych obliczeń z r. 1931.¹

Pod względem administracyjnym Libja dzieli się na dwie części: Trypolitanję i Cyrenajkę, znajdujące się pod zarządem jednego gubernatora z siedzibą w głównym mieście Libji — Trypolisie, liczącym 73.000 ludności. Głównym miastem Cyrenajki jest Bengasi z 40.000 ludności, będące siedzibą wicegubernatora.

Powierzchnia Trypolitanji wynosi 900.000 km² i posiada 543.697 ludności. Cyrenajka zaś 738.000 km² i 160.716 mieszkańców.

Trypolitanja i Cyrenajka są jakgdyby odrębnymi kolonjami, posiadającymi oddzielną administrację i oddzielne dowództwa wojskowe; łączy je tylko osoba gubernatora oraz stanowią wspólny obszar celny.²

Ludność tubylcza składa się z Berberów, dawnych autochtonów rasy chamickej, oraz późniejszych przybyszów Arabów, należących

¹ Wszystkie dane statystyczne, przytoczone w niniejszym studjum, wzięte są przedewszystkiem z „Annuario Statistico Italiano — Anno 1934 — XII“, wydawanego przez Centralny Instytut Statystyczny Królestwa Italji.

² Ostatnio dekretem królewskim z mocą ustawy z dn. 3 grudnia 1934 r. Trypolitanja i Cyrenajka zostały złączone w jedną kolonię, noszącą nazwę „Libja“, z generalnym gubernatorem na czele, mającym swą siedzibę w Trypolisie. Kolonja pod względem administracyjnym została podzielona na cztery prowincje i południowe terytorjum wojskowe; na czele prowincyj stoją komisarze w randze IV stopnia, a na czele terytorjum wojskowego stoi komendant w stopniu generała brygady.

do rasy semickiej. Oba te zasadnicze elementy tubylcze są silnie ze sobą przemieszane, przyczem na wschodzie wśród plemion pasterskich przeważa element arabski, na zachodzie zaś i wśród plemion rolniczych berberski. Czysty pod względem rasowym i językowym element berberski zachował się w górach Gebel, położonych o 100 km na południe od Trypolisu, w oazie Gadames, leżącej około 700 km w linii prostej na południo-zachód od Trypolisu, na pograniczu z Algierem i w nadbrzeżnej, blisko granicy tunetańskiej położonej oazie Zuara, gdzie dochodzą do morza Śródziemnego. W południowej części Trypolitanii, t. zw. Fezzanie, poza koczowniczymi plemionami arabskimi (Tebu i Tuaregowie), mieszkają t. zw. Fezzańczycy, stanowiący mieszaninę Arabów, Berberów i murzynów sudańskich ze zdecydowaną przewagą krwi murzyńskiej. Do ludności tubylczej należą również Żydzi, mieszkający w olbrzymiej większości w miastach i oazach nadbrzeżnych i zajmujący się wyłącznie handlem i rzemiosłem. Pozatem na wybrzeżu spotykamy Ormian i Turków, zajmujących się również handlem. Europejczycy, prócz Włochów, są reprezentowani przez Maltańczyków i Greków, mieszkających w Trypolisie i Bengasi.

Element tubylczy, poza ludnością żydowską, wyznaje islamizm rytuału sunnickiego, który wchłonał również obrządki, przesady i dawne zwyczaje berberskie. Ludność żydowska jest naturalnie wyznania mojżeszowego.

W liczbach skład ludności przedstawia się w sposób następujący: 654.806 tubylców, 49.607 Europejczyków, w przeważnej części Włochów. Pod względem religijnym ludność tubylcza dzieli się na: 623.735 muzułmanów, 24.004 wyznania mojżeszowego, resztę stanowią chrześcijanie przeważnie obrządku koptyjskiego (żołnierze z Erytrei).

Dnia 5 października 1911 roku wiceadmirał marynarki włoskiej, Luigi Faravelli, zajmuje Libję w imieniu króla Italji i mianuje jej gubernatorem kontradmirała Ricci d'Olmo, 18 października zaś 1912 roku na mocy traktatu pokojowego, podpisanego w Ouchy pod Lozanną, Turcja zrzeka się oficjalnie wszelkich pretensyj do Libji. Od tego czasu Libja miała trzynastu gubernatorów i dwóch regentów.³

³ Podaję kolejny chronologiczny wykaz administratorów Libji: kontradmirał Raffaele Borea Ricci d'Olmo (5/X-1911—13/X-1911), generał Carlo Caneva (13/X-1911—28/VIII-1912), gen. Ottavio Ragni (12/I-1913—30/V-1913), gen.

II

Już w najdawniejszych znanych historycznie czasach cała środkowa część śródziemnomorskiego wybrzeża afrykańskiego była zamieszкана przez plemiona Libów o jednolitych cechach etnicznych, o wspólnym języku i religii. Byli to pasterze nomadzi, rozbici na małe grupki plemienne, które zwalczały się wzajemnie, nie posiadając wspólnoty politycznej. Bezpośrednimi potomkami dawnych władców Trypolitanji są dzisiejsi Berberowie, którzy, wytępieni w większej części przez najeźdźców arabskich, utrzymali się jeszcze, jak to wspomniałem wyżej, w kilku miejscach w Trypolitanji, a nad morzem w oazie Zuara stanowią jakby wyspę rasową berberską, wśród otaczających ją zewsząd Arabów.

Fenicjanie, pierwszy naród żeglarski, który władał morzem Śródziemnym, zrozumieli wartość brzegów libijskich, jako bazy handlu z Afryką, Rzymem i Magna Grecia, i założyli w VII—VI w. przed Chrystusem szereg punktów handlowych, jak Gefara, Sabratha, Lepcis i Oea (dzisiejszy Trypolis). W czasach, gdy Rzymem władał Tarquinius Superbus, Kartagińczycy opanowali zupełnie Libję i prowadzili ożywiony handel z wnętrzem Afryki. Główne drogi karawanowe prowadziły: z Tacape (dziś Gabes) do Cidamus (Gadames), z Oea (Trypolis) do kraju Garamanti (Fezzan) i najbardziej uczęszczana z Leptis, inaczej Lepcis, do oazy Tibesti.

Wkrótce jednak Rzym zwrócił uwagę na Libję i począł konkurować z Kartaginą o wpływy handlowo-polityczne na brzegu afrykańskim. W VI wieku przed Narodzeniem Chrystusa zawarto pierwszy traktat handlowy między Rzymem i Kartaginą, na mocy którego Rzymianie otrzymali prawo wolnego handlu na terenie Libji. Umowa ta zostaje jednak zerwana przez Kartagińczyków w 348 r. przed Narodzeniem Chrystusa i Kartagina obejmuje w swe niepo-

Vincenzo Garioni (1/VI-1913—1/X-1914), gen. Giorgio Cigliana (1/X-1914—16/XI-1914), gen. Luigi Druetti (16/XI-1914—5/II-1915), gen. Giulio Cesare Tassoni (5/II-1915—15/VII-1915), gen. Giovanni Battista Ameglio (15/VII-1915—1/VII-1918), gen. Vincenzo Garioni po raz drugi (2/VIII-1918—16/VIII-1919), Vittorio Menzinger (16/VIII-1919—10/VII-1920), Ugo Niccoli w charakterze regenta (11/VII-1920—31/VII-1920), minister plenipotent Luigi Mercatelli (1/VIII-1920—16/VIII-1920), Eduardo Baccari w charakterze regenta (17/VIII-1920—24/VIII-1921), hrabia Giuseppe Volpi di Misurata (25/VIII-1921—3/VII-1925), gen. Emilio de Bono (3/VII-1925—9/I-1929), marszałek Pietro Badoglio del Sabotino (9/I-1929—31/X-1933) i marszałek Italo Balbo (od 1/I-1934 r.).

dzielne panowanie rynek libijski. Jest to okres najświetniejszego rozkwitu miast libijskich.

W 146 roku Kartaginę rozgromiono i Rzymianie opanowują początkowo nadbrzeżne ziemie, zwane Sirtica, a stopniowe zwycięskie wyprawy do Gadamesu, Fezzanu, aż po Sudan, oddają całą Libję pod ich władzę. W tymże roku w Lepcis urodził się najświetniejszy mąż, jakiego Libja dotychczas wydała — imperator Septimus Severus. Władając Rzymem od 193 do 211 roku, interesował się specjalnie rodzinnym krajem i współziomkami. Nadał im szereg praw, między innymi „*ius italicum*”, i wzniosł na wyżyny stan ekonomiczny i kulturalny Libji. Złoty okres minął jednak prędko i już w IV wieku po Narodzeniu Chrystusa świetność Libji kompletnie upadła.

W V w. po Chrystusie zapędzają się tu Wandalowie w zwycięskim pochodzie przez ziemie pokonanego Rzymu. W 533 r. Libja zostaje przyłączona do imperjum bizantyńskiego. W 647 r. następuje pierwszy najazd arabski. Żołnierze Mahometa nie zdołali jednak opanować odrazu kraju. Ludność tubylcza broniła się zaciekle i dopiero wytępią prawie zupełnie w czternastu kolejnych powstaniach poddaje się władzy islamu. W 1144 r. następuje najazd Normanów. Jednak już po czternastu latach oddają oni Libję zpowrotem w ręce arabskie.

W 1510 r. stepy i piaski libijskie dostają się pod rządy imperjum hiszpańskiego, by w 1520 r. przejść we władanie Kawalerów Maltańskich, którzy w 1551 r. zostają wypędzeni przez Turków. W 160 lat później wybucha powstanie tubylców pod wodzą Ahmeda Karamanli, który w 1711 r. ogłasza się sułtanem Libji. Libja jest wolnym krajem do 1836 r., w którym to roku Turcy wypędzają dynastję Karamanlich. Podczas wojny bałkańskiej w dn. 5 października 1911 r. Libja przechodzi we władanie Italji.

III

Granice dzisiejszej Trypolitanji stanowią: od północy i północno-wschodu brzeg morza Śródziemnego długości około 900 km pomiędzy Ras Agir—Bu Sceifa; od wschodu administracyjna granica z Cyrenajką, biegnąca początkowo wzdłuż linii Bu Sceifa—Marada z wygięciem ku wschodowi, a potem wzdłuż 19° długości geograficznej aż do 22° szerokości geograficznej; od południo-zachodu linja, biegnąca od granicy z Cyrenajką przez Acheibesc (francuski) do Nefash (włoski); od południo-wschodu linja Nefash—Tummo,

gdzie się kończy granica z Francuską Afryką Ekwatorialną; od południo-zachodu linja Tummo—Fogas (francuski) wzdłuż łańcuchów gór Tummo i Tassili; od zachodu linja, biegnąca od gór Tassili, gdzie kończy się granica z Francuską Afryką Zachodnią, przez Gat, Inehobartan, Alghar do płaskowyżu Tinghert, gdzie kończy się granica z Algerem; od północo-zachodu granica z Tunisem wzdłuż linji Gadames, Mezezzen, Uazzen, poprzez płaskowyż Gebel, el Assa, Ras Agir.

Pod względem fizycznym Trypolitanja nie jest jednolita. Możemy ją podzielić na cztery wyraźnie odcinające się części: 1) Trypolitanja właściwa, ograniczona z północy linją brzegową morza Śródziemnego od Ras Agir do Tsammed Hassan, od południo-wschodu uadi Bei el Chebir, przy której ujściu do morza leży Tsammed Hassan, do płaskowyżu Gebel, od południa krawędzią płaskowyżu Gebel, od północo-zachodu linją graniczną z Tunisem. 2) Syrtyka, ograniczona od północy linją brzegową morza Śródziemnego od Tsammed Hassan do Bu Sceifa, od wschodu linją administracyjnej granicy z Cyrenajką, od południa łańcuchami góorskimi Harugi es Soda i Gebel es Soda, od zachodu linją, biegnącą od stóp gór Gebel es Soda przez Bu Ngem do uadi Bei el Chebir i od północo-zachodu uadi el Chebir do Tsammed Hassan. 3) Płaskowyż wewnętrzny, ograniczony od północy i północo-wschodu krawędzią płaskowyżu Gebel, od wschodu linją, biegnącą od uadi el Chebir przez Bu Ngem do stóp gór Gebel es-Soda, od południa łańcuchem góorskim Gebel es Soda i południową krawędzią płaskowyżu Tinghert do granicy z Algerem, od zachodu granicą z Algerem i Tunisem: 4) Fezzan, graniczący od północy i północo-wschodu z płaskowyżem wewnętrznym i Syrtyką, od zachodu z Cyrenajką, od południo-zachodu i południo-wschodu z Francuską Afryką Ekwatorialną; od południo-zachodu i od zachodu znowuż z Francuską Afryką Zachodnią i Algerem.

Płaszczyzna nadmorska, objęta nazwą Trypolitanji Właściwej ma charakter równiny stepowej, przerywanej miejscami pasmami diun. Gdzie niegdzie znajdują się słone jeziora o płytkiem, bagnistem dnie, t. zw. sebchy. Stepy stanowią siedem dziesiątych ogólnego terenu — leży na nich szereg kwitnących oaz. Największymi ze stepów są el Gattis, Suani ben Adem i Fondugh ben Gascir. Gleba na stepach jest żyzna i nadaje się do kultury zbożowej, ogrodniczej i sadowniczej, lecz na przeszkodzie stoi brak wody.

Oazy ciągną się trzema wyraźnymi pasmami: nadbrzeżnem, środkowem i podgórskiem.

Oazy nadbrzeżne, poczynszyszy od granicy tunetańskiej, są następujące: Zuara, Regdalin, Zelten, el Gemil, el Menscia, el Agelat, esc Scebiann, el Gedida, Umm el Halluf, Dahman, el Chatatba, Sorman, Zauia, Garguza, el Tina, Lmaia, Sanad, Zanzur, Trypolis (50 km² powierzchni), Mellaha, Fornaci, Ain Zara, el Tagiura (45 km²), Gasr el Garabulli, Fondugh el Giasc, Gasr Gefara, Homs, Sahel el Ahamed, Zliten (55 km²), Misurata, Misurata Marina, Tauorga, leżąca nad sebhą Tauorga i Gser Geber.

Środkowy pas o jakie 50—70 km w głąb tworzą oazy: el Assa, Besciul, Bir el Ghnem, Ghiran, el Azizia i el Ben.

Dalej następuje pas oaz podgórskich: Zigzau, Bir Dufan, Tigi, Giosc, Scecschiuch, Gasr el Hag, Rabte i Henscir el Abiad.

Oazy zawdzięczają swe istnienia nie specjalnie odrębnemu składowi chemicznemu gleby, lecz jedynie obecności wody.

Flora tej części Trypolitanji jest śródziemnomorska i zbliżona do sycylijskiej i południowo-włoskiej.

Z roślin trawiastych, poza znanymi w Europie, charakterystyczne są: „chi“ (*Artemisia herba alba*), rodzaj piołunu stepowego; „dis“ (*Juncus effusus*), rodzaj sitowia o łodydze długiej, cylindrycznej, szaro-zielonej, którego włókien używa się do wyrobu kilimów, względnie do wiązania; „sparto“ (*Lygeum spartum*) o łodydze cienkiej, cylindrycznej, wysokości 30—50 cm, o liściach długich, wąskich, koloru zielonawo-niebieskiego; wydobywa się z niej celulozę, a z włókien wyrabia się sznury; „sbet“, inny rodzaj *Lygeum spartum*; „ghedam“ (*Salicornia*) rosnąca na sebachach; „remt“ (*Haloxylon*); „smar“ (inny gatunek *Juncus effusus*), z którego włókien wyrabia się ściółki; „halta“ (*Stipa tenacissima*) o liściach długich, włóknistych, twardych, szaro-niebieskawych z zielonkawym odcieniem, z których wydobywa się celulozę oraz wyrabia plecionki i sznury. Do uprawnych należą przedewszystkiem: jęczmień, pszenica i tytoń.

Typowemi krzewami są: „clil“ (*Rosmarinus africanus*), dosięgający dwóch metrów wysokości, o liściach wydłużonych z wygiętymi ku dołowi brzegami i szorstkiej brunatno-czerwonej korze; pęki białawych lub fioletowych kwiatów zwieszają się ku dołowi na końcach gałęzi — z cilu wydobywa się aromatyczny olejek; „belluz“ (*Asphodelus*), rodzaj krzaczastej lilji o liściach licznych i długich; wydobywają z niej alkohol, a korzenie są jadalne; „zaatar“ (*Thymus vulgaris*),



a) jaszczurka uromastix; b) jaszczurka pustynna; c) gazela; d) myszy pustynne.

dochodzący do 30 cm wysokości; liście owalne białawe z żółtymi plamkami, kwiaty czerwone względnie białawe; z rośliny tej wydobywa się alkohol, olejek służący do celów perfumeryjnych oraz wyrabia się lekarstwo, zwane „timolo“, służące do dezynfekcji ran i oparzeń; „sedr“ (*Zisypus Lotus*), rośnie w miejscach kamienistych w pobliżu morza, liście podługne, gałęzie kolczaste, owoce czerwone — używany na opał i do ogrodzeń; „rtem“, przysadziasty kolczasty krzak, służący na opał, oraz „henna“ (*Lawsonia inermis*), znana od najdawniejszych czasów (liście jej znaleziono w grobach faraonów). Jest to krzak, który kultywowany i przycinany nie przerasta metra, w wolnym stanie jednak osiąga kilku metrów i przybiera kształty niewysokiego drzewka. Pozatem z Włoch sprowadzona została winorośl, która przyjęła się dobrze w okolicach Trypolisu.

Wśród drzew króluje palma daktylowa (*Phoenix dactilifera*); rosną również oliwki, pomarańcze, cytryny, jabłka, gruszki, nespole i śliwki, pozatem opuncja (*Opuntia Ficus indica*), rodzaj kaktusa o owocu jadalnym. Charakterystyczne są: „battum“ (*Pistacia vera*), drzewko wielkości oliwki, którego owoce są jadalne; „talha“ (rodzaj akacji), rycynus i „etel“ (*Tamerix africana*), drzewko dochodzące do trzech metrów wysokości, o liściach drobnych, kształtem przypominających cyprysowe, i małych, białawych lub fioletowoczerwonych kwiatach; jest to roślina bardzo rozpowszechniona i tworzy liczne skupiska. Pozatem świetnie zaaklimatyzowały się sprowadzane z Australii eukaliptus i akacja australijska.

Fauna Trypolitanji jest naogół uboga. Trypolitanja Właściwa, posiadająca żyzniejszą glebę i większą obfitość wody, a więc i bogatszą roślinność, posiada również bogatszą faunę. Hodowla obejmuje następujące gatunki, które podajemy kolejno, według ich liczebności: owce, kozy, wielbłądy, bydło rogate, osły i konie; z ptactwa domowego hodowane są: kury, kaczki, gęsi, indyki i gołębie. Do dzikich ssaków należą: szakale, hieny, lisy, dzikie koty, gazy, kozice uaddan, jeżozwierze, jeże, zające, tchórze, szczury, myszy, skoczki i t. d. Ptactwo reprezentowane jest przez: bociany, czaple, orły, sępy, jastrzębie, dzikie gęsi, dzikie kaczki, kuropatwy, przepiórki, turkawki, dzikie gołębie, szpaki i t. d. Typowym gadem pustyni jest żmija rogata, a płazami — jaszczury, jaszczurki, ropuchy i żaby; pozatem stosunkowo liczne gatunki owadów ze skorpionem na czele. Fauna Trypolitanji jest jeszcze stosunkowo mało zbadana, szczególniej dotyczy to owadów.

Pustynie piaszczyste zajmują duże połacie kraju, głównie w części północno-zachodniej; z pośród nich wymienimy pas diun morskich pomiędzy Ras el Machbez i Sidi Said, zonę diun kontynentalnych na południe od Trypolisu pomiędzy el Azizia i Bir el Ghnem i największą ze wszystkich, położoną przy granicy tunetańskiej, pomiędzy el Ahemer i Tuil Hallab. Jednak i te okolice nie są całkowicie pozabawione wegetacji i gdzie tylko woda występuje na powierzchnię, rozwija się kultura palm daktylowych.

Znaczną również przestrzeń zajmują sebchy; największe znajdują się na krańcach zachodnim i wschodnim. Na zachodzie przy granicy tunetańskiej leży sebcha el Magta, na wschodzie sebcha Tauorga o długości 130 km i przeciętnej szerokości 10 km, pozatem mniejsze Sebhet el Gedr, sebcha di Zuara i sebcha el Agelat.

Rzadkość opadów atmosferycznych i gębczałość terenu powodują, że żadna stała rzeka nie przepływa przez Trypolitanję Właściwą. Liczne są natomiast wyschłe koryta rzek, t. zw. „uàdi“, które tylko w czasie deszczów płynie woda. W niektórych uàdi wpobliżu ujścia woda wyłania się z piasku i nikły strumyk wpada do morza.

Ważniejsze z uàdi, licząc od granicy tunetańskiej, są: Megenin, wpadająca do morza wpobliżu Trypolisu, Caam, Sofeggin z dopływami: lewym Merdum i prawym Nfed, Zemzem z prawymi dopływami Ghirza i Zazemat (Sofeggin i Zemzen wpadają do sebchy Tauorga) i Bei el Chebir, stanowiąca granicę z Syrtyką. Pozatem liczne drobne uàdi poczynają się z północnej krawędzi płaskowyżu Gebel, by zniknąć wkrótce na równinie.

Podstawą życia i uprawy rolnej są wody gruntowe. Pod całą Trypolitanją Właściwą znajduje się na głębokości od 10 do 200 metrów płyta nieprzepuszczalna, po której spływają wody podziemne. Gdzie warstwa wodonośna zbliża się do powierzchni ziemi, tam wytryskują życiodajne źródła. W wypadku, gdy woda jest na niewielkiej głębokości, kopie się studnie zwykłe, w przeciwnym razie wierci się studnie artezyjskie.

Najbogatsza w źródła i studnie jest zona el Agelat — Trypolis. Woda znajduje się tu na przeciętnej głębokości 20 metrów. W grupie oaz, znajdujących się wpobliżu granicy tunetańskiej, woda jest słonawa z powodu obecności sebch; jedynie oazy Menscia, el Gemil, Ras el Machbez i Farua mają wodę słodką. Zona el Gefara na wschód od Trypolisu jest biedna w źródła, ale ma zato dobrą wodę. Oazy wschodnie obfitują w źródła, ale z wyjątkiem Sahel el Ahamed,

całe terytorjum pomiędzy Homs i Tsammed Hassan ma źródła słonawe.

Oazy płaszczyny wewnętrznej i zony podgórskiej posiadają dobrą wodę do picia. Jedynie część wewnętrznej płaszczyny, znajdująca się na południe od Homs—Misurata, jest bardzo uboga w źródła i studnie.

Klimat Trypolitanji Właściwej, znajdując się pod wpływem morza Śródziemnego, jest zbliżony do sycylijskiego. Posiada jednak większe różnice temperatury dnia i nocy, dłuższe okresy suszy i silne prądy powietrzne.

Temperatura maksymalna dochodzi w sierpniu do $+45^{\circ}\text{C}$ w cieniu, minimalna w styczniu do 1°C powyżej zera. Przeciętne temperatur trymestru najgorętszego lipiec—wrzesień wynoszą: najwyższych $+29^{\circ}\text{C}$ i najniższych $+21^{\circ}\text{C}$; w trymestrze najzimniejszym grudzień—luty przeciętna temperatur najwyższych wynosi $+18^{\circ}\text{C}$, najniższych $+9^{\circ}\text{C}$. Przeciętna temperatura roczna ostatniego dwudziestolecia wynosi $+19,7^{\circ}\text{C}$; przeciętna temperatur rocznych najwyższych $+23,4^{\circ}\text{C}$, najniższych $+16^{\circ}\text{C}$. Przeciętna różnica temperatur dnia i nocy w miesiącu jest mniej więcej stała, natomiast poszczególne dni wykazują duże różnice i gwałtowne skoki, co wpływa ujemnie na roślinność.

Trymestr czerwiec—sierpień jest zupełnie suchy. Deszcze padają w okresie październik—grudzień; największa ilość opadów jest notowana w grudniu. W pozostałych miesiącach opady są bardzo rzadkie. Przeciętna opadów Trypolitanji Właściwej wynosi 65 mm rocznie.

Wiatry są najczęstsze na wybrzeżu, rzadsze w zapleczu, gdzie wskutek tego odczuwa się dotkliwie upały letnie. W okresie deszczów wieją wiatry północno-wschodnie, których szybkość wynosi do 65 km/godz. W trymestrze suchym przeważają wiatry północno-zachodnie. Co pewien czas wieje sirocco, zwany tu z arabska ghibli (wiatr południowo-zachodni). Zupełnie suchy, niesie tumany piasku i powoduje duże szkody, jednak nie tak okropne, jak w głębi Sahary. Następuje zawsze po nim wiatr północny, oczyszczający powietrze i przynoszący z sobą wilgoć.

Klimat Trypolitanji Właściwej jest zupełnie znośny dla Europejczyków, czego dowodem są doświadczenia na żołnierzach włoskich, wśród których wypadki zachorzenia lub też osłabnięcia prawie się nie zdarzają. Należy jednak unikać alkoholu i ubierać się starannie, odpowiednio do temperatury i pory dnia.

Brzeg morza piaszczysty pomiędzy Ras Agir i el Agelat przybiera następnie charakter skalisty. Skąły ciągną się aż poza Trypolis, by tam ustąpić miejsca długiemu pasowi diun nadbrzeżnych, przerywanych oazami, aż po Tsammed Hassan.

Miejscowości portowe, począwszy od granicy tunetańskiej, są następujące: Bu Chemmasc, dostępna tylko dla łódek i małych stateczków rybackich; Zuara, port dostępny dla statków średnich, a statki o dużym tonnażu mogą zarzucać kotwicę blisko brzegu; Marset Zuaga, mały port o bliskim zakotwiczeniu; Marset el Medina, niewielki port rybacki; Trypolis, największy port całej Trypolitanii o nowoczesnych urządzeniach technicznych dla większych statków; Zliten, niewielki port rybacki i Misurata Marina, port dla statków o małym tonnażu. Wszystkie te porty z wyjątkiem Trypolisu są niedostępne dla wielkich statków i wogóle bardzo niepewne, albowiem mają ruchome, piaszczyste dno.

Centrum kolejowe znajduje się w Trypolisie. Koleje są wąskotorowe i składają się z następujących linii: 1) Trypolis—Zanzur—Zauia—Zuara (117,8 km), 2) Trypolis—Ghiran—el Azizia—Henscir el Abiad (92,8 km) i 3) Trypolis—Fornaci—el Tagiura (21 km) z odnogą Fornaci—Ain Zara (3,5 km), razem 235,1 km. Poniższa tablica przedstawia ruch towarowy i pasażerski na kolejach trypolitańskich:

Lata	Przewóz towarów w tonnach	Przewóz pasażerów
1930/31	360.473	179.409
1931/32	231.972	146.268
1932/33	191.698	151.128

Asfaltowane szosy są następujące: 1) Trypolis—Zanzur—Zauia—Zuara (120 km), 2) Trypolis—el Tagiura—Homs—Zliten—Misurata (220 km), 3) Trypolis—el Azizia—Bu Gheilan—Garian—Tigrina (115 km), 4) Trypolis—Tarhuna (90 km); razem 545 km.

Pozatem linie komunikacyjne stanowią trakty bite i drogi karawanowe.

Trakty bite: 1) el Azizia—Bir el Ghnem—Gasr el Hag—Scecsciuch—Giosc—Tigi (240 km) do Nalut na płaskowyżu Gebel, 2) el Azizia—Tarhuna (70 km) na płaskowyżu Gebel, 3) Misurata—

Tauorga—Bir el Gheddahia—Buerat el Hsun—Tsammed Hassan,
4) Misurata—Bir Dufan—Beni Ulid na płaskowyżu wewnętrznym
i 5) Misurata Marina—Gser—Geber—Buerat el Hsun—Tsammed Hassan.

Główne drogi karawanowe: 1) Zuara—Regdalin—el Assa; 2) Zuara—el Agabria—el Votia—Bir el Hamra—Giado; 3) Zauia—el Hod—Giosc, 4) Zanzur—Bir el Chsceb—Bir el Ghnem, 5) Zanzur—Suani Ben Adem—el Azizia, 6) Zanzur—Bir Terrina—Bir Mdachem—Bir Umm el Giuabi—Jefren na płaskowyżu Gebel, 7) Trypolis—Ain Zara—Tarhuna, 8) el Tagiura—Sough el Giuma—Tarhuna, 9) Homs—el Gusbat—Gasr ed Dunn—Tarhuna, 10) Zliten—Beni Ulid, 11) Zliten—Bir Gimi—Tauorga, 12) Misurata—Bir es Scerifia—Bir Dehabia—Beni Ulid.

Największymi skupiskami ludzkimi są: Trypolis — 73.000, Misurata — 15.000, Homs — 5.000, Zuara — 5.000 i el Azizia — 2.000 mieszkańców.

Trypolitanja Właściwa oraz płaskowyż Gebel (część płaskowyżu wewnętrznego) są jedynymi częściami Trypolitanji, posiadającymi tereny, nadające się w pewnej mierze na kolonizację europejską.

Syrtyka obejmuje nadbrzeżne terytorjum od Tsammed Hassan do Bu Sceifa, pustynię Syrtyki i południowy pas, leżący u stóp gór Gebel es Soda i Harugi es Sod.

Brzeg morza przeważnie piaszczysty, gdzie niegdzie przerywany skałami (Ras es Sultan, Ras el Auegia), ma bardzo mało miejsc dostępnych dla statków. Głównym portem jest Marsa Zaafran (port Sirte), zasłonięty od północy skałami, jednak niepewny wskutek częstych silnych wiatrów, szczególnie w zimie. Pozatem małe porty rybackie Marset el Auegia i Marset el Ihudia.

Całe terytorjum Syrtyki jest bardzo ubogie w oazy. Pas nadbrzeżny posiada zaledwie trzy: Marsa Zaafran, Sirte i es Sultan, z których pierwsze dwie są odległe od siebie zaledwie o 3 km. W pustyni wewnętrznej, poza małą oazą Bu Ngem przy granicy z Trypolitanją Właściwą, zrzadka w uádi można napotkać źródółka, przy których rosną palmy daktylowe. Na południu znajdują się: grupa oaz el Giofra (Socna, Hon i Uaddan), leżąca u stóp łańcucha Gebel es Soda, i oaza Zella, leżąca na podgórzu Harugi es Sod.

Kraj jest przecięty szeregiem uádi. Wymieniam główne, licząc od zachodu: Bei el Chebir z licznymi dopływami, z których główny el Chaib, Tamet, Frana, Faras, zmieniająca w dolnym swym biegu

nazwę na el Agar, Cabarit i Faregh. (Dwie ostatnie wpadają do sebchy Mugtaa el Chebrit).

W pasie nadbrzeżnym następujące miejscowości posiadają studnie: Tsammed Hæssan, Giaref, Marsa Zaafran, Sirte, Bu Scenaf, Bir ez Zieda, er Rumia, er Muelah, es Sultan, el Aséla, Mårsa el Auégia, Marsa el Ihudia i Muctar. Grupa oaz el Giofra posiada liczne studnie, jednak z niedobłą, słonawą wodą. Dobrą słodką wodę daje jedynie studnia el Hamma w oazie Socna.

Wzdłuż brzegu morza największymi obszarami, zajętemi przez kamienistą, pokrytą żwirem pustynię, względnie ruchome piaski, są: Tsammed, Hassan, Atelet Bu Gerada, sebchet es Sultan i Mugtaa el Chebrit.

Roślinność rzadka, gatunki miejscowe zbliżone do Trypolitanji Właściwej. Fauna również bardzo biedna.

Klimat typowo pustynny. Silne wiatry. Częsty ghibli (sirocco). Rzadkie opady atmosferyczne. Duże różnice temperatur dnia i nocy.

Wartość kolonizacyjna Syrtyki jest żadna. Szos niema, główne trakty są następujące: 1) Tsammed Hassan—Sirte—es Sultan—Marsset el Auegia—Marsset el Ihudia—Muctar, wzdłuż morza i 2) Tsammed Hassan—Bu Ngem—Bu Atla—Bir Taar—oazy Giofra, wgląb kraju. Drogi karawanowe: 1) Sirte—el Fatimia—Bu Atla—Socna; 2) Sirte—Bir es Suada—en Nufilia—Bir Giofer na granicy z Cyrenajką; 3) Socna—Hon—Uaddan—Tagrift—Bir er Rissam—Bir Giofer; 4) Socna—Hon—Uaddan—Zella—Macrun—Marada w Cyrenajce.

Głównem osiedlem ludzkim jest Sirte, licząca 3.000 mieszkańców. Pozatem Socna — 1.800, Hon — 1.500, Uaddan — 1.200 i Marsa el Auegia — 1.000 mieszkańców.

Płaskowyż środkowy można podzielić na dwie części: płaskowyż Gebel i część wewnętrzną.

Płaskowyż Gebel ciągnie się wzdłuż granicy północnej. Widziany od północy, sprawia wrażenie dzikich, poszarpanych od wiatrów gór, ale w rzeczywistości poza północną krawędzią jest to lekko sfalowany płaskowyż długości 360 km i szerokości od 20 do 30 km, pochylający się od południo-zachodu ku południo-wschodowi. Obejmuje on, licząc od zachodu, obszary Nalut, Giado, Jefren, Garian, Tarhuna, i Msellata. Płaskowyż Gebel posiada stosunkowo częste opady atmosferyczne; wody spływają licznymi uadzi z jednej strony na piaski

Erghu tunetańskiego i algerskiego, z drugiej do Trypolitanji Właściwej i na pustynię Syrtyki.

Żyzność płaskowyżu wzrasta stopniowo z zachodu na wschód: obszary Nalut, Giado i Jefren — to skaliste pastwiska, przerywane gdzie niegdzie polami jęczmienia i drzewami oliwnymi; Garian, najbogatsza część płaskowyżu, pokryta polami i gajami oliwnymi; uprawia się tu również w dużych ilościach tytoń; Tarhuna, pozbawiona drzew, ale posiadająca bogate pola i pastwiska i wzgórki Mselaty, zieleniejące od drzew oliwnych.

Na obszarze Nalut głównym źródłem jest Ain Tala, dające życie osadzie Nalut, pozatem szereg źródeł w zagłębieniu Bghighila; na obszarze Giado źródła Ain Mselghin i Ain Tmuget w oazie Gennaum; na obszarze Jefren najlepszą wodę daje grupa studzien el Auenia i Rumia, z których idzie wodociąg do osady Jefren; na obszarze Garian są liczne źródła i studnie, najlepszą wodę dają et Turc i Bu Gheilan; na obszarze Tarhuna mamy tylko jedno źródło, które tworzy małą kaskadę esc Sciersciara, oraz studnie na drodze do el Azizia, z których główna jest Abiar Miggi; na obszarze Msellata studnie są nieliczne, główne z nich: ez Zaafrania, Faraun, Fagghin el Amamra.

Głównym drzewem tych okolic jest oliwka, drugie miejsce zajmuje drzewo figowe, którego owoce zastępują mieszkańcom daktyle. Wreszcie tu i ówdzie rzadka trafiają się grupy palm daktylowych, rosnących w miejscach zasłoniętych od wiatrów. Tworzą one jakby niewielkie oazy, w których są kultywowane wszelkie rodzaje drzew owocowych i warzyw. Zrzadka spotyka się winorośl.

Większe skupiska palm są następujące: Bghighila, Nalut i Hesian Nalut (na obszarze Nalut), el Brahma i Gennaun (Giado), Chicla, es Suadna, er Rumia, el Chlaifa, er Riaina (Jefren), Bu Gheilan, Ain et Turc, Miscia (Garian), Tarhuna, el Gusbat (Msellata).

Uprawa zbóż — głównie jęczmień, rzadka pszenica i żyto — bogata w rejonach Msellata, Tarhuna i Garian, znika prawie zupełnie, posuwając się ku zachodowi, gdzie ogranicza się jedynie do zasłoniętych od wiatru zagłębień. Przybiera tam natomiast duże znaczenie zbiór halfy (*Stipa tenacissima*) oraz sparto (*Lygeum spartum*), rośliny potrzebującej mało wilgoci i nieczułej na wiatry. Zajmuje ona cały obszar płaszczyzn el Asabad i es Zintan.

Część wewnętrzna o minimalnej ilości stałych miejsc zamieszka-

nia, teren plemion koczowniczych, obejmuje terytorja Gadamesu przy granicy tunetańskiej, Mizdy i Beni Ulid.

Wygląd tej środkowej części Trypolitanji nie jest jednostajny. Szeroki pas, równoległy do płaskowyżu Gebel, zwany Ghibla, jest to szereg platform, przerywany niekiedy lekko falującymi wzgórzami, biegnącymi w różnych kierunkach. Dalej na południu leży kamienisty płaskowyż Hammada el Homra z pochyłością z płn.-zach. na płn.-wsch., pokryty gęsto blokami kamiennymi i ostrym żwirem. Jest to najdzikszy i najtrudniejszy do przebycia z terenów pustynnych Trypolitanji. Na wschód od Hammada el Homra ciągnie się łańcuch górski Gebel es Soda, skalisty i trudny do przebycia, o przeciętnej wysokości 800 m, niektóre jednak szczyty przekraczają 1.000 metrów. Dalszym ciągiem Gebel es Soda są leżące już w Fezzanie góry Harugi es Sod, rozdzielające się na dwa równoległe pasma. Dalej na południe, na pograniczu z Fezzanem, leży płaskowyż Tinghart, początkowo równoległy z Hammada el Homra i skręcający następnie na południe.

Teren wewnętrzny płaskowyżu jest całkowicie pustynny. Składają się na stan ten „hammada“ (bloki kamienne), „serir“ (żwir ostry lub wygładzony) i „ramla“ (ruchome piaski). Jedyne oazy są: Gadames, Derg, Geriat, Mizda i Beni Ulid. Gdzieś tam uprawia się jęczmień (uádi Zemzem i uádi Bei). Pozatem napotyka się zrzadka halfę, rtem, sparto i talhę. Liczne ruiny rzymskie dowodzą, że okolica ta niegdyś musiała być żyzna.

Główne uádi, przecinające płaskowyż wewnętrzny, są następujące: Siah Mesced Mansur i Tenerut o kierunku południowo-zachodnim oraz Soffegin o kierunku wschodnim, wpadająca do sebhych Tauorga w Trypolitanji Właściwej.

Klimat płaskowyżu Gebel jest zbliżony do klimatu Trypolitanji Właściwej. Będąc oddalony od morza, Gebel jest równocześnie wystawiony na południowe wiatry z pustyni Ghibli, które nie spotykają żadnej zapory po drodze. Pozatem wieją często wiatry suche zachodnie oraz rzadsze północne, niosące wilgoć. W zimie zdarzają się opady śnieżne.

W wewnętrznej części płaskowyżu klimat jest wybitnie pustynny. Wieją często silne, suche i niszczące wiatry. Bardzo rzadkie opady atmosferyczne. Olbrzymie różnice temperatur dnia i nocy; termometr z $+30^{\circ}$ do $+40^{\circ}$ C w dzień spada w nocy często poniżej zera.

Główne trakty: 1) Garian—Jefren—es Zintan—Giado—Nalut;

2) Tarhuna—Beni Ulid; 3) Garian—Mizda—Gheriat—esc Scerghia—esc Sciuerel—Bir Ghelonia—Brach w Fezzanie (580 km).

Drogi karawanowe: 1) Nalut—Sinauen—Derg—Gadames, 2) Giado—Saniet el Regel—Sinauen, 3) es Zintan—Hariz el Foghi—Sinauen, 4) es Zintan—Bir Tlacsin—Bir Allag—Bir Um el Fert—Derg—Gadames, 5) es Zintan—Oglet el Gefirat—Mizda, 6) Garian—Tarhuna, 7) Mizda—Bir el Chelab—Ben Nusera—Derg—Matres—Gadames (droga ta przecina pustynię Ghibla), 8) Mizda—Chormet Chaddamia—el Garbia—et Tabunia—Duera—przełęcz el Bab na płaskowyżu Tinghert—Birghen w Fezzanie (700 km), 9) Beni Ulid—Bir Tala—el Faschia—Umm el Gorbāl—Bu Ngem w Syrtyce, 10) esc Sciuerel—Seniet Argalat—oaza Socna w Syrtyce.

Głównymi osiedlami ludzkimi są: Garian — 10.000, Gadames — 4.000, Jefren — 500, Tarhuna — 500 mieszkańców.

Oryginalne są wioski plemion koczowniczych, wiodących żywot pasterski na terenach Ghibla, Hammada el Homra i Tinghert. Służą one jako ośrodki życia plemiennego i punkty składowe i są przez większą część roku opuszczone i niezamieszkane. Takiemi centrami są: Bghighila dla plemienia el Haraba, Giosc w Trypolitanji Właściwej dla plemienia Siaan, Gasr el Hag dla plemienia Rogeban, es Zintan dla plemienia Zintan, Mizda dla plemienia Ulad Bu Sef i Beni Ulid dla plemienia Orfella.

Fezzan jest największą z czterech części Trypolitanji. Powierzchnia wynosi około 550.000 km². Jest to olbrzymi płaskowyż, wznoszący się powoli ku południowi w kierunku granicznych łańcuchów górskich Tassili i Tummo. Przecięty jest w poprzek w kierunku ze wschodu na zachód trzema większemi i trzema mniejszemi dolinami, w których koncentruje się życie.

Większe doliny, poczynając od północy, są: 1) Uàdi esc Sciati o długości około 150 km, 2) Uàdi el Agial, której część wschodnia nosi nazwę Uàdi esc Scergi, część zaś zachodnia Uàdi el Garbi, o wspólnej długości około 220 km, 3) Uàdi Bergiuse i Uàdi Etba o łącznej długości około 380 km. Mniejsze: 1) Uàdi Zellaf, prawy dopływ Uàdi esc Sciati, 2) Uàdi Engiaren, prawy dopływ Uàdi esc Scerghi i 3) dolina, zaczynająca się przed Murzukiem, a kończąca się za oazą Tmessa, o długości około 120 km. W kierunku z północo-wschodu na południe biegnie dolina, która łączy wszystkie wyżej wymienione, oraz dolina uàdi Tanzeruft, idąca w kierunku oazy Gat.

W południowo-zachodniej części Fezzanu z północy na południe w kierunku gór Tassili biegną łańcuchy górskie Acacus i Amsach. W części zaś południowo-wschodniej w kierunku Tummo biegnie łańcuch górski Gebel Bu Ghneba i jakby jego dalsze przedłużenie góry Gebel Ati.

Przestrzeń pomiędzy Uádi esc Sciati i Uádi el Agial pokryta jest ruchomymi piaskami, zwanymi tu edeiden. Pas pomiędzy uádi el Agial i uádi Bergiusc pokrywają wielkie bloki kamienne i głazy, stanowiące hamadę. Na południe od uádi Bergiusc mamy znowu piaski ruchome; pustynia ta nosi nazwę Idehan. Cała pozostała część Fezzanu są to piaszczyste edeiden i kamieniste hamada.

Pustynie zajmują $\frac{9}{10}$ terytorjum Fezzanu. Jedyłą ich roślinnością są spotykane gdzieś niegdzie suche trawy i akacja pustynna (talha).

Natomiast tereny dolin, pomimo że posiadają wodę słonawą, są przeważnie dość żyzne. Uprawia się tu jęczmień i durę (rodzaj prosa). W oazach rosną drzewa owocowe i warzywa — przedewszystkiem i niemal wyłącznie fasola. Palmy daktylowe Fezzanu dają najlepsze gatunki owoców w całej Trypolitanji.

W dolinie Uádi esc Sciati, poczynając od zachodu, znajdują się oazy: Edri, Tmissan, Uenzerich, Hatia, el Gorda, Agar, Temzaua, Brach, Escchida. W dolinie Uádi el Agial: Ubari, ed Disa, el Hatia, el Grefa, Germa, Tachertiba, Chessir, Gasr Larocu, Gasr Bendbeia, el Abiad. Dalej po przerwie trzydziestokilometrowej leżą oazy: Gedid (z wybudowanym w pobliżu fortem Sebha), Tamenhind, Semnu i es Zighen. W dolinie Uádi Bergiusc niema oaz, natomiast są liczne pastwiska. W dolinie Murzuku znajdują się oazy: Fessaua, Aggar, Murzuk, Traghen, Umm el Araneb, el Bder, Zuila, Harescia i Tmessa. Na południe od Murzuku, w dolinie Uádi Hecma, biegnącej z północy na południe, oazy: Gatron i Tegerri.

Pozatem grupa oaz Gat przy granicy algerskiej, oaza Uau el Chebir o jakie 300 km na wschód od Murzuku, oaza Fugha na drodze Sebha—Zella w Syrtyce.

Klimat Fezzanu cechują duże różnice temperatur dnia i nocy. Latem temperatura waha się od $+52^{\circ}\text{C}$ w dzień do $+15^{\circ}\text{C}$ w nocy. Zimą spada w nocy poniżej zera, nawet do -8°C . Deszczów niema zupełnie. Podstawą bytu roślinności jest rosa nocna. W dzień powietrze jest bardzo suche. Wiatry bardzo silne. Latem przeważają wiatry południowe, zimą zachodnie, wschodnie i północne.

Klimat Fezzanu jest ciężki do zniesienia dla Europejczyka, szcze-

gólnie w miejscowościach, gdzie panuje malarja. W dolinie Murzuku, w oazie Gat i w dolinie Uadi esc Sciati znajdują się błotniste jeziora, będące ogniskami malarji. Jeziora te, podsycane stale źródłami, nie wysychają pomimo gorąca.

Trakty: 1) Sebha—Umm el Abid—Socna w Syrtyce (450 km), 2) Umm el Abid—Brach—Edri, 3) Sebha—Ubari—el Auenat—Gat (660 km), 4) Sebha—Goddua—Murzuk.

Główne drogi karawanowe: 1) Zella w Syrtyce—el Fogha—Zuila—Gatron Tegerri—Tummo, 2) Brach—Sebha—Murzuk—Gatron, 3) Murzuk—Dugiāl—Tachertiba—Uenzerich, 4) Gat—el Auenat—Elauen—Tessaua—Murzuk—Traghen—el Bder—Umm el Adam—Uau el Chebir—Uau en Namus—Bir Marfuf (na wielkiej drodze karawanowej z Algeru do Cyrenajki), 5) Gat—el Auenat—Bir Tegneri—Tin Ihedan—Alghar—Tmed Temasit—Tmed—Gadames (650 km).

Głównymi osiedłami ludzkimi są: Murzuk, liczący 1.000, Gat — 1.600, Gedid — 1.000 i Brach — 1.000 mieszkańców.

IV

Pomimo wielkich wysiłków i nakładów pieniężnych, czynionych przez państwo włoskie, życie gospodarcze Trypolitanji bije słabem tętnem. Podstawami życia gospodarczego są hodowla, rolnictwo, rzemiosło i słabo rozwinięty przemysł.

Hodowlą zajmuje się przedewszystkiem ludność tubylcza. Według rocznika „La Tripolitania”, wydawanego przez Izbę Handlowo-Przemysłowo-Rolniczą Trypolitanji, stan ilościowy hodowli da się ująć w następujących okrągłych liczbach: owce — 320.000, kozy — 200.000, wielbłądy — 35.000, bydło — 20.000, osły — 20.000 i konie 3.000 sztuk. Przy brzegach Trypolitanji jest rozwinięty na większą skalę połów tuńczyka i gąbek, dający łącznego obrotu kilkanaście milionów lirów włoskich. Połowem tuńczyka zajmują się emigranci z Sycylii, połowem gąbek — emigranci greccy. Poniższa tablica podaje wielkość połowu ryb i gąbek w ostatnich trzech latach:

Lata	Wartość w lirach	
	tuńczyk i inne ryby	gąbki
1931	3.900.000	3.579.000
1932	4.684.000	3.517.000
1933	3.653.000	936.000

Rolnictwo jest skoncentrowane w oazach, na nielicznych pólkach jęczmiennych, rozrzuconych gdzie niegdzie na stepach, oraz na terenach należących do koncesjonariuszy włoskich. W Trypolitanii Właściwej, jedynej części kolonii poza pasmem płaskowyżu Gebel, gdzie jest możliwa kultura rolna w szerszym zakresie, ogólna ilość terenów, objętych uprawą, wynosi okragło 335.000 ha, z których 110.000 należy do koncesjonariuszy; pozatem według obliczeń Urzędu Kolonizacyjnego okolo 90.000 ha nadaje się do kolonizacji. Kultura rolna obejmuje głównie uprawę palm daktylowych, drzew oliwnych, winorośli, jęczmienia i pszenicy, tytoniu, krzewów i ziół leczniczych, warzyw i t. p.

Palma daktylowa jest podstawą rolnictwa tubylczego na całej przestrzeni kraju. Daktyle, obok maki jęczmiennej i mięsa owczego, stanowią pożywienie ludności miejscowej oraz przedmiot eksportu w wysokości okolo 10% ogólnej produkcji; pozatem drewno i liście palmy służą jako budulec i opał; ogólny zbiór daktyli wynosi przeciętnie okragło okolo 25.000 tonn.

Z daktyli wydobywa się również w dystylarniach alkohol; z soku palmy wyrabiają tubylczy trunek wysokowy „legghi“, t. zw. wino palmowe.

Uprawa drzew oliwnych głównie kwitnie w pasie nadbrzeżnym Trypolis—Homs i na płaskowyżu Gebel. Produkcja oliwy wynosi okolo 100.000 q rocznie. Oliwa stanowi przedewszystkiem artykuł miejscowego spożycia i w nieznacznych ilościach wywozi się ją do Cyrenajki. Kultura winorośli zaczęta została w koncesjach włoskich w 1926 roku, rozwija się pomyślnie i daje dobre owoce. Pozatem, prócz miejscowego drzewa figowego, w koncesjach rozpowszechnia się kultura migdałów, pomarańcz, cytryn, brzoskwiń, moreli, granatów, jabłek i gruszek. Urząd rolnictwa zwrócił specjalną uwagę na kulturę drzew morwowych i hodowlę jedwabników. W okolicach podmiejskich kultywują rycynusy, które rosną również dziko; zawartość oleju w nasionach wynosi ponad 50%.

Podstawowem zbożem tubylczem, spotykanem we wszystkich miejscowościach Trypolitanii, nadających się do uprawy rolnej, jest jęczmień; obszar uprawy i wielkość produkcji jęczmienia stale wzrastają. Obecnie produkcja pokrywa całkowicie miejscowe zapotrzebowanie, a jeszcze w roku 1924 import wynosił okolo 16.000 tonn, wartości 16,000.000 lirów włoskich. Prócz jęczmienia rozwija się w koncesjach uprawa pszenicy i w mniejszym stopniu kukurydzy.

Specjalną uwagę zwrócono na uprawę tytoniu, którą zajmuje się ludność miejscowa, a ostatnio również i koloniści włoscy. Uprawa tytoniu jest skoncentrowana przede wszystkim w oazach przybrzeżnych: Trypolis, Zanzur, Zauia, Sorman i Sabratha, gdzie rosną gatunki lokalne. Ostatnio uprawa tytoniu zaczęła rozwijać się na płaskowyżu Gebel w okolicach Garianu i Msellaty, gdzie doskonale udają się gatunki lewantyńskie. Produkcja przednich gatunków tytoniu wynosi ponad 50.000 kg. Propagandą uprawy tytoniu zajmuje się specjalna agencja, podlegająca urzędowi monopolów Trypolitanji.

Z rosnących dziko traw duże znaczenie gospodarcze mają halfa (*Stipa tenacissima*) i sparto (*Lygeum spartum*), pokrywające wielkie przestrzenie, głównie w rejonach Sinauen, Nalut, Giosc, Zuara, Garian, Tarhuna, Gusbat, Homs i Orfella, łącznej powierzchni około 500.000 ha. Halfa ma dużą wartość przemysłową, albowiem zawiera do 50% celulozy. W latach 1881—1887 eksport wynosił 70.000—80.000 tonn, przyczem do roku 1918 kierowany był niemal wyłącznie do Anglii. Z powodu konkurencji Tunisu i Algeru, eksport halfy znacznie osłabł i ludność przestała zajmować się jej zbiorom. Włochy, pragnąc oprzeć na zbiorach halfy libijskiej samowystarczalność w przemyśle celulozowym, zwróciły baczną uwagę na ten rodzaj tubylczej produkcji rolnej. Wydatny i stały rozwój sieci dróg w kolonii siłą rzeczy wywiera dodatni wpływ na zwiększenie zbiorów. Prócz halfy zbiera się również sparto, mające jednak o wiele mniejsze znaczenie handlowe. Mieszaniny włókien halfy i sparto używają do plecenia sznurów, sieci, wyrobów koszykowych i t. p.

Również do charakterystycznych tubylczych kultur rolnych należy uprawa henny (*Lawsonia inermis*), skoncentrowana w pobliżu Trypolisu w okolicach Soughel Gjuma i el Tagiura, zajmując około 175 ha i dając produkcję około 200—250 tonn rocznie. Zbiór henny odbywa się trzy razy do roku: w czerwcu, sierpniu i grudniu. Najlepszy jest zbiór czerwcowy. Henny używa się w kosmetyce, farbiarstwie i farmacji — idzie ona przeważnie na eksport do Algeru, Tunisu i Malty.

Niezwłocznie po okupacji Trypolitanji powołano specjalną misję rolniczą pod kierownictwem Franchettiego dla zbadania możliwości kolonizacyjnych i już w 1914 roku rozpoczęła się kolonizacja. Jako zasadę przy kolonizacji przyjęto, że ziemie tubylcze, co do których prawo własności zostało stwierdzone przez miejscowe władze

tubylcze, lub na podstawie dokumentów tureckich, zostały wyłączone z kolonizacji. W końcu 1922 roku został utworzony urząd kolonizacyjny. Wielkość działek, przeznaczonych do kolonizacji, wynosi: dla małej własności do 75 ha, dla średniej od 75—400 ha, dla większej od 400—1000 ha i wyżej. Koszt doprowadzenia do stanu kultury wynosi na małych działkach 3.000—3.500 lirów od ha, na dużych zaś 1.200—1.500 lirów. Dekretem z 12 lipca 1923 r. powołano do życia Cassa di Risparmio della Tripolitania (Kasa Oszczędnościowa Trypolitanji) z kapitałem zakładowym 3.000.000 lirów, która, poza normalnymi funkcjami, ma za zadanie udzielanie kredytów koncesjonariuszom rolnym. Prócz tego Kasie przyznano specjalny fundusz w wysokości 10.000.000 lirów na cele kredytu rolnego. W końcu 1923 r. powierzchnia przeznaczona na kolonizację wynosiła 202.827 ha, oddana koncesjonariuszom 132.864 ha, będąca pod uprawą 109.858 ha. Obecnie kolonizację rolniczą włoską reprezentuje około 1.300 rodzin osadników. Większy rozwój ruchu kolonizacyjnego datuje się od roku 1926, t. j. od chwili wzmocnienia się regime'u faszystowskiego, przyczem ostatnio uwaga jest zwrócona głównie na Cyrenajkę.

Poniższe tablice dają dokładny obraz stanu kolonizacji rolnej (według „Annuario Statistico Italiano” z r. 1934):

Mała własność w ha		Średnia własność w ha		Większa własność w ha		Razem
0,01—25	26—75	76—200	201—400	401—1000	ponad 1000	w ha
ilość gospodarstw						
224	119	61	38	42	29	513 *

* W tem 431 należących do jednego właściciela i 82 do więcej niż jednego właściciela.

Wartość budowli, urządzeń technicznych oraz maszyn i narzędzi rolniczych

Rodzaj inwestycji	Wartość w lirach
Budynki	43.000.000.—
Ogrodzenia	790.000.—
Urządzenia hydrauliczne, elektryczne i t. d.	48.400.000.—
Maszyny i narzędzia rolnicze	3.600.000.—
Inwestycje razem	95.790.000.—

Sadownictwo

Rodzaj roślin	Powierzchnia w ha	Ilość	Wartość w lirach
Drzewa oliwne . .	54.742	1.789.700	35.794.000
Drzewa migdałowe	14.271	2.112.000	22.500.000
Winorośle	6.040	18.120.000	54.000.000
Morwy	579	57.900	290.000
Inne.	438	67.900	682.000
Ogółem			113.266.000

Kredyty rolne i wkłady
w „Cassa di Risparmio della Tripolitania“

	Kredyty rolne		Wkłady w lirach (31/XII)
	Ilość	Suma w lirach	
1924—29	12.585	35.373.000	15.332.000 16.657.000 20.651.000
1930	4.538	12.734.000	
1931	3.371	17.035.000	
1932	8.143	11.665.000	
1933	365	8.673.000	
Ogółem	29.002	85.480.000	

Pod względem bogactw kopalnych, jak można wnioskować z dotychczasowych badań geologicznych, Trypolitanja jest również krajem biednym. Właściwie można brać pod uwagę zaledwie trzy pozycje: sól, natron i siarkę.

Znaczne pokłady soli znajdują się w Mellaha, Tauorga, Zauia, Bu Kammash. Saliny Mellaha leżą 14 km na wschód od Trypolisu. Organizacja techniczna, zaczęta w roku 1914, zakończona została całkowicie w 1923 roku. Roczna produkcja wynosi przeciętnie 15.000—17.000 tonn. W salinach Bu Kammash produkcję zaczęto w roku 1924. W odległości 9 km na wschód od Bu Kammash znajdują się dwie naturalne saliny Mellahet el Bu Numa i Mellahet el Brigh o łącznej powierzchni 50.000 km². Latem saliny te są pokryte twardą krystaliczną powierzchnią soli grubości 6—8 cm. W Bu Kammash zaczęto produkcję siarczanów magnezu i potasu.

W Fezzanie, w miejscowości Bahr el Trona około Murzuku, znajdują się obszerne złoża natronu. Znaleziono tam rudę zawierającą do 94% dwuwęglanu sodu (Na₂ CO₃). Znaczna odległość od

portu i wynikająca stąd drożyzna przewozu drogą karawanową lub samochodami ciężarowymi wzdłuż traktu, czyni eksploatację nierentowną. Złóża siarki znajdują się we wschodniej części Syrtyki na pograniczu z Cyrenajką; znaczne pokłady znajdują się pozatem na wybrzeżu koło sebhcy El Magta, gdzie występują na powierzchni i zawierają około 50% siarki.

Rzemiosło tubylcze, pomimo że posługuje się prymitywnymi środkami produkcji, stoi na wysokim poziomie artystycznym. Z produktów wytwórczości tubylczej wymienić należy kilimy wełniane, których ośrodkiem wyrobu jest Misurata, wyroby z mosiądzu, srebra, złota i kości słoniowej o bardzo misternej rzeźbie, z drzewa i skóry z ciekawymi aplikacjami. Pozatem dla potrzeb ludności miejscowej wyrabia się burnusy, tkaniny ręczne wełniane i jedwabne, fezy oraz wyroby gliniane.

Przemysłu w szerszym tego słowa znaczeniu Trypolitanja nie posiada. Z ważniejszych przedsiębiorstw wymienić należy: Distilleria della Tripolitania, wydobywającą alkohol z daktyli i fig, fabrykę trypolitańskiego monopolu tytoniowego, fabrykę celulozy, wydobywanej z halfy i sparto, duży browar produkujący piwo z miejscowego jęczmienia oraz kamieniołomy wapienia, zbliżonego do trawertynu, w el Azizia.

Przemysł hotelowy pomimo słabego, jak na stosunki włoskie, ruchu turystycznego, jest reprezentowany przez szereg pierwszorzędnych hoteli. Luksusowy „Grand Hotel” w Trypolisie ma filje w Homs, Misurata i Garian.

Handel reprezentuje szereg filij i przedstawicielstw firm włoskich. Pozatem rozwinięty jest drobny handel wyrobami oryginalnego tubylczego rzemiosła arabskiego i żydowskiego.

Import kilkakrotnie przewyższa eksport. Główne przedmioty wwozu stanowią: zwierzęta, produkty żywnościowe i tytoń, metale i wyroby z metali, materiały i wyroby włókiennicze; materiały i przetwory chemiczne i farmaceutyczne; minerały, wyroby ceramiczne i szklane, drzewo i wyroby drzewne. Główne zaś przedmioty wywozu: tuńczyk solony i w konserwie, gąbki surowe, masło owcze, skóry niewyprawione owcze, kozie i inne, henna, daktyle, halfa i sparto, wełna, kilimy i sól kuchenna. Wwóz z Włoch wynosi około 65% ogólnego wwozu, pozatem po kilka procent wynosi wwóz z Chin, Wielkiej Brytanji, Francji, Tunisu, Niemiec i Egiptu. Wywóz do Włoch wynosi około 50% i ponad 10% do Tunisu.

Wielkość przywozu i wywozu w ostatnich latach przedstawia poniższa tablica:

Rok	Przywóz	Wywóz
1931	185.083.000	29.711.000
1932	160.568.000	29.277.000
1933	153.043.000	28.608.000

Bankowość reprezentują filje: Banca d'Italia, Banca di Roma, Banca di Napoli, Banca di Sicilia. Pozatem lokalne instytucje finansowe, jako to: Cassa di Risparmio z filjami w Misurata, Homs i Garian, oraz Cassa di Piccolo Prestito (Kasa Pożyczkowa).

Towarzystwa ubezpieczeniowe reprezentowane są przez filje triesteńskiego Riunione Adriatica di Sicurtà, florenckiego La Fondiaria oraz rzymskich Assicurazioni d'Italia i Istituto Nazionale Fascista contro Infortuni su Lavoro.

Komitet „Fiera di Tripoli” urządza doroczne wystawy kolonialne. Komitet „Ente Turistico” dba o wzmożenie ruchu turystycznego, który ma stosunkowo słabe widoki rozwoju i ogranicza się, z braku odpowiednich dróg, do Trypolitanji Właściwej, Gebelu i oazy Gadamés. Automobil-Klub Trypolitanji urządza słynne doroczne wyścigi samochodowe, z którymi jest związana loteria trypolitańska; dochody z niej są przeznaczone na cele opieki społecznej.

Stałe towarowo-pasażerskie linie morskie, łączące Libję z metropolią, są następujące: Trypolis—Malta—Syrakuzy—Neapol—Genua i Bengasi—Syrakuzy—Neapol—Genua, na których statki odchodzą dwa razy w tygodniu; Trypolis—Tunis—Cagliari—Civitavecchia—Genua i Trypolis—Syrakuzy—Neapol raz w tygodniu, a pozatem raz na dwa tygodnie Tunis—Trypolis—Bengasi—Derna—Aleksandria.

Obrót towarowy i pasażerski w porcie Trypolis podaje poniższa tablica:

Rok	Tonaż statków netto		Obrót towarowy w tonnach		Ruch pasażerski	
	Weszło	Wyszło	Weszło	Wyszło	Przyjech.	Wyjech.
1929	759.845	757.290	149.848	43.271	26.016	26.390
1930	899.723	902.162	162.144	46.497	25.072	23.493
1931	948.744	947.294	168.517	46.953	23.279	20.444
1932	906.848	905.140	168.823	33.510	21.859	17.383
1933	935.697	937.823	172.960	33.078	28.304	24.202

Stałe komunikacje lotnicze są następujące: codziennie Trypolis—Syrakuzy—Neapol—Rzym i Bengasi—Syrakuzy—Neapol—Rzym, a pozatem raz w tygodniu Trypolis—Bengasi.

Poniższe państwa posiadają swe konsulaty i reprezentacje w Trypolitanji z siedzibą w Trypolisie: Anglja, Francja (Tunis i inne kolonje), Holandja, Hiszpanja, Grecja, Niemcy, Szwecja, Danja i Norwegja.

Prasa jest stosunkowo słabo rozwinięta. Wychodzi tylko jeden dziennik społeczno-polityczny „Avvenire di Tripoli”. Pozatem tygodnik gospodarczy „La Tripolitania Agricola”; dwutygodniki: społeczno-literacki „Tripolitania”, urzędowy „Bollettino Ufficiale del Governo della Tripolitania” i ekonomiczny „Bollettino della Camera di Comercio, Industria ed Agricoltura della Tripolitania”; miesięczniki — medyczny „Archivio Italiano di Scienze Mediche Coloniali” i katolicki „Famiglia Christiana”, oraz dwumiesięcznik artystyczno-literacki „Rivista della Tripolitania”. W języku arabskim wychodzą dwa tygodniki „El Adel” (Prawo) i „Rakib el Atid” (Obserwator na Posterunku).

Ośrodkiem życia gospodarczego i społecznego Trypolitanji oraz jej centrum administracyjnem jest Trypolis, stolica licząca 73.000 mieszkańców. Pstrokaczną stosunków lokalnych charakteryzuje skład narodowościowy ludności miasta. Ludność europejska składa się przedewszystkiem z 20.000 Włochów, 2.000 Maltańczyków (obywateli angielskich), 500 Greków, 100 Francuzów, 60 Turków, 40 Hiszpanów, oraz małe grupki Portugalczyków, Niemców, Rosjan, Holendrów i Bułgarów. Polskę reprezentuje rodzina kupiecka pp. Gadzińskich, jedna z najzamożniejszych w Trypolitanji. Ludność tubylcza składa się z 35.000 Arabów, przeważnie rytuału „malechita” i niewielkiej ilości rytuału „hanefita”, pozatem z 14.000 Żydów. Pozostali są to murzyni sudańscy i mieszkańcy wszelkich ras. Cechą charakterystyczną życia miasta jest brak ostrego podziału rasowego. Uderza tylko silny antagonizm arabsko-żydowski.

V

Na szkolnictwo, którem kieruje Wydział Spraw Cywilnych i Politycznych, stanowiący jeden z pięciu wydziałów Sekretarjatu Spraw Cywilnych Kolonji, zwrócono znaczną uwagę. Są następujące typy szkół: 1) ogródki dziecięce, 2) szkoły elementarne niższe i wyższe, 3) szkoły zawodowe niższe, 4) szkoły średnie ogólno-kształcące handlowe i techniczne, 5) szkoły koraniczne i talmudyczne.

Szkoły państwowe są następujące: 2 ogródki dziecięce w Trypolisie (jeden specjalnie dla trachomatyków), 24 szkoły elementarne niższe, z których 5 w Trypolisie, 2 w Homs, a reszta rozszana po całej Trypolitanji, w tej liczbie najbardziej na południe wysunięta w Gat (1.700 km w głąb kraju); 10 szkół elementarnych wyższych, z których 5 w Trypolisie i po jednej w Homs, Misurata, Sough el-Gjuma, Zuara i Garian. 2 niższe szkoły zawodowe w Trypolisie (żeńska szkoła szycia i gospodarstwa domowego, muzułmańska żeńska szkoła gospodarstwa domowego) i 4 szkoły średnie (2 gimnazja, szkoła handlowa i szkoła rzemiosł i sztuki stosowanej dla ludności tubylczej). We wszystkich szkołach językiem wykładowym jest język włoski (nauka języka arabskiego obowiązuje).

Następnie 8 szkół prywatnych korzysta z subwencji państwowej: 6 w Trypolisie (katolicki ogródek dziecięcy, sierociniec dla dziewcząt Narodowego Związku Włoskiego Pomocy Misjonarzom, sierociniec Sióstr Franciszkanek, szkoła elementarna męska wikarjatu apostolskiego, katolicka szkoła elementarna żeńska i żeńska szkoła elementarna Narodowego Związku Włoskiego Pomocy Misjonarzom) oraz 2 w Homs (żeńska elementarna szkoła Narodowego Związku Włoskiego Pomocy Misjonarzom i żeńska szkoła rzemiosł).

Do szkół prywatnych, niekorzystających z zapomóg państwowych, należą 4 szkoły w Trypolisie, a mianowicie: elementarna szkoła gminy greckiej, żydowska elementarna „Alliance Israelite Universelle“, żydowska wyznaniowa „Talmud Tora“ oraz żeńska muzułmańska szkoła elementarna.

Szkół koranicznych wyższego typu Trypolitanja liczy dwadzieścia, rozszanych po całym kraju; pozatem niższa szkoła koraniczna znajduje się przy każdym prawie meczecie. Również szkoły talmudyczne mieszczą się przy każdej synagodze. Zaznaczyć należy, że wśród ludności żydowskiej procent analfabetów jest minimalny.

Wyższego zakładu naukowego Libja wogóle nie posiada.

VI

Życie społeczne ogniskuje się w szeroko rozgałęzionych związkach społeczno-politycznych, wojskowych, kulturalnych, dobroczynnych, towarzyskich, sportowych oraz religijnych.

Związki społeczno-polityczne są następujące: Opera Balilla (Balilla, Piccole Italiane, Avanguardia, Giovani Italiane), Dopolavoro oraz Federazione Fascista della Tripolitania. Ruchem faszystow-

skim w Trypolitanii kieruje Sekretarz Federalny sekcji trypolitańskiej Partito Nazionale Fascista.

Do liczby związków wojskowych należą: Związek Narodowy Byłych Kombatantów, Związek Narodowy Ochotników Wielkiej Wojny, Związek Narodowy Inwalidów, Assoziacione Nastro Azzuro oraz Związek Narodowy Matek i Wdów po Poległych.

Związki kulturalne są następujące: Sekcja „Società nazionale Dante Alighieri“, towarzystwo teatru amatorskiego „Ars Electa“ oraz teatr amatorski domu żołnierza. Prócz tego żydowskie teatry amatorskie „Makkabi“ i „Gioventù Israelitica Tripolitana“.

Organizacje społeczne i dobroczynne są następujące: Włoski Czerwony Krzyż, Società Tripolina di mutuo Soccorso, Włoskie Towarzystwo Dobroczynności, Kropla Mleka, oraz żydowskie „Bekor Holim“ (towarzystwo niesienia pomocy chorym) i żydowski dom starców.

Związki charakteru towarzyskiego są następujące: Klub Wojskowo-cywilny, Klub „Cannottieri“ oraz żydowskie: Klub „Makkabi“ i „G.I.T.“ (Klub Młodzieży Żydowskiej).

Ruch sportowy i organizacje sportowe są, jak w całych Włoszech, szeroko rozwinięte. Do liczby ich należą: Trypolitański Automobil-Klub, Circolo di Tiro al Piccione, Società Tripolina per l'incremento delle razze equine, urządzająca doroczne wyścigi konne, Moto-Klub, Tennis-Klub, Klub Myśliwski, Klub Wioślarski oraz szereg klubów piłki nożnej. Pozatem żydowski klub „Makkabi“, obejmujący wszystkie gałęzie sportu. Stosownie do tego Trypolis obfituje w odpowiednio urządzone tereny sportowe. Pozatem Trypolis posiada świetnie urządzone kąpielisko morskie, t. zw. „Lido“, przynoszące znaczne dochody.

Do najważniejszych katolickich związków religijnych należą: Związek Mężczyzn Katolików, Związek Kobiet Katolickich, Związek Dzieci Katolickich oraz Związek Franciszkanów.

Ludność muzułmańska jest zorganizowana w związki religijne. t. zw. „zavie“, mające swe siedziby przy poszczególnych meczetach.

Trypolis posiada pięć kościołów katolickich (najbardziej godne uwagi są katedra i kościół Białych Sióstr), jeden kościół obrządku wschodniego (grecki), szereg meczetów z Karamanli i Gurgi na czele, oraz dwie synagogi. Kościoły katolickie są jeszcze w Sabratha, Homs, Misurata. Garian i Brach.

VII

Gubernatorowi bezpośrednio podlegają: wicegubernator Cyrenajki, sekretarz generalny, stojący na czele wszystkich spraw cywilnych oraz dwaj dowódcy sił zbrojnych w Trypolitanii i Cyrenajce.

Sekretariat Spraw Cywilnych dzieli się na pięć wydziałów: 1) Wydział Spraw Cywilnych i Politycznych, 2) Wydział Spraw Ekonomicznych i Finansowych, 3) Wydział Rolnictwa, 4) Wydział Rachunkowości i 5) Wydział Personalny i Spraw Ogólnych.

Od Wydziału Spraw Politycznych i Cywilnych zależą: policja, poczta, koleje, oświetlenie, więzienia, szpitale, roboty publiczne, własność ziemska, szkolnictwo i opieka nad zabytkami. Nawiasem zaznaczyć należy, że Libja posiada wspaniałe zabytki rzymskie w Leptis Magna, Sabratha i Cirene oraz rozsiane po całym obszarze kolonji.

Od Wydziału Spraw Ekonomicznych i Finansowych zależą: cła, podatki, monopole, finanse, kasy oszczędności, Instytut Narodowy Ubezpieczeń, Kasa Narodowa Ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków, Izba Handłowa, porty, sekcja sztuki stosowanej.

Od Wydziału Rolnictwa zależą: wszystkie kwestje administracyjne, związane z rolnictwem i hodowlą, podwydział ziemski, biuro kolonizacji, doświadczalna stacja rolnicza, biuro zoo-techniczne, dział meteorologii.

Od Wydziału Rachunkowego zależą: rachunkowość oraz kontrola finansowa wszystkich wydziałów i majątku kolonji.

Od Wydziału Personalnego i Spraw Ogólnych zależą: sprawy personalne, sprawy ogólne, archiwum, biblioteki i biuro przekładów.

Pod względem administracyjnym, do wejścia w życie dekretu z dn. 3/XII 1934 roku, Trypolitanja dzieli się na trzynaście komisarjatów: Trypolis (z siedzibą komisarza w Trypolisie), Zauia (z siedzibą w Zauia), komisarjat granicy zachodniej (z siedzibą w Zuara), Gefara (z siedzibą w Sough el Gjuma), Leptis (z siedzibą w Homs), wschodni (z siedzibą w Misurata), Garian (z siedzibą w Garian), Jefren (z siedzibą w Jefren), Nalut (z siedzibą w Nalut), południowy (z siedzibą w Mizda), Fezzan (z siedzibą w Sebha), Sirtica (z siedzibą w Sirte) i Gadames (z siedzibą w Gadames). W niektórych z tych komisarjatów funkcje komisarza pełni dowódca lokalnych sił zbrojnych.

Na organizację sądownictwa składają się: Trybunał Najwyższy Kolonji, Sąd Karny, Trybunał Rejonowy w Trypolisie, Prokura-

torja i Notarjat, sekcja Trybunału Najwyższego w Misurata oraz Sądy Okręgowe. Pozatem w Trypolisie znajdują się konsystorz rzymsko-katolicki, trybunał muzułmański (oraz podległe mu sądy szarytyczne) i trybunał rabinatu.

W Trypolisie ma swą siedzibę Izba Handlowo-Przemysłowo-Rolnicza oraz wymieniony wyżej komitet autonomiczny „Fiera di Tripoli” i „Ente Turistico”.

Gubernatorem Libji, jak już zaznaczyliśmy wyżej, jest obecnie marszałek Italo Balbo, sekretarzem generalnym jest komandor Bruni, dowódcą sił zbrojnych Tripolitanji generał Siciliani, a Cyrenajki p. o. dowódcy generał Nazi. Prezydentem miasta Trypolisu jest komandor Perugini, biskupem rzymsko-katolickim monsignior Tonizza, szefem gminy arabskiej książę Karamanli.

VIII

Trypolitanja posiada wojska lądowe, morskie i powietrzne.

Dowództwo królewskiego korpusu wojsk lądowych Trypolitanji mieści się w Trypolisie. Szeregi tworzą Włosi ochotnicy (dla Włochów mieszkających w Libji służba wojskowa w wojskach kolonjalnych jest obowiązkowa) i tubylcy, rekrutowani ochotniczo na terytorjach Libji i Erytrei. Każda z wymienionych grup tworzy osobne oddziały. Organami dowództwa korpusu są: szef sztabu, komendanci zon i dowódcy poszczególnych broni.

Szeregi wojsk lądowych trypolitańskich w czasie pokoju składają się: z piechoty, jazdy, artylerji, wojsk technicznych i żandarmerji. Piechota: bataljon milicji kolonjalnej faszystowskiej, dwa bataljony piechoty włoskiej „Cacciatori”, sześć bataljonów arabskich „libici” i sześć bataljonów erytrejskich „eritrei”. Jazda: szwadron spahisów, siedem szwadronów kawalerji arabskiej „savari” i siedem szwadronów „sahariani” (jazda na wielbłądach) oraz kompanja konnej policji. Pozatem dwa bataljony artylerji, kompanja saperów, kompanja łączności, kompanja radjo-telegraficzna, pułk samochodowy, kompanja kolejowa, kompanja intendentury, specjalny pluton sanitarny, oraz kompanja żandarmerji.

Dowództwo marynarki zostało utworzone dnia 1 czerwca 1924 roku. Do zadań jego należy służba wywiadowcza i ochrona brzegów Libji.

Dowództwo lotnictwa pod względem technicznym zależy od ministerjum lotnictwa. W skład grupy lotniczej wchodzi: szwadron

aparatów myśliwskich typu „S.V.A.“, eskadra ciężkich samolotów bombardujących typu „Caproni“, kompanja obsługi, warsztaty i gabinet fotograficzny. Główne lotnisko mieści się w Mellaha pod Trypolisem. Pozatem stałe lotniska znajdują się w Homs, Zuara, Tarhuna, Misurata, Gadames, Hon i Sebha. Szereg innych miejscowości posiada prowizoryczne lotniska.

Pod względem wojskowo-administracyjnym Trypolitanja dzieli się na cztery zony militarne: Tripoli, Gebel, Sirtica i Fezzan; ostatnie trzy dzielą się z kolei na podzony: Gebel (z siedzibą zony w Garian) — podzony Mizda, Garian, Gadames; Sirtica (z siedzibą w Sirte) — podzony Sirte i Hon; Fezzan (z siedzibą w Sebha) — podzony Gat, Murzuk i Brach.

IX

Oto obraz tej, tak mało znanej w Polsce, kolonii włoskiej. Mają rację Włosi, gdy mówią: „mamy dużo, a właściwie nie mamy nic“. Olbrzymie pustynne przestrzenie piasku, żwiru i głazów. Dotychczasowe badania geologiczne w poszukiwaniu złóż kopalin nie dały dodatnich wyników, ani też pomyślnych widoków na przyszłość. Nikłe są możliwości powiększenia hodowli i rozszerzenia terenów uprawnych. Nieliczna i biedna ludność tubylcza. W rezultacie metropolja nie może liczyć ani na dostawę surowców i środków żywnościowych, ani na zbyt własnej produkcji przemysłowej.

Przeludnione Włochy potrzebują terenów dla kolonizacji. Jednak pomimo niezmiernie słabego zaludnienia obszary Trypolitanji i Cyrenajki przedstawiają minimalne możliwości kolonizacyjne. Akcja kolonizacyjna, prowadzona przez państwo konsekwentnie i wytrwale z nadzwyczajnym nakładem sił i środków, na bardzo wysokim poziomie agro-technicznym, siłą konieczności daje bardzo skromne wyniki i niema widoków szerszego rozwoju w bliższej i dalszej przyszłości. Poza Trypolitanją Właściwą, płaskowyżem Gebel oraz nadbrzeżnym pasem Cyrenajki, o kolonizacji wogóle nie może być mowy. Jednak i na tych, względnie żyznych i posiadających wodę podskórną obszarach, lepsze tereny już dawno zostały zajęte przez ludność tubylczą. W rezultacie, pomimo wielkich nakładów finansowych, ekonomiczna sytuacja koncesjonariuszy włoskich jest ciężka. W głębi kraju ekspansja włoska ogranicza się do budowania sieci dróg strategicznych i fortów wojskowych, albowiem dla państwa włoskiego Libja ma znaczenie nie sama przez się, lecz raczej jako punkt wypadowy

dla ekspansji kolonjalnej. Z tych pobudek zrodził się również projekt budowy kolei trans-saharyjskiej z Trypolisu do jeziora Czad. Hasło tej ekspansji znalazło swój wyraz w słowach libijskiej „giovinezzy”: *Dunque muovan gli sahariani, con l'indomito furore, a piantar il tricolore, oltre Tummo, fino al Ciad* (A więc ruszają saharjanie z niepoahamowanym zapalem, by wbić sztandar trójkolorowy poza Tummo, aż nad Czad).

Posiadanie Libji ma dla Włoch przedewszystkiem znaczenie strategiczne, stwarzając niezbędną bazę operacyjną dla floty i podnosząc odpowiednio jej wagę gatunkową na morzu Śródziemnem. Jednak na drodze z Sycylii do Libji leży angielska Malta. Szeroka opinia publiczna włoska bardzo żywo reaguje na ten stan rzeczy, uważając Maltę za ziemię etnograficznie włoską, a okupację jej przez Wielką Brytanię jako cierń wbity w żywe ciało Włoch. Pozatem wyczuwa ona słusznie, że posiadanie Malty znakomicie wzmogłoby rolę i znaczenie Włoch na morzu Śródziemnem.

Libja, wchodząca klinem pomiędzy strefę wpływów i interesów Francji i Anglii, wprowadza Włochy, jako trzeciego partnera, w orbitę gry interesów kolonjalnych w Północnej Afryce. Pamiętać należy, że zarówno sfery rządowe, jak i najszersze masy społeczeństwa włoskiego, są całkowicie jednomyślne w opinii, iż rozszerzenie posiadłości kolonjalnych jest żywotnym interesem i nieodzowną koniecznością dla państwa i narodu, oraz że traktat wersalski dotkliwie pokrzywdził pod tym względem Włochy. Rozszerzenie możliwości ekspansji włoskiej w Tunisie, „uregulowanie” granic Libji, Czad, Kamerun — są to etapy kolonjalnych zamierzeń włoskich. Krótko i węzłowato: „rewizja mandatów, a nawet i posiadłości kolonjalnych w sensie bardziej sprawiedliwego ich podziału w stosunku do naszego kraju, który odznacza się pracowitością i bujnością demograficzną” (*exposé Palazzo Chigi z okazji Decennale della Rivoluzione Fascista*).

W ostatnim kwartale 1934 roku aktywność kolonjalnej polityki faszystwu uzewnętrzniła się w trzech faktach, następujących po sobie w krótkich odstępach czasu. Wizyta królewska w Somali, graniczny zatarg włosko-abisyński, wreszcie rozmowy na tematy afrykańskie podczas wizyty Laval'a w Rzymie.

Rozmowy rzymskie przyniosły Włochom wyraźne sukcesy kolonjalne. W szczególności południowa granica Libji została przesunięta dalej na południe. Nowa granica idzie od Tummo, końcowego punktu granicy ustalonej w porozumieniu paryskim z 12 września

1919 roku, do przecięcia zachodniej granicy Sudanu anglo-egipskiego pod 24° długości wschodniej od Greenwich i 18° 45' szerokości północnej. W ten sposób do Libji włoskiej doszły Aozu, Jebbi, Suma, Guezenti i Ouri, łącznie 114.000 km².

Na terenie Tunisu polityka kolonialna włoska także odniosła poważny sukces. Została zawarta konwencja, zgodnie z postanowieniami której sprawę obywatelstwa emigrantów włoskich rozwiązano w sposób następujący: dzieci obywateli włoskich, urodzone w Tunisie do 1945 roku, zachowują również obywatelstwo włoskie, dzieci urodzone w latach 1945—1965 będą miały prawo wyboru obywatelstwa, urodzone zaś po roku 1965 będą już posiadały obywatelstwo francuskie. Szkolnictwo włoskie od 1955 roku będzie traktowane jako szkolnictwo prywatne, podległe administracji francuskiej. W ten sposób umocniony został na okres trzydziestolecia włoski narodowy stan posiadania w Tunisie, wiążąc jednocześnie ekonomicznie Tunis z Libją.

Organizacja Libji, prowadzona wytrwale z olbrzymim nakładem sił i środków oraz z wielką umiejętnością, jest probierzem zdolności kolonizacyjnych państwa włoskiego, szkołą dla przyszłych wielkich zadań kolonialnych, symbolem mocarstwowości i potęgi państwa, oraz ambicją faszystów, który pragnie kroczyć śladami wielkości dawnego imperjum rzymskiego.

Reasumując — Libja ma dla Włoch znaczenie strategiczne, polityczne, prestiżowe i moralne. Dlatego więc gubernatorem Libji został najbardziej popularny po Mussolinim bohater faszystowskich Włoch, marszałek Italo Balbo. Mianowanie Balbo gubernatorem Libji ma ogromne znaczenie. Dla społeczeństwa włoskiego jest to rękojmia, że faszyzm zrealizuje swoje zamiary i przyrzeczenia kolonialne — dla świata zaś stwierdzenie wagi, jaką Italia przywiązuje do ekspansji kolonialnej w Afryce.

Podróż po Trypolitanii odbyłem w miesiącach styczeń—kwiecień 1934 r. Pisząc tę książkę, której część była drukowana na szpaltach „Kurjera Porannego“, nie spodziewałem się, że moje luźne uwagi i przypuszczenia o charakterze i tendencjach włoskiej polityki kolonialnej znajdą tak rychło swój wyraz na Czarnym Lądzie w rozwoju wypadków o olbrzymim, międzynarodowym znaczeniu.

Październik, 1935 r.



RECEIVED

1912

1912

T R E Ś Ć

FORTY NA PIASKU	str.
I. Rzym — Syrakuzy.	1
II. Malta	8
III. Przybył nowy gubernator	13
IV. Miasto na progu pustyni	20
V. Sough el Gjuma. Hambrouse. El Tagiura	28
VI. Garian. „Troglodyci“	37
VII. Zielony promień	46
VIII. Tala jei janari. Jadę w głąb pustyni	56
IX. Samochód Ceirano. Hon	68
X. Pustynia strachu. Za siódmą uadi.	81
XI. Murzuk. Noc w pustyni.	93
XII. Uadi Agial. Samum	103
XIII. Gat. Profesor Scortecchi.	115
XIV. Zpowrotem. Gazele. Garamanti	126
XV. Sebha. Wesele w Gedid. Na wielbłądzie przez Ramlet Zellaf	134
XVI. Brak. Dziennikarka z Paryża. Śmierć w oazie	143
XVII. Wielki Bajram. Fantazja	152
XVIII. Hammada el Homra. Adio Sahara	160
 TRYPOLITANJA	
Zarys historyczny, geograficzny, gospodarczy i społeczno-polityczny	171

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W OLSZANIE

ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE

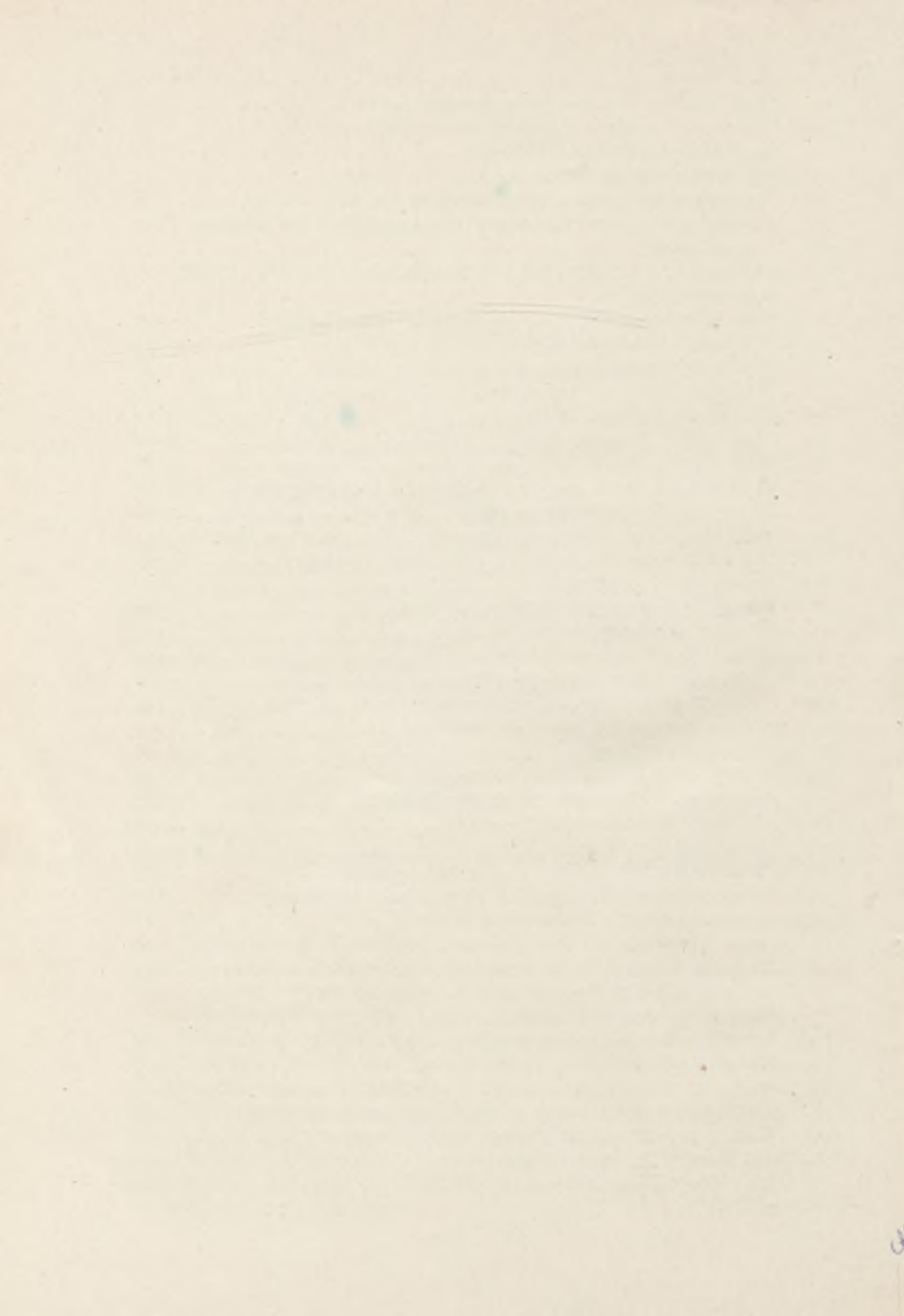
TABLICE ROTCGRAWJUOWE

- I. Autor w oazie Brak.
- II. Mapa Trypolitanji z trasą podróży.
- III. ...cudowne orle gniazdo na wysokiej skale...
- IV. ...coraz większe stada owiec po drodze...
- V. ...na zboczu góry plac targowy...
- VI. ...Misurata, słynąca ze swoich kilimów...
- VII. ...otoczony drutami fort Bu Ngem...
- VIII. ...zatrzymujemy się wpobliżu Semnu...
- IX. ...zebrało się kilkanaście kobiet...
- X. ...obok rośnie olbrzymia o kilku pniach akacja Albida...
- XI. ...Bachory drą się wniebogłosy...
- XII. Koza fezzańska z małym.
- XIII. ...wyruszyliśmy w kierunku oazy Gurda...
- XIV. ...źródło el Afia...
- XV. Pola jęczmienne w Braku.
- XVI. ...na małym wzgórku znajduje się grób miejscowego świętego, marabuta Abd Dżelil...
- XVII. ...rozlega się głośny ryk osła...
- XVIII. Mapa Libji.
- XIX. a) Jaszczurka uromastix; b) jaszczurka pustynna; c) gazyle; d) myszy pustynne.

ILUSTRACJE W TEKŚCIE

	str.
1. ...Dojeżdżamy do Katanii...	6
2. ...Statek otaczają łódki, przypominające kształtem gondole weneckie...	10
3. ...popularna i uwielbiana przez Włochów postać Itala Balbo...	14
4. ...Delegacje meczetów z oryginalnymi chorągwiemi...	17
5. ...Nowe miasto ma charakter zupełnie europejski...	21
6. ...Wchodzimy w dzielnicę arabską...	22
7. ...Przyrządzanie tej herbaty jest bardzo oryginalne...	24
8. ...Przed meczetem (Marcello i autor)...	26
9. ...wszyscy śpieszą na jarmark...	29
10. ...Drewnianą, pierwotną sochą, zaprzęzoną w krowę...	33
11. ...otwory u dna, prowadzące do wygrzebanych w gliniastym gruncie jaskiń...	39

	str.
12. ...Jeden wysuwa za nami głowę, nieufnie patrząc...	40
13. ...Tak musieli wyglądać handlarze niewolników...	44
14. ...Za oknami migają wciąż koncesje...	51
15. Stacja kolejowa w Es Sabria Bu Aissa	51
16. ...Dojeżdżamy do miejsca, gdzie szyny się kończą...	52
17. ...rzucając białą pianę na szeroki pas piaszczystej plaży pod palmami...	53
18. ...tala jej, janari!...	57
19. ...Powodem kpin z Salama jest jego dziesięcioletni bratanek o bardzo jasnej skórze...	69
20. ...Koło jedenastej dojeżdżamy do fortu Bir Gheddaghia...	70
21. ...Wstawiamy beczkę na wóz...	72
22. ...uliczki ujęte są łukami...	76
23. ...Wszystkie brzydkie i ordynarne...	79
24. ...Wjeżdżamy w Gebel es Soda...	82
25. ...Serir el Gaf. Pustynia strachu...	84
26. ...część pustyni, zwana Serir ben Afen...	85
27. ...woda wylewa się na specjalną podściółkę z liści palmowych...	87
28. ...Zamek turecki z szesnastego wieku w Murzuku...	88
29. Scopsi, Maranzano, Ottaviani i Pasqualini przed fortem w Murzuku	94
30. ...Mohammed ben Ali, ogromny, obsługujący mnie Arab...	95
31. ...namiot oparty o palmę...	97
32. ...leżą kupki nawozu wielbłądziejego i oślego...	99
33. ...wszędzie jednakowy, żółto-szary żwir...	101
34. ...stajemy przed mudirją w Regeiba...	105
35. 36. ...tumany piasku zasłaniały wszystko...	111
37. ...Co pewien czas przesunie się wysoka sylwetka Tuarega...	116
38. ...Z fortu roztacza się wspaniały widok...	117
39. ...wymarsz na manewry...	119
40. ...zbliżyły mnie z profesorem Scorteccim...	121
41. ...docieramy do niewielkiej grupy gór Djablich...	127
42. ...Wlecemy się płaszczyną Ti-Sellatin...	130
43. ...mauzoleum Cecylji Ptautilli...	132
44. Żołnierz erytrejski w Sebha, grający na „masongo”.	135
45. ...zostaje wsadzona do palankinu na grzbiecie wielbłądźcy...	137
46. ...wyruszamy przed siebie falującą diuną...	141
47. ...ciasno leżące chatki i wąskie uliczki...	144
48. ...Zaprzyjaźniłem się bardzo z wesołym i koleżeńskim wojakiem...	145
49. Pani Lyée de Bellau i porucznik Bongioanni	147
50. ...Manzur, marabut miejscowy...	154
51. ...poczyna wolno piłować szyję ofiary...	155
52. ...Korowód wkroczył na podwórze fortu...	157
53. ...nadoiwszy w nią mleka...	162
54. ...wjeżdżamy w długą dolinę między kamienistymi zboczami...	163
55. ...Kobiety z dzbanami na głowach śpieszą do studni...	167
56. Obiad między Geriatem i Mizdą	167
57. ...Jak zielono! jak zielono!...	168





nie pożyczyć się do

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
Gdańsk

11395729